

(1; 00:00)

Projekt „Dorastanie w powiecie lublinieckim”. Rozmowa nagrana w Koszęcinie w dniach 10 i 11 sierpnia oraz 14 września 2013 r. z panem Janem Myrcikiem. Rozmowę przeprowadził Grzegorz Kaczorowski.

(Jan Myrcik): Nazywam się Jan Myrcik, urodziłem się 15 listopada 1931 w Koszęcinie. Tutaj mieszkałem, później służyłem w wojsku. Najpierw jeszcze byłem przez pół roku w SP w 1950 roku budować Warszawę, później wojsko, później trochę uczenia się, no i praca w kulturze i oświacie. Tak bardzo króciuteńko.

(Grzegorz Kaczorowski): **Czy mógłby Pan opowiedzieć o swoim życiu, rozpoczynając od historii Pana przodków?**

(J. M.): Mogę. Mnie to też bardzo interesuje, dlatego nie tylko odpowiadam na pana pytanie, ale kontroluję siebie w jakiś sposób. Genealogię swojej rodziny... ja szukałem tego i ciągle szukam. Gdzieś w początku XVIII wieku Myrciki już tutaj mieszkali na Śląsku, z ojca strony. Taka mała miejscowość Łazy, 4 km od Trzebinia, a Trzebin 5 od Koszęcina, czyli 9 km. To było takie gniazdo. Wieść rodzinna nosła, że miejscowość otrzymał pewien Myrcik. To było zapisane w księgach parafii sadowskiej, gdzie parafia istniała od 1331, albo jeszcze wcześniej, jedna z najstarszych na Śląsku parafii. Było zapisane, że pewien Myrcik otrzymał wioskę Łazy za jakąś usługę dla jakiegoś tam pana. Do tego dokumentu już nie trafiłem, tylko na takie zapiski, że był taki dokument. Z ojca strony Ślązacy tacy rasowi, można powiedzieć.

Matka z domu Drescher. Drescher pisało się przez „sch”. Jej ojciec pochodził tutaj spod Olesna. Gdyby to ktoś chciał kojarzyć... od 1923 roku, wtedy do Polski zostaliśmy przyłączeni, to Olesno było po stronie niemieckiej, ale wtedy to stanowiło jedność. Jeszcze przed I wojną [światową] ojciec mojej mamy tutaj przyszedł i też rodzina, podobnie, bo to jest tylko 30 km od Lublińca, podobne losy były. Aż do czasów wojny i czasów powojennych, albo do czasów 1923 roku, kiedy oni zostali przy Niemcach. Myślę – rodzina dziadka.

Moi przodkowie z obu stron byli Ślązakami, tak bym to mógł powiedzieć.

(G. K.): **Czy Pan znał tych dziadków od strony mamy?**

(J. M.): Naturalnie, znałem dziadków. Dziadek był takim typowym chłopem, jednym z większych chłopów w Koszęcinie. Około 50 ha pola, to było dużo, kilka koni. Babcia była działaczką. Czyli był taki matriarchat prowadzony w rodzinie. Babcia była zaangażowana także w tych czasach, kiedy Koszęcin dostał się już do Polski, głównie na skutek... już wspominałem panu o rodzinie Burzyńskich, aptekarska rodzina wywodząca się z Poznańskiego. Tych oświeconych chłopów raz dwa rozpoznała i wpajała im troszkę inne dzieje historyczne. Czyli babcia była, nie lubię tych terminów używać, ale taką propolską Ślązaczka troszkę i do tych organizacji została bardzo szybko zwerbowana. Dla kościoła także miała wielkie znaczenie jej osoba. Jako dziecko zawsze interesowała mnie sprawa, którą babcia lubiła podkreślać, że leciała samolotem przed wojną. To było prawie coś, jak z bajki.

Natomiast strona ojca: pracowali u księcia. Od 1804 do Koszęcina albo na Koszęcin, albo kupiła Koszęcin i nie tylko Koszęcin, jedna z najbogatszych rodzin na Śląsku, rodzina H...fingen, bardzo bogata rodzina. 50 000 ha lasów, 100 000 mórg. Śląska morga to były dwie morgi, to było 0,5 ha, a taka polska, jakby to wolno w ten sposób mówić, to trzeba było

cztery morgi. To było w ten sposób dzielone. I głównie byli zatrudnieni w lasach książęcych. Znałem mojego dziadka ze strony ojca tylko kilka lat, gdyż służył w pruskiej armii, był ranny, przyszedł schorowany i zmarł chyba w 1936 roku. To ja miałem cztery lata wtedy. Mieszkałem troszkę w tym domu, może przez pół roku, ale to już był tak schorowany, że go nie znałem.

**(G. K.): Jak się nazywał dziadek od strony taty?**

(J. M.): Paul. Paul Myrcik. Paweł Myrcik.

**(G. K.): A od strony mamy?**

(J. M.): Marcin Drescher.

**(G. K.): I ta babcia taka uspołeczniona?**

(J. M.): Anna, z domu Nancka. A matka ojca – Zofia, z domu Gdawiec. To są typowo tutejsze nazwiska i imiona ówczesne.

**(G. K.): A w jaki sposób się rodzice Pana poznali?**

(J. M.): Moi rodzice bardzo bliziućko mieszkali, kilka ulic, może kilometr, ale bliższych szczegółów... Nie pytałem ich nigdy, w jaki sposób się poznali, czy na zabawie, czy gdzieś. W każdym razie tutaj w Koszęcinie się każdy znał.

U mojej babci ze strony mamy to jest jeszcze ciekawe, było dwanaścioro dzieci. Jeden był ojcem oblatem, urodzony w 1918 roku Antoni Drescher, pracował w środowiskach polonijnych Francji całe swoje życie, tam był wyświęcony, bo w 1939 rozpoczął studia i się wojna rozpoczęła. Tam było sześciu chłopców i sześć kobiet. Jedno dziecko zmarło w wieku dziecięcym. Z chłopców, Hanek, Jan, trochę młodszy brat od mojej mamy, poległ pierwszego albo w okolicach 1 września 1939 w polskim mundurze. Brat Jana i brat mojej mamy, Karol, w 1940 roku został zaciągnięty w wieku 19 lat do Wehrmachtu i poległ w Nikolskaja na Ukrainie, w 1944 w wehrmachtowskim mundurze.

Brat mojego ojca, Paweł Myrcik, brał udział we wszystkich trzech powstaniach po stronie polskiej. W 1939 roku z całą rodziną uciekał, tak to mówiono, jako znajdujący się na liście tych, którzy z Wehrmachtem przychodzili tutaj do Koszęcina i już więcej go nikt nie widział. Albo się dostał tam, gdzie policja... Miednoje lub tam w te okolice i został zamordowany w wieku... on był 1900 rocznik, najstarszy brat, a ojciec był 1901. Mama 1908.

Wielu moich krewnych, Myrcików, poległo w I wojnie światowej, dziewięciu, bardzo bliskich. W II wojnie też wielu. Mój wujek, Jan Irek, który ożenił się z siostrą mojej mamy, powstaniec, w dwóch powstaniach [brał udział], dezertor z pruskiej armii... To są takie ciekawe sprawy. Podczas wojny [trafił] do Auschwitz, dwóch jego synów w tym samym czasie, tata w Auschwitz, Bernard Irek, 1925 rocznik w Wehrmachcie i Antoś, 1926, w Wehrmachcie. Antoś umarł zaraz po wojnie, bardzo szybciusieńko, bo dostał się do włoskiej niewoli. Fatalne warunki, gorsze jak na Wschodzie. Więc to są, jak ja to nazywam i nie tylko ja, śląskie losy. One moją rodzinę też dotknęły i to bardzo mocno i tutaj u mnie w ogródku jest takie epitafium dla poległych. Jutro może pan tam wyczyta 374 nazwiska koszęcińskich chłopców, którzy oddali życie za różne ojczyzny i w różnych mundurach. Śląskie losy.

**(G. K.): Czym zajmował się dziadek od strony mamy? Był rolnikiem?**

(J. M.): Rolnikiem, tak. A ten dziadek od strony ojca był Waldarbeiter, czyli robotnik leśny.

**(G. K.): Pan był bardziej związany z którymi dziadkami?**

(J. M.): Mieszkałem... W tym samym domu, który mój ojciec wybudował w 1935 roku, była babcia, czyli mama ojca, bo to było na ojcowiznie. Już dziadka nie było. Były tam dwie ciocie: Maria, siostra ojca, kora zmarła... 19-ego wkroczyli tu Ruscy, ona ich tylko zobaczyła i zmarła w tym samym dniu i nie mogliśmy jej prawie pochować, bo nikt końmi nie chciał wieźć na cmentarz. To był trudny czas, pamiętam to dokładnie.

Większe więzy miałem z tą babcią z Dąbrówki, tak się ta ulica nazywała. Była potężnie zbudowana, nosząca się... zresztą wszystkie kobiety wtedy po chłopsku chodziły. Dzisiaj to nazywamy taki strój zabytkowy, czy strój chłopski, a wtedy to było normalne, że chodziły kobiety w tych długich kieckach, zapaskach, lajbikach. Była taką świadomą [kobietą] i ona zawsze mówiła, pamiętam, i się bardzo z tego cieszyła – *Uczcie się dzieci. Tylko się uczyć!*

A z tą nauką dla Ślązaków to też było różnie, ale to może gdzieś miejsce się znajdzie, mój okres szkoły podstawowej i mój okres szkoły średniej, moje spóźnione studia. Najpierw kończyłem Studium Kultury i Oświaty w Warszawie, później kończyłem Wydział Pedagogiki Kultury na Uniwersytecie Śląskim. Tak to mniej więcej wyglądało. Ta książka, którą tam pan ma, to jest „Koszęcin na starej fotografii” i tutaj wszystkie wątki, dotyczące życia ludzi są w jakiś sposób zamieszczone.

**(G. K.): Czy mógłby Pan opowiedzieć troszkę o swoim tacie? Jakim był człowiekiem?**

(J. M.): Ja mogę o rodzicach, tak zupełnie szczerze i w sposób bardzo świadomy, powiedzieć, że to byli prości ludzie le gdybym miał stawiać i porównywać dzisiaj... to byli bardzo mądry ludzie. Tak bym powiedział. Wiedzieli, że szczególnie Ślązak musi być apolityczny. I z jednej strony, i z drugiej. Nas było trzech braciszków. Niestety dwóch z moich braci już zmarło, młodo zmarło. Jeden tragicznie. Był papiernikiem, dyrektorem papierni. [Dyżurny ruchu] zamknął mu szlaban, jak [ten] już był na torach. Stracił obie nogi, a jego syn osiemnastoletni wówczas, Zdzichu, stracił życie. Drugi braciszek też zmarł, w wieku 57 lat. Mam jeszcze siostrzyczkę, Agnieszkę, która jest z 1939 roku.

Apolityczni. Może jeszcze do tego dodam – *Chłopcy, do żadnej organizacji i do żadnej partii nigdy w życiu nie wstępujcie*. I byliśmy wierni temu. Tak że dzisiaj, jeśli mnie o te sprawy pytają, to mogę z całą świadomością powiedzieć, że do tej przedniej siły narodu nie należałem. I swoje życie, w takim wieku, jak już bliźniętko do 82 jest, mogę powiedzieć, przeżyłem bardzo godnie. Z trudem, ale pchałem się, jako Ślązak i dalej mówię i pomagam każdemu, żeby Ślązak kończył to, co w Polsce jest możliwe do ukończenia, a jeżeli nie w Polsce, to za granicą. Najwyżej na tą samą szpicę. Obojętnie, jaki kierunek wybierze, obojętnie czym będzie, bo dzisiaj żyjemy w takich czasach, że profesje zmienia się jak przysłowiowe rękawiczki.

Jestem rodzicom bardzo wdzięczny, za to, [że] na swój sposób to robili. Ojciec był rzemieślnikiem, szewcem był, na usługach księcia albo dworu zamkowego, tak by można

powiedzieć, dlatego mówił pięknym niemieckim, ale nie tylko dlatego, bo czytał dużo też. Był typowo dwujęzycznym, i przez jednych akceptowany, i przez drugich akceptowany. To nie zawsze się odnosiło do Ślązaków, bo ci, którzy byli za jaskrawi w kierunku, dzisiaj byśmy powiedzieli, zachodnim albo tam, gdzie słońce wschodzi, to cierpieli, bo tak było. Zawsze mówił – *Jeśli będziecie w partii albo gdzieś, to jeśli nie ci, to drudzy was będą lali*. „Ci”, to chodziło albo o Niemców, albo o Polaków, a „tych drugich” to też chodziło albo o Niemców, albo o Polaków. Taka była świadomość. I ten Mittelstand, stan średni, to moi rodzice mówili, że to jest najlepsze. Nie za wysoko, bo to też się leci i trudniej się spada, ale też nie najniżej. Ten stan średni: rzemiosło, kupiectwo i apolityczność.

**(G. K.): Pana tata jak miał na imię?**

(J. M.): Franciszek. Zawsze matka Elza, a on był Franc. To zostało do śmierci. Moja matka zawsze mówiła do swojej mamy za dwoje, per wy, „wyście pedzieli” albo „wyście to zrobili”, a czasem mówiło się do ludzi o pewnym statusie za troje, oni. Nikt nie wiedział, że można innym zwrotem się zwrócić do babci. Dzisiaj wnuk mówi „dziadek, ty...” i myśmy z tym wyrosli już, ale dawniej? Boże święty, to by było coś nienormalnego.

**(G. K.): Jakie były Pana pierwsze wspomnienia z dzieciństwa, jakie Pan sobie przypomina?**

(J. M.): Piszę swoją autobiografię, tak bym powiedział, ale jeszcze nic nie napisałem. Piszę ją cały czas. I ten rozdział ma tytuł „Dzieciństwo nie sielskie i nie anielskie. Wiek męski, wiek zwycięski”, przeciwnie do Mickiewicza. Dzieciństwo wspominam bardzo... Rostałem, dojrzewałem w tej śląskiej historii. Nie było ani jednego Poloka w rodzinie. Poloka proszę w głęboki cudzysłów wziąć, ale tutaj się inaczej nie mówiło, tylko Polok. Troszkę gorszy od nas. Tak można by powiedzieć, że tak się myślało, bo oni przeważnie w dworze robili, w tych brudnych pracach. To byli ludzie, którzy byli wychowani, tzn. w moim dzieciństwie ci, którzy tutaj przyszli, to byli jedyni, którzy przyszli do Koszęcina. Oprócz osiedleńców pruskich, co było znacznie wcześniej, ta fryderycjańska osadowość, ale tak to tylko przyszli za parobków, uciekli z Polski, z ruskiej Polski, tak by to można określić. Byli to ludzie, jako pacholki, tak się mówiło: pacholek u Dreschera, pacholek u Kubosza, pacholek u Nanckich i tam te nazwiska tych bogatszych... Oni tu mieli, można powiedzieć, inny, lepszy świat, bo tam w zaborze rosyjskim było niesamowicie trudno, a myśmy tutaj mieli tylko 19 km do Rosji. Jak się do Częstochowy chciało jechać, na pielgrzymkę przykładowo, chociaż do Częstochowy mieliśmy 30 km, a na Górę św. Anny mieliśmy 60 albo 70, to miejscem pielgrzymowania Ślązaków był Annaberg. Ojciec mój do końca życia jeździł na Annaberg. Zawsze tam jeździł. Do Częstochowy też, na kółku jeździł, na rowerze. Dopiero w okresie międzywojennym ta orientacja się trochę zmieniła, chociaż ona się [właściwie] nie zmieniła, jeszcze dodatkowo Jasna Góra przyszła i dodatkowo Piekary nabierały z biegiem setek lat znaczenia religijnego i pielgrzymkowego.

**(G. K.): A te pierwsze wspomnienia z dzieciństwa, jakie Pan ma, to jakie są? Rodzina czy gospodarstwo...**

(J. M.): Nie, rolnictwo mnie nie interesowało. Pamiętam z pierwszej klasy, ja rozpocząłem naukę... do ochronki też chodziłem... to były takie moje pierwsze zetknięcia się z rówieśnikami, bo tak, poza opłotki własnego domu... Ja miałem dom z Einfahrtem, były

tylko dwa, z bramą wjazdową, bo inaczej ojcu nie pasowało, żeby wjechać na podwórko. Pamiętam, że się tym chepiłem, że tylko Prinz ma jeden dom, gdzie jest Einfahrt. Einfahrt to jest wjazd, ta brama, a tak każdy miał wrota, jak się to mówiło.

Pamiętam z przedszkola, chodziliśmy z obydwoma braciszkami. Tą nauczycielkę też pamiętam..., ale pamiętam już bardzo dobrze pierwszą klasę. W 1938 roku zostałem uczniem pierwszej klasy polskiej szkoły podstawowej w Koszęcinie. Budynek szkolny był wybudowany w 1935 roku, bardzo ciekawy sposób, vis a vis apteki Burzyńskiego. Propolscy członkowie koszęcińskiej rady gminnej chcieli postawić budynek szkoły [tak], aby zagroził widoczność niemieckiej szkoły mniejszości, tzw. Minderheitschule, którą Prinz wybudował w 1931. Tu była mniejszość niemiecka w okresie międzywojennym, dosyć silna, mocna i inteligentna, bo wywodziła się z inteligencji książęcej głównie, ludzie wykształceni wszyściusieńko. Pamiętam nauczycielkę Ferenzównę. Helena Ferenzówna później wyszła za mąż za nauczyciela, także uczącego w tej szkole, Klepacza. Kierownikiem szkoły był Ślązak, co było prawie wyjątkiem, Michał Czarnecki. Z Hadry pochodził, 8 km od Koszęcina oddalonej. Pamiętam, tabliczki były i rysiki. Zadała nam, z elementarza, który mam w swoim muzeum, zachowałem go, elementarz w 1938 otrzymałem go, pierwsza w moim życiu książka, drukowana w niemieckim Bytomiu dla Śląska i dla Zaolzia. I o Koszęcinie tam było. (...) Kazała ta pani raz przepisać, już żeśmy byli przy druku, na tabliczce, gdzie są linijki, a nie kratki, pewien akapit z książki dotyczącej Koszęcina „Kościołek w Koszęcinie”. Wtedy nabrałem dumy o Koszęcinie. Koszęcin znalazł się w książce. Ze względu na ten kościół św. Trójcy, dla którego tyle już zrobiłem, jeśli chodzi o badania itd., że jestem prawie u jego pradziejów, sięgających chrystianizacji ziemi śląskiej. I pamiętaj, jak ta pani przyszła i tak patrzy zza mojej głowy i mówi – *Dziecko, co ty się narobileś!* Ja wydrukowałem to wszystko tak, jak w książce było. Każda literka była drukowana, a miałem to normalnie pisać. To mi do dzisiaj tkwi w pamięci, ile ja czasu poświęciłem... Po raz pierwszy poznawałem te literki.

I pamiętam jeszcze taki szczegół, że się spotykałem, tzn. widziałem księcia. Tak jakbym Pana Boga zobaczył w tych czasach. Do szkoły chodziłem obok garaży księcia. Dziennie patrzyliśmy, bo tam stały cztery auta, najlepsze marki. Od ulicy. W Koszęcinie nie było ani jednego auta. I z powrotem. Do 1 września 1939 [30 czerwca?]. Skończył się rok szkolny. Pierwsze wakacje małego dziecka. Już się wtedy związałem z ruchem harcerskim. Wszyscy moi wujkowie byli harcerzami, za przyczyną babci Drescher. Była drużyna męska, była drużyna żeńska. Ogniska w takiej oborze, w ogrodzonej posesji, na łące, tam się to wszystko odbywało. Od mojej babci się tylko szło taką prawie polną, dzisiaj jest asfalt, drogą. I tam te pierwsze śpiewy polskie, piękne. Bo ojciec mój śpiewał, ale niemieckie piosenki (...) wielkiego poety, Ślązaka, który był w tych pruskich podręcznikach. Albo takie inne piosenki... I piosenkę na rzecz cesarza pruskiego, jak urodziny miał. Ojciec sobie tak przyspiewywał. Ojciec był też bardzo religijny, ale matka bardziej religijne pieśni [śpiewała]. Pan mnie pytał, jak ja oceniam moich rodziców. Muszę podkreślić też wielką religijność. Wszystkich Ślązaków. To jest jedna z naszych cech. Rodzina, praca, religijność, godność itd. za te cechy byliśmy chwaleni, tego nam zazdrozczono. Byliśmy w tych wychowani. Nie będziemy tu mówili o historii, ale tak praktycznie 700 lat nie było Polski tutaj, a Polska za Bolesława Chrobrego, czyli gdy chcemy gdzieś do początków sięgać, [miała] milion kilometrów kwadratowych, milion ludzi. To prawie się nie liczyło, to jeszcze długo musiało dojrzewać, zanim świadomość narodowa była. Na Śląsku tej świadomości narodowej nie było i dlatego byliśmy apolitycznymi. To jest taki ważny punkt. Dopiero pod koniec XIX wieku, kiedy my mówimy „ci agitatorzy”... dzisiaj ten termin się źle kojarzy – agitator to taki był, który do partii werbował, albo jeszcze jakieś inne sprawy)... ale nie było tego. Ślązak... ojciec mój do końca życia... jeśli by mu pan dał... albo ankieta... nigdy nie powiedział, że

jest Niemcem i nigdy nie powiedział, że jest Polakiem. „Jestem Ślązakiem”. Dzisiaj 180 000, podczas spisu powszechnego, Ślązaków tak napisało. Dzisiaj może byłoby już więcej. Jednym zdaniem można Ślązakowi w głowie przewrócić, negatywnym albo niesprawiedliwym. Tak że to różnie wygląda, takie różne ruchy, jeśli się odniosę w skali porównawczej do dzisiejszych czasów, to dzisiaj jest zupełnie inaczej jak było w moim dzieciństwie i w mojej młodości, do 1945 roku. Bo tutaj o okupacji będzie ekstra sprawa.

Dziecko, które kończy rok polskiej szkoły... Polscy nauczyciele, którzy otrzymywali 25-procentowy dodatek śląski... Tego jeszcze panu nikt nie powiedział, ja te sprawy badałem. Ze Lwowa dużo nauczycieli było, którzy przyjeżdżali na Śląsk zarabiać pieniądze. Uświadamiać Ślązaków, że są Polakami, to był błąd wielki. To trzeba bardzo powoli było robić. A jak się Ślązakom mówiło, to po prostu przegrywał nauczyciel. Jeśli literacki się miało prowadzić, to Ślązak kończył podstawową szkołę, a po śląsku godał. Nie umiał. I naturalnie w pisowni się to też [przejawiało].

U mnie skończyło się 1 września 1939 roku. Tutaj jeszcze może [wróć] do tego pytania, [co pamiętam] z mojego dzieciństwa. Mówiło się tak po cichuteńku w zakładzie u mojego ojca... Bezrobotni się skupiali, było bardzo wielkie bezrobocie w 1939 roku też już, on się wcześniej ten kryzys już rozpoczął, zresztą Hitlerowi pomógł w Niemczech dojść do władzy, tam ta rewolucja i to wszystko... I, proszę pana, przewrócenie świata do góry nogami. Idę do szkoły 1 września. Elementarz, rysik, piórniki... ale na Śląsku nikt nie mówił piórniki, tylko Federkasten. To zostało z domu. Babcia korygowała, jak ja mówiłem piórniki. – *Co to, o pierzu mówisz?* Federkasten. Kasten to jest skrzynka, a Feder to są pióra. I tak się szło, pod pazą się nosiło rzeczy. Mówiło się nie podręczniki, tylko rzeczy. Jeśli ktoś powiedział o rzeczach, albo o rzeczy, to to dotyczyło szkoły.

Idę do szkoły i polski żołnierz [stoi] na rogu bramy cesarskiej, jeszcze wtedy nie wiedziałem, że się to Kaisertor nazywa. Tam mogłem skręcić do mojej babci. Polski żołnierz mówi do mnie – *Synek, trzymaj ino ta flinta. Ja ino ten plot przeskocza*. Przeskoczył i go nie było. Ja trzymam ten karabin, taki ciężki, osiem lat chłopak. Później postawiłem ten karabin, trzy tygodnie tam stał. I był koniec. Szybko do babci, do domu już nie zdążyłem, już Niemcy wjeżdżali. Koszęcin był 8 km od granicy niemiecko-polskiej. Za Bruśkiem – Brusiek to taka magiczna miejscowość, wspominałem panu o Roździeńskim, który napisał Officina ferraria, tam jego ojciec się urodził, ten wielki humanista początku XVII wieku, miał korzenie z Bruśkiem – a Tworóg się już nazywał Hornyg i to już byli Niemcy, i stamtąd jechali czołgi. Nie słyszałem jeszcze wcześniej o czołgu. Na tych motorach, jak Niemców pokazują, jak wjeżdżali, każdy z przyczepą, ckm na przyczepie, w tych Stahlhelm hełmach i samochody. Polscy żołnierze, to ja ich tylko paru widziałem, jak przelecieli Koszęcin i paru, wiemy, że dziewięciu, tutaj poległo wtedy.

Za dwa tygodnie byłem uczniem drugiej, jeszcze nie drugiej, Umschulung, przeszkolenie, bo tutaj były dzieci, które chodziły do minderheitki, czyli niemieckiej szkoły. I dzieci do polskiej, koledzy. I teraz nagle [trzeba było się uczyć] po niemiecku. Myśmy dużo słów... myśmy myśleli, że to są nasze śląskie słowa, a to były niemieckie. Szuflada, śrank, bigel, siaty, galoty, takie gwarowe terminy, a tutaj Chmiel – nazwisko Schulleitera, kierownika szkoły, który objął szkołę i wszystkie polskie dzieci... pół roku Umschulung, a niektórzy i dwa lata musieli. Ja byłem dość szybko, bo ja przegoniłem tych Niemców, tych z minderheitki. Oni gorzej mówili, bo to byli często dzieci robotników leśnych, na usługach księcia. I raz dwa, druga klasa, trzecia klasa. W drugiej klasie, tak może przez miesiąc, nauczyliśmy się „Vater unser”, „Ojcze nasz” po niemiecku. Jeszcze to było, ale później już się lekcja zaczynała, nauka [od] aufstehen, przestali po polsku już nam pomagać mówić. – *Hier wird nur deutsch gesprochen*. Tu tylko po niemiecku. Za polskie mówienie – lanie. Ja

byłem synem rzemieślnika, ja się w tym kręgu Niemców i Ślązaków... [bo] Polaków takich tutaj nie było w okresie międzywojennym. Naturalnie stanowiska... Garzyński z Poznańskiego, wojewoda śląski itd., w powiecie głównie uchodźcy, ci, którzy w 1923 roku, jak tutaj Polskę zrobili, stąd musieli iść, ja się później dopiero dowiedziałem od Niemców, nie że chcieli, tylko musieli. Stąd znów przychodzili do Koszęcina też dużo tych uchodźców, głównie z ościennych powiatów i oni otrzymywali pracę w instytucjach, nawet jako woźny w sądzie polskim, ale pracował. Ślązak się tam nie dostał. Tak to mniej więcej wyglądało, ja tymi sprawami się interesuję i nieraz o tych sprawach pisałem, nieraz mówiłem i nieraz dość ostro dyskutowałem z moimi kontra, ale przyjaciółmi.

Do pół siódmej... szóstą klasę jeszcze niemiecką skończyłem, mówiłem perfektnie po niemiecku, tym bardziej, że przychodzili do Koszęcina i innych miejscowości z głębi Rzeszy i Berlińczycy, tzw. Bombenbeschädigte – poszkodowani przez bombardowania. Myśmy ich wcześniej nie rozumieli. On nie mówił zwei na dwa, tylko zwu, nie mówił ich, tylko ike. Ale raz dwa żeśmy ich pokapowali, to szło szybko.

Naturalnie po polsku musieliśmy zapominać. W domu się mówiło bardzo po cichu. Były afisze, pamiętam, „Pst! Feind hört mit!” – „Cicho! Wróg się przysłuchuje!”. I przysłuchiwał się. Za oknami byli agenci, którzy donosili. Pamiętam, moja babcia, mama ojca, raz powiedziała, oni świniaka chowali i moja matka zawołała do swojej teściowej, a do mojej babci – *Mutter! Świnia won uciekła z chlewika!* Nie mówiło się nigdy, jak to się mówi za „starej Polski” „tatuś”, to nam tak dziwnie brzmiało. Vater i Mutter było. Nigdy moja mama nie powiedziała „mamo”, tylko „Mutter” i ojcu „Vater”. I tak mówili. Jeszcze dzisiaj tacy ludzie, którzy posługują się tylko gwarowym językiem w ten sposób mówią.

Oni, nas, ci Berlińczycy, uczyli też tych świńskich piosenek i tych świńskich słów, których żeśmy ani po polsku wcześniej nie znali, ani po śląsku, ani po niemiecku. Oni nas edukowali, można by powiedzieć, seksualnie. Te piosenki mam do dzisiaj zakodowane. Niektórzy tak twierdzą, nauka też potwierdza, że im człowiek starszy, tym bardziej pamięta dzieciństwo, a mniej to, co wczoraj zrobił albo co dzisiaj zrobił. Trochę przesadnie, ale tak się mówi. Pamiętam piosenki, które starsi śpiewali, ode mnie starsi chłopcy, także ministranci, bo byłem ministrantem od maluteńkiego dziecka. Takie piosenki pamiętam, oczywiście tych wulgarnych nie będę mówił, one czasem podświadomie się upominają. Były takie... Landjahr, landówa, dziecko wychowywane w hitlerowskim programie edukacyjnym, po ukończeniu szkoły podstawowej szło na rok na Landjahr. Landjahr – w teren. Dziecko profesora, dziecko robotnika, obojętnie jakiego. Niektórzy Ślązacy cyganią, Kutz też, że mówi, że był wywieziony, jak miał 15 lat, na roboty. Nie był, na landówie był. Landjahr – obowiązkowa rzecz. Jak przyszedł z Landjahru, to miał 16 albo 16,5, to szedł do RAD – Reicharbeitsdienst. To było coś takiego...

Ja napisałem taki artykuł „Służba Polsce – co to jest?”. Była taka powszechna organizacja Służba Polsce w latach 1948... i mnie to też objęło, a później ja to też już widziałem, jak to brali i kto mnie tam wcisł. Tylko nie piszę o tym, ani nie mówię. Otrzymuję czasem anonimy: „Panie Myrcik, jak pan opisuje te czasy, to niech pan nazwiskami pisze.” Np. o milicjantach, którzy rabowali, kradli, po wojnie zaraz i wywodzili się z bardzo bliska. Nazwiska tutaj nie powiem, bo nie można. Ich dzieci i wnukowie żyją. To były bardzo dramatyczne sprawy, ale to już przeskoczyłem pewien wiek, o czasie wojennym, tak bym to powiedział.

W 1939 roku byłem też ministrantem. Nie, w 1939 jeszcze nie. Przerwano mi katechizm w języku polskim. Polski ksiądz, Gąska – on zginął później, nie w obozie, tylko jest wpisany i w tej karcie jest zapisany, że zmarł w obozie, czy zakatowany czy dostał zastrzyk fenolu, ale to nie tak było – był to taki propolski ksiądz, ale później przyszedł ksiądz

Murza. Podczas okupacji. Też Polak, wywodzący się z Kaszub, mówiący pięknie po niemiecku, śpiewający wspaniale, ale znający także polski. To był pierwszy ksiądz, który tam z tej wysepki był wyświęcony. I skończył doktorat. Pisał o istocie Trójcy Świętej, naturalnie po łacinie, bo we Włoszech kończył doktoranckie studia. I ten ksiądz, to taki epizod... DJ, Kindergruppe HJ, BDM... żeńskie i młodzieńcze. Ślężacy się dzisiaj zapierają, tak po śląsku trochę powiem, że „nie należał żek do Hajotów”, że „był żek Polakiem, nie miał żek volkslisty”. Kłamią. Jak była służba, to było bardziej obowiązkowe, jak obowiązek uczenia się, chodzenia do szkoły.

I pamiętam raz, bo też to jest z dzieciństwa, ja byłem już wtedy kościelnym, mając niespełna trzynaście lat, dwanaście lat, bo wszyscy starsi ode mnie już poszli albo do Arbeitsdienst, albo do wojska. I ksiądz Murza powiedział tak – *Johann, du wirst der Kirchendiener sein. Ich habe schon mit deinem Vater gesprochen.* Ty musisz być kościelnym, bo Paulka Jelonka, który miał 17 lat, już padł na wojnie. Ministrant, starszy trochę ode mnie. I byłem tym kościelnym. I teraz jest suma raz. Przychodzi dwóch w mundurkach, moi koledzy. Już nie żyją, jeden w Niemczech zmarł, drugi tutaj zmarł. W mundurkach, tych pimfach tak ubrani, bardzo pięknie. Każde dziecko patrzyło z zazdrością, jak ktoś nosił ten mundur. Mansiestrowy, czyli ze sztruksu galoty, spodenki krótkie, u nas się nosiło poniżej kolan, a Niemcy nosili dziesięć albo piętnaście centymetrów powyżej. To tak inaczej się patrzyło, jakby z miasta gdzieś przyszli. Te koszule... A to by cukrzajny trzeba było na wszystko, czyli mieć kartki, żeby to kupić podczas wojny. Oni przyszli, nie wiem, czy powiedzieli „Grüss Gott” do zakrystii. Już suma miała być, czyli Hochamt odprawiany. Ksiądz Murza jeszcze [zażywał] tabaki, on zawsze zażywał tabaki, to tam jest do dzisiaj modne jeszcze., zawsze przed mszą. I tu ci wchodzi – *Grüss Gott!* – chyba powiedzieli. – *Du, Johann, sollst sofort zu Dienst kommen!* Jan ma przyjść natychmiast na zbiórkę. Tak spojrział na nich, na mnie – *Ich spreche die Messe allein.* Ja odprawię tą mszę sam. – *Ty musisz iść.* Szli my na (...), to się dzisiaj Srocza Góra nazywa, tam były Gellendespiele, takie zajęcia w terenie, w których już uczyli takich początkowych zasad taktyki. Już tam zdobywać, już tam gonili itd. To tak zapamiętałem. Ale niedawno napisałem taki artykuł w „Ziemi Lublinieckiej”: „Wojna w Koszęcinie – początek, trwanie i koniec.” O moim dzieciństwie to było. Napisałem, że pochowałem około stu siedemdziesięciu chłopców bez trumny, bo tyle ich poległo w Wehrmachcie. Co tydzień... był taki... to nie był baldachim, katafalk taki, tak by to można powiedzieć, takie nosze były wprowadzone, ktoś tam zrobił z takich półkolistych... taki Gestell, taki stelaż i nakrywali taką czarną płachtą z takimi węzłami u dołu. I był krzyż, rodzina zabitego, najbliżsi i pogrzeb, którego nie było. Pamiętam tyle razy! I msze św. Z naszej szkoły zrobili w 1941 roku szpital wojskowy, w tej głównej tutaj. Zawsze było tu dwóch albo trzech księży rannych, którzy przychodzili. Ja przed pójściem do szkoły, o godzinie 6:00, dzwoniłem. A tam były tzw. (...), czyli takie jaskółki wieżowe, w dosłownym tłumaczeniu, z takimi długimi ogonami i skrzydłami. Jak dzwon dał pierwszy ton, to to zaczęło trzepotać. I o w pół do siódmej odbywała się msza albo jeszcze trzy Stille messen, ciche msze. Nie było tak, jak po II soborze. Dzisiaj to troszkę (...). Koncelebra mi ciągle jeszcze nie pasuje. Jak widzę dwudziestu księży... Ja widziałem czterech, pięciu księży i tyle ołtarzy było w naszym kościele. Jeden odprawiał śpiewaną mszę św., a wszyscy cichą. Jeden ministrant musiał przychodzić, przed szkołą chłopcy musieli iść. I później do szkoły. i w ten sposób wyglądała ta wojna.

19 stycznia 1945 roku to też pamiętam. Naturalnie z lat wojny te epizody pamiętam. Jak Prinz się spotkał... Myśmy na jagodach byli. Mojej mamie mówi – *Else, wie geht es dir?* Za „ty” mojej mamie? To było coś niemożliwego, że ksiądz do mojej mamy mówi, to było jak w bajce. Taki bogaty człowiek... kopalnie, huty, fabryki, lasy, pola, elektryczne traktory, już



były i takie różne rzeczy... Jak on mówi – *Habt Ihr Blauben gepflückt?* Byliście zbierać jagody? U nas się na te czarne mówi jagody. – *Und du hast aufgepflückt.* – mnie po niemiecku mówi. – *Ja, schön.* Pięć marek mi dał. Pamiętam do dzisiejszego dnia. Takie rzeczy.

I pamiętam doskonale, jak wkroczyli Ruscy do Koszęcina. 19 stycznia o godzinie może 9:30. Ja mieszkałem przy gminie, przy domu Żyda Hoffmanna, gdzie był największy sklep i gdzie ja nie chodziłem do Żyda przez drzwi do sklepu, tylko między nami a żydowską posesją nie było płotu ani niczego, tylko ja wchodziłem do Żyda prosto do mieszkania. I wybierałem, co chciałem. Naturalnie ojciec później musiał płacić. Zawsze piękne ubrania tam sobie kupowałem, wybrałem. Naturalnie Żydówka dała za pół ceny. I tam na ten plac. Niemcy to chcieli nazwać Adolf Hitler Platz, tam obalili dwa takie starsze domy, bardzo stare, ale jeszcze była tam taka od wolnego kulawego z I wojny światowej (...) był, czyli z drewnianą nogą, jednym takim drągiem tylko. I chodziło bez tych rąk, tych pamiętam też jeszcze z I wojny, tych wszystkich żołnierzy i później z II wojny też ich pamiętam, tych bez nóg, bez rąk itd.

O godzinie 9:00 pod nasz dom przyjechało ciało niemieckie jeszcze. Wcześniej naturalnie byli żołnierze, którzy się przyszli ogrzać, bo to było prawie 28-30 stopni mrozu wtedy i słyszeliśmy, myśmy mieli okno od zakładu ojca prosto na ten plac, piętnaście czołgów jechało. Na pierwszym czołgu portret Stalina, tak gdzieś 80 na 60, na drugim flaga z młotem i sierpem. I mi się przypomniał afisz, który jeszcze wisiał: Sieg oder Bolschewismus. Zwycięstwo albo bolszewizm. Jak tych Ruskich zobaczyłem... Tych żołnierzy, czerwonoarmistów, malowali, na rycinie było, jak Niemcowi wbija bagnet w plecy, niemieckiemu żołnierzowi. I tylko nam mówili, że die Menschenfresser kommen. Przychodzą ludożercy, ci Azjaci, i tak nam ich w szkole przedstawiali. Wszystkich nas zeżrą. Tak mniej więcej to wyglądało.

To też pamiętam. Stał na rynku, na środku placu, na takim cokole murowanym, jak ten stół i na takiej trzymetrowej rurze Lautsprecher, głośnik. Tam, jak ludzie z kościoła szli, to musieliśmy tych komunikatów... Ja nie musiałem nigdzie iść, bo miałem ten głośnik dziesięć metrów od domu. Tam były te kontgehungi. Kontgehung to znaczy masowe spotkania, jak jeszcze szli na Moskwę i jak szli na Stalingrad. Później już coraz ciszej było, po Stalingradzie.

Wjechali ci i koło tego głośnika, tak po śląsku powiem. Z rozpiętym płaszczem zeskakuje z czołgu żołnierz, głowę miał tak prawie na wysokości brzucha. Myśleliśmy, że ranny. I dwoje go tak pod pachę i idą prosto na nasz dom. Ojciec mówi – *Teraz my są straceni chyba.* Bo to wojna, strzelanina, palą się domy. I oni go do nas prowadzą. Chyba ranny. Tutaj była stodoła, a tu ja stałem. Cztery metry. Podprowadzili go pod ten płot, postawili. Jeden z tych, którzy go prowadzili wyjął z kabury pistolet. Patrzyłem oczyma dziecka na oczy tego chłopca, który nie miał więcej jak 18 lat. Przyłożył mu pistolet. Pach, pach. Przewrócił się. Ten drugi buty ściągnął i zameldowali w takim skórzanym futrze oficerowi, na pewno, że rozkaz wykonany. Stał tam wikary także. Już przyszło chyba dziesięciu ludzi na ten plac do tych Ruskich. Ja też tam byłem. Dzisiaj bym nie poszedł za żadne skarby, bałbym się. I wikary potrafił... Nazywał się Erwin Musche, później był budowniczym i proboszczem kościoła w Trzebiniu, ale to jest inna sprawa. On się zapytał tego oficera rosyjskiego, po polsku, znał polski, dlaczegoście go zabili. On pracował na Oberhofie, czyli tzw. Górny Dwór, w sensie gospodarstwo książęce, tam ich nikt nie pilnował. Pracował u księcia jako jeniec wojenny. I jak zobaczył czołgi ruskie, to leciał z tej górki do nich i oni... Może to był własowiec. Nie wiem, do dzisiejszego dnia nie wiemy. Już panuje dziesięć wersji na ten temat, a ja to widziałem. Powiedział jeszcze tak, to zapamiętałem – *Zdradził, dał się wziąć do niewoli. Za zdradę jest tylko u nas jeden wyrok – kula w łeb.* I spoczął ten ruski żołnierz, czerwonoarmista, razem z czterdziestoma pięcioma niemieckimi żołnierzami, przeważnie

podstarzałymi już ludźmi, którzy leżeli pod górkę... Jakby się od Częstochowy, od Boronowa już tu do Koszęcina... Ja ich wszystkich oglądałem kilka razy. Co siedem, osiem metrów jeden w rowie, bez tego serdecznego palca, gdzie miał pierścionek... (...), bo zmrożony. I pochowany cichaczem na ewangelickim cmentarzu, tam teraz robią jakiś ogród, nie oliwny, tylko... to ma taki religijny... Już używają terminu „na byłym cmentarzu ewangelickim”.

To już tutaj, jako dorosły człowiek, bo o dzieciństwie jeszcze mówimy, muszę powiedzieć, że jestem wrogiem nadawania takiej terminologii, tzn. że już prawie nic nie zostanie po tych, którzy byli Niemcami, ale nie Niemcami... nie można stawiać znaku równości, że byli hitlerowcami, bo wtedy to Polak inaczej oceniał. Nikt nie może za to, tak bym to troszkę przesadnie powiedział, jakiej narodowości był tam, gdzie się urodziłeś. Jest taka piosenka: Witaj domku mój rodzinny, witaj domku biały itd., w nim spędziłem wiek dziecienny i coś tam... tu mnie ojciec mój pocziwy żyć nauczał, ojciec wiary itd. Nikt nie wybiera sobie narodowości, w wieku dziecięcym, naturalnie. A Ślązak był wierny. Nie znaczy to, że Hitlerowi był wierny, bo tak niektórzy mówią. Dlaczego służyli, tak jakby ochotniczo szli? Jestem totalnym wrogiem, tu już moja taka dygresja do tego, wojny, każdej wojny. Nie ma wojen, w mojej opinii, sprawiedliwych, bo patrząc oczyma dziecka, którego wojna srodze doświadczyła. Nie tylko mnie osobiście, ale poprzez rodzinę. Moja mama płakała od 1939 roku do końca swojego życia za swoimi braćmi. Czemu oni zginęli, czemu oni zginęli? Ojciec swojego brata stracił i szukaliśmy go do końca, jak to tylko było możliwe. Nigdy nie wrócił ze Wschodu. Jak przyszła wolność... tutaj te volkslisty, któreśmy wspomnieli. To wielkie nieszczęście albo szczęście, zależy jak się patrzy. Jeżeli ze strony polskiej, to niedobra rzecz. Jeżeli ze strony niemieckiej, to dostaniesz obywatelstwo niemieckie. Dlaczego szedł po volkslista, podpisał volkslistę i tak też i naukowcy czasem mówią. To nie było tak. W moje ręce wpadły protokoły komisji przydzielającej volkslisty.

(2; 00:00)

W Warszawie zmarła, jest tam pochowana, pewna pani, która była w gminie i ona to wykradła. Po wojnie, przed Ruskami jeszcze. Zanim Ruscy się dostali ta komendantura powstała i zanim polskie władze objęły. Myśmy ich uhonorowali honorowym obywatelstwem Koszęcina albo zasłużony dla Koszęcina, tych ludzi, którzy po wojnie mieli świadomość, że to może kiedyś ludziom zaszkodzić. A im to zaszkodziło i w 1945, i w 1946 roku. To już jest inna karta albo inna strona naszej albo mojej historii, jako mieszkańca Koszęcina.

Najpierw te volkslisty to było tak: reichsdeutsch... różnie piszą, równają volksdeutsch i reichsdeutsch, zamiennie używają, w naukowych opracowaniach to słyszę. Zgłosił się jako volksdeutsch do volkslisty, reichsdeutsch nie dostawał volkslisty. Później była volkslisty 1, one miały kolory, volkslisty 2, 3, 3 auf wiederruf, abgelind – odrzucony. Auf wiederruf – trójka do odwołania. Niewielu się odwoływało, a otrzymali dwójkę. Jak dziecko padło, matka dostała dwójkę, jeżeli na froncie zginął. Für Führer, Volk und Vaterland. Za wodza, naród i ojczyznę. Straszny paradoks, patrząc z niemieckiej strony.

Ja napisałem kilka, niedługo, cztery lata temu, epitafium dla poległych w Koszęcinie. Zbierałem materiały do tej małej publikacji, przez najmniej dwadzieścia lat, bo ludzie nie pozwolili mi uznać za poległego kogoś, chociaż przyszło, że poległ. Polska, ani jednym rodzicom, nawet po wojnie, nie podziękowała za śmierć syna. Ja to dopiero zrobiłem. Wójta namówił, że gmina dała takie zaświadczenie, że „dziękujemy za śmierć dla ojczyzny”. Chociaż, jeśli nie lubię „Für Führer, Volk und Vaterland”, tak nie lubię, może to brzmi bardzo niedobrze, nie lubię śmierci na żadnym ołtarzu i za żadną świętość, tak bym to określił. Bo temu człowiekowi już życia nikt nie wróci. I patrząc na wojny nie tylko po jednej stronie, bo

taki patriotyzm bardzo zaawansowany idzie tak, jak w ilorazie inteligencji. Te kółko, jak już tam jest geniusz, to zaś później się tam debil zaczyna, tak by można powiedzieć. Tak to leci. I tak samo jest z patriotyzmem. Hitler też był tylko patriotą, dopiero później [powstała] Nationalsozialistische Deutsche Arbeiterpartei, wcześniej tak nie. Tak myślę, że za wszelką cenę mówienie, że dobrze zrobił... Ja nie mówię o Warszawskim Powstaniu. Byłem wychowany zupełnie inaczej, w polskiej szkole, i o AK, AL... Dzisiaj nikt nie wspomni o Armii Ludowej. Już o tych, co szli spod Lenino, jest cichuteńko. Bardziej o tych, którzy szli na Monte Cassino albo jeszcze o innych.

Zrobię taką dygresję. Słucham także niemieckich stacji, mam satelitę i słucham. Jest taka audycja, to się nazywa KTV, Katolische Television. W tej audycji... Tak żałuję, że nie mam książki tego ojca, który zmarł w wieku 94 lat, niemieckiego jezuitę. Opowiadał swoje życie. Miał być za dwa tygodnie wyświęcony, a propos Monte Cassino. Dostał powołanie do Wehrmachtu. Nie był wyświęcony. Dostał się, jako sanitariusz, na Monte Cassino. Po stronie niemieckiej, naturalnie. I on opowiadał, do Niemców to mówił, bo po niemiecku mówił... Szczupły taki, wysoki, smukły, zmarł później. Nie mogę do dzisiejszego dnia... Bo napisał książkę o Monte Cassino z niemieckiej strony. On opowiadał, jak staplował tych rannych, był cały czerwony jak rzeźnik, niemieckich rannych, których przynosili do trzymetrowej, klasztornej piwnicy. I nie mieli ich, gdzie układać. Jednego na drugim [kładli], osiem warstw. Ta krew ciekła po wszystkich. On to opowiadał. A miałem wujków dwóch, którzy byli po polskiej stronie, szli na Monte Cassino. Obaj opowiadali i trzeci wujek, podczas takich biesiad rodzinnych... Myśmy się tak w rodzinie zbierali, do stu dwudziestu ludzi była rodzina, świnie zabili i krowę zabili, żeby się wszyscy wyżywili. Przyjechał wujek Antoś z Francji, to była zawsze taka uroczystość. I opowiadali. Dzisiaj już tych weteranów nie ma. Weteranów mówię na tych i na tych, obojętnie, bo każdy był weteranem. I opowiadał mój wujek, Paule Greich, był po niemieckiej stronie pod Monte Cassino, a ten Bernard Irek, który już dawno zmarł, dostał się do niewoli właśnie tam. I oni mówili, jak my szli z tej strony, a my szli z tej strony. To są te śląskie losy.

Myślę, patrząc na tego księdza niemieckiego, który układał tych rannych umierających i mówił – *Tylko wołali: trinken, trinken, trinken!* Pić, pić, pić! A ten wujek mówił – *Nic więcej nie chcieli, ino pić, polscy ranni.* Dwa kilometry oddaleni od siebie. Tak było, ale to już jest inna sprawa, bo o patriotyzmie.

Ten rozdział, tak na dzisiaj, dotyczący mojego pochodzenia, mojego wczesnego dzieciństwa i tego dzieciństwa aż do ukończenia szkoły podstawowej, jeśli pan wyrazi zgodę, to byśmy może to zakończyli.

W 1945 w styczniu, miałem pierwszy semestr siódmej klasy szkoły podstawowej niemieckiej, czyli brakowało mi kilku miesięcy, abym był absolwentem niemieckiej Grundschule in Koschentin. Bo się Koszęcin nazywał Koschentin wtedy. Naturalnie do tego nie doszło. Powstała znów, już drugi raz w moim życiu, polska szkoła. Nie było podręczników. Moi rodzice, te podręczniki, które pan widział, myślę o elementarzu polskim, przechowali jakoś szczęśliwie przez okupację. Bo to była kara, do więzienia włącznie, nie wolno było posiadać żadnych polskich książek, a po wojnie nie wolno było niemieckich. Przez wojnę nie wolno było mówić po polsku, zaraz po wojnie nie wolno było mówić po niemiecku, totalnie.

Zaczęli uczyć literackim językiem. Powrócili ci przedwojenni nauczyciele. Tam już były albo dwie, albo trzy osoby, Ślązacy, którzy przed wojną skończyli seminarium nauczycielskie albo jakąś inną szkołę lub po prostu nauczyciel był nominowany. Pół roku tylko z książeczek do nabożeństwa, bo rodzice mieli „Droga do nieba”. „In Weg zum Himmel”. Tego samego autora, Skowronka, księdza, którego później prawie wysiedlili z

Polski jako Niemca. A on pisał, jak go natchnęło polską modlitwą i tłumaczył na niemieckie albo, jak drugi dzień wstał, napisał po niemiecku, przetłumaczył na polskie. Melodia była ta sama.

Myśmy się uczyli, ale gdzie tu czytać... Zbysz... s... z... nie do wymówienia... Zbyszek – Zbyszek. Przyszedł taki, myśmy mówili „z Polski”, Krych Zbyszek, Zbigniew. Byczek myśmy mu mówili. Bačka... Boże święty... krowy się nazywały „bačka” na Śląsku. Tak żeśmy myśleli, jaki ten dziwny świat jest. Jeszcze: Władek, Władek... brzmiało to bardzo dziwnie. Naturalnie dzisiaj to brzmi bardzo dobrze, ale wtedy... Zero z historii Polski. Nic, bo skąd? Zero z gramatyki polskiej. Zero z wszystkich innych przedmiotów, które miały związek z polską historią, geografiją, jakimiś tam pisarzami... Zostałem absolwentem ósmej klasy szkoły podstawowej z bardzo dobrym świadectwem. Czyli ci moi koledzy musieli wcale nie umieć jeszcze nic.

Później tak... rzemieślnikom i kupcom... Można powiedzieć, ja te sprawy badałem, pytałem się, poprzez wywiady itd., jak to z tymi volkslistami było. Jeśli ktoś nie dostał volkslisty w ogóle albo miał abgelind, to żona miała na pewno trójkę. Żeby chłopców do wojska wziąć, to było tylko tym kierowane. Ja w tych protokołach, które ta komisja... Ja mam kopie tych protokołów, które ta komisja przyznająca volkslistę pisała: Odun, der polnische König, że był nazwany polskim królem w Koszęcinie, ale on musi otrzymać abgeleget, bardzo dobry człowiek, krawiec, bez dwóch nóg, tak napisali, bo mu pociąg ujechał. Dziesięć dzieci, w tym pięciu chłopców. Żonie damy trójkę. Chłopcy poszli do Wehrmachtu, od króla Polski. Tak by to można za Korfantym itd.

Moi rodzice tak nie za bardzo, ale ja chciałem się uczyć dalej. Nie powiem, o jakim nauczycielu, może tam Bromer wspomniał albo i nie... Pojechałem do lublinieckiego gimnazjum, tak się to wtedy nazywało, bo gimnazjum to się już szło z piątej albo szóstej klasy, ale myśmy kończyli niemiecką szkołę. Ja myślałem, że mówię bardzo poprawnym polskim. [Powiedziałem], że chciałbyk się uczyć. – *Synu, najpierw się musisz po polsku nauczyć, później cię możemy przyjąć.* W Kaletach było gimnazjum przemysłowe. Taki był tam egzamin, bardzo śmieszny nawet dzisiaj powiem egzamin, ale pytanie – *Pracuje ktoś w fabryce? Czy ojciec był w polskim wojsku? Czy jeszcze tam coś...* – *Nie umiesz po polsku gadać, musisz się nauczyć.* Wcześniej jeszcze, przez rok albo przez półtora, wszystkie dzieci, których rodzice albo jeden z rodziców miał dwójkę, nie byli przyjęci do polskiej szkoły. wszyscy byli o rok spóźnieni.

Taki ksiądz Żurek Józek, długoletni proboszcz w Lublińcu, ksiądz dziekan, jak umierał byłem go jeszcze odwiedzić, to mi powiedział – *Janek, daj mi ręką, podnieś mnie trocha, bo mnie już tak boli.* Na drugi dzień umarł, ale jeszcze powiedział tak – *Pisz dalej o tym, co robisz i pisz prawdą, żeby inni wiedzieli. I tyż o moim ojcu.* Jego ojciec zginął, Ślązacy to nazywają powojenne obozy, tzw. polskie obozy. Nie wiem, czy pan taki termin słyszał. Z Koszęcina też parę oddało tam życie. W niemieckich obozach naturalnie około dwudziestu zginęło. I tu nie wolno było o tym mówić. Tak sobie myślę, że zostaną te epizody wtedy, kiedy napiszemy europejską historię, bo do tego wcześniej nie będzie porządku, w Unii Europejskiej, ani nigdzie. Jeśli nie będzie wspólnej historii i nie uwierzemy, że przebaczymy i prosimy o przebaczenie, i z niemieckiej strony klękną w Auschwitz i kanclerz itd. Jeśli nie będzie takich gestów, to nie pójdziemy do przodu. Ta historia musi być prawdziwa. Każda ze stron musi w swoim patriotyzmie powiedzieć, że ta kreska musi być zrobiona. Musimy się po prostu w jakiś sposób rozgrzeszyć wzajemnie, bo inaczej nie będzie ani pokoju...

Ja nie skończyłem o tych żołnierzach... Epitafium dla poległych. Kiedy ich wszystkich z nazwiska, 377 wymieniłem, tych, którzy polegli w wojnie napoleońskiej w 1813 roku, 46, w Koszęcinie, 106 w pruskiej armii, 170 w Wehrmachcie, 9 w polskim wojsku, w

obozach itd. I zrobiłem cywilny apel poległych w kościele św. Trójcy. Ja ich tam zwołałem na apel. Jutro pan tą książkę zobaczy. Zwołałem ich i ludzi, i władze Koszęcina. Wszyscy płakali. Dwóch chłopców, braci, z piękną dykcją. Każdemu z nich dałem tą książkę. Wertowali strony i wołali ich. Ciebie, taki i taki, który oddałeś życie za Najjaśniejszą Rzeczypospolitą... Ale ani Niemcom, ani Polakom, ani Prusakom nie było „polegli na polu chwały”, tylko było „wieczny odpoczynek racz im dać, Panie”. I był redaktor (...), znany dziennikarz, z „Polityki” także, jak się dowiedział o tym. Był u mnie i napisał artykuł w „Polityce”. I mam telefon na drugi dzień. W środę wychodzi „Polityka”, na drugi dzień z Ameryki mam telefon. – *Dzień dobry. – Dzień dobry. – Chciałam mówić z panem Janem Myrcikiem. – Jestem przy aparacie. – Chciałam panu wyrazić moje najserdeczniejsze podziękowania, że znalazł się w Polsce człowiek, który wszystkim żołnierzom, którzy polegli, każe powiedzieć „wieczny odpoczynek racz im dać, Panie”.* Ja mówię – *Przepraszam, skąd pani dzwoni? Myślałem, że z Koszęcina albo skądś. – Ze stanu takiego i takiego. Jestem urodzoną w Krakowie wtedy i wtedy. Od trzydziestu pięciu lat żyję w Stanach Zjednoczonych. Pracuję w takim i takim instytucie.* Ja mówię – *Ale jak to, „Politykę”... – Proszę pana, w Polsce wychodzi „Polityka” o godzinie szóstej, to my już ją mamy o wpół do szóstej.* Czyli tak po europejsku na tą sprawę spojrzałem. Tak sobie myślę, puentując nasze dzisiejsze rozmowy, tak trzeba patrzeć.

Ja doświadczyłem tej rocznicy... ta rzeź... We Francji spotkałem się po raz pierwszy w 1968 roku, w Charleroi mój wujek był proboszczem polskiej parafii, z Polakami, którzy stamtąd zostali uratowani. Kilka razy widziałem w telewizji to ukrzyżowanie tej trójki dzieci wokół drzewa. Widział pan to też? Jednymi gwoźdźmi rączki przybite itd. Myślę o UPA i o tych sprawach. Ta kobieta tam ciągle płakała, w tej małej wiosce w Charleroi. Do kościoła tylko kobiety chodziły. Ja mówię wujkowi raz tak – *Wujek, gdzie jest mąż pani Stasi? – On nie chodzi do kościoła. – A gdzie jest mąż tej? A gdzie jest mąż tej?* Myśmy się tam po prostu tak poznali, miesiąc tam byłem. I ta kobieta mówi – *Ja już nigdy do Polski nie pojedę, bo naszą wioskę spalili i tak teraz przebaczyć...* Jak to jest ciężko, a trzeba to zrobić, prędzej czy później. Tzn. jest to prawie niemożliwe.

Archiwa otwierają przeważnie, to nie jest reguła, ale tak po pięćdziesięciu latach. Niemcy, Anglia otwierała archiwa dla andersowców może osiem albo dziesięć lat temu. Wcześniej – dla Niemców zdrajca. Z Wehrmachtu przeszedł do Andersa. Ale wcześniej Niemcy nie wiedzieli. Nie napisał. Był w Wehrmachcie, zdjęcia jako załącznik dał, że volkslista zwei itd. I dostał obywatelstwo. Później przychodziło, ja pisałem niejednemu, to też nie jest tajemnica, przychodziło po niemiecku i po angielsku, podpisać. „Czy służyłeś w innych armiach w czasie wojska od Wehrmachtu?” I oni mieli to już. Oni się jeszcze pytali, ale oni mieli. Myślę, że muszą umrzeć co najmniej dwa pokolenia, jedno, które bezpośrednio brało udział i drugie, które ma jeszcze tą pamięć z domu rodzicielskiego, że ojciec siedział w Auschwitz... Już dzisiejsza młodzież... Robota, praca, chleb i dziengi, tak w większości jest. Naturalnie jest trudno mieć świadomość obywatelską albo być obywatelem świata czy obywatelem Europy. To nie jest tak szybciusienko. Nie ma takich statystyk, tam w tych filmach pokazywali, ilu ludzi nie przyznaje się do Polski.

Ja jeszcze panu powiem o tym moim wieku albo o tym moim stosunku do wojen i wojowania – jest negatywny totalnie. Powstania bardzo często, nie używam terminu powstania śląskie, tylko wojna bratobójcza. Ślązacy się nie mieli o co pracować. Ich świadomość wtedy nie była świadomością polityczną i obywatelską. Mnie powstańcy mówili jeszcze, jak się dostali... ja to mam nagrane. Oni już są trzydzieści lat w grobie. Ja ich mam nagranych. To jest bardzo negatywne. Takiego obrazu nie było, ale oni mi ten obraz przedstawili. Od browaru do browaru. Tam my leżeli w krzypopach. Krzypop to jest rów. Tyla gorzały my

wyżarli i się powstanie skończyło pod Górą św. Anny. Po wojnie szpryngli niemieckiego majora pomnik i wybudowali pomnik, który dzisiaj się prawie przewraca, bo już nie ma ludzi, którzy bezpośrednio...

Ja jeszcze powstańców śląskich wozilem, autobus zespołu „Śląsk” wypożyczyłem i zrobiłem im pielgrzymkę szlakiem walk powstańczych. Głównie trzecie powstanie, bo drugie i pierwsze, tutaj w naszym rejonie nie miały miejsca. U Opilki, w Babienicy, 19 km w stodołę, gdzie dostali broń, później szlakiem cmentarzy, gdzie oni spoczywali, aż na Górę św. Anny. To było w 60-lecie trzeciego powstania śląskiego. To jeszcze byli ci żywi ludzie, że ich się widziało i słyszało, i to ich się słyszało różnie mówiących. Naturalnie barwności dodawali historycy. Im bardziej odległe, tym albo zapominali, albo wskrzeszali. Tak jest i dzisiaj. Z całym i wielkim szacunkiem... różny jest stosunek do powstania warszawskiego. Niejedni zadają sobie pytanie, 250 000 ludzi, tyle młodych istnień. Dwadzieścia parę czy trzydzieści parę dni to trwało, Warszawa totalnie zniszczona. Praga przeprosiła Hitlera za coś, że tam jakiś epizod był i Praga została ocalona. Polska nie miała patriotyzmu wcześniej takiego, o jakim my dzisiaj myślimy. Nie było, bo była lojalność wobec zaborców, czy jak ich się tam nazywa. Ja nigdy nie powiem, że państwo pruskie było zaborcą Śląska, bo to nie prawda. W 1724, w wyniku wojen austriacko-pruskich, Śląsk dostał się w 1742 pod panowanie państwa pruskiego i nie mógł się później zabrać tego samego. Byliśmy dwieście, mówiąc na okrągło, lat pod koroną czeską, byliśmy dwieście, na okrągło, lat pod panowaniem Habsburgów czy Austrii, wspaniałego rodu, którego genealogia trwała sześćset lat, byliśmy pod panowaniem pruskim do końca II wojny światowej. Później był osiemnastoletni pobyt w Polsce. W Częstochowie już inaczej myślą, żeśmy należeli do Generalnej Guberni. Tu jedna pani przyszła, pracę magisterską pisała i mówi – *Jak pytałam pana o historię, to pan powiedział, że należeliśmy do III Rzeszy, a mój promotor kazał mi to skreślić i napisać „do Generalnej Guberni”*. Ja mówię – *Niech pani pisze tak, jak ja pani mówię, a nie jak pani promotor mówi*. To może być nagrane, proszę pana, bo tutaj ich bardzo dużo przychodzi. Ja mam dosyć sporo prac magisterskich z podziękowaniem za udzielenie pomocy, bo za nikogo bym nie napisał nigdy w życiu, bo bym mu zaszkodził, by się musiał wstydić do końca życia. Z Rusinowic była ta pani. I tak napisała. I obrona pracy magisterskiej jest i promotor zadał pytanie „kto pani tak powiedział?” mówi – *Panie Myrcik, ja mu powiedziałam, że pan i już myślałam, że mam przerypaną sprawę*. A on mówi – *Pan Jan Myrcik? Proszę go pięknie pozdrowić i jeżeli on tak pani powiedział, to mu wierzę*. Znałem [go] bardzo dobrze, bo był dyrektorem wydziału kultury, a ja byłem dyrektorem Gminnego Ośrodka Kultury w Koszęcinie wtedy. Jakie trudne są jeszcze i dzisiaj... Byliśmy dwadzieścia lat w województwie częstochowskim i Częstochowa myślała... A dzisiaj też się pisze „Koszęcin koło Częstochowy”. To są chwytły polityczne, które się robi. Na Śląsku są tendencje uczenia języka śląskiego w szkole. Do mnie przychodzą i ci, którzy to organizują z góry i inni mnie się pytają – *Panie Myrcik, jak pan myśli o tym śląskim?* Też napisałem taki artykuł i tak mówię: najpierw – nie ma takich nauczycieli, którzy by uczyli po śląsku, a jeśli by ktoś chciał prowadzić podstawową szkołę w języku śląskim, to nikt bardziej nie zaszkodzi Ślązakowi, jak ci by zaszkadzili, bo by edukacja się skończyła na tym poziomie. Ani by w niemieckiej szkole sobie nie poradził, ani w polskiej szkole dalej, jakby się po śląsku uczyć.

Ta cześć, z której mnie pan przepytuje, mówiąc trochę w cudzysłowie, jest i dla Ślązaków... Tzn. Polacy nie znają historii Śląska, ale muszę to powiedzieć z całą świadomością, że Niemcy jeszcze mniej znają. Prawie każda rdzennie śląska rodzina ma tam swoich krewnych albo bliskich. I jak tam już miałem wiele razy, jak tam bywałem – *Pomóż ino mu to napisać*. Bo tam jest wszystko w formie ankiet i dlatego nie umieją niczego. A później go w szkole pyta, nic nie wie.

Muszę panu o pewnym epizodzie powiedzieć jeszcze. Ta książka, przetłumaczenie publikacji „Die Weisse Rose” Inge Scholl na język polski, to jest taka ciekawa sprawa, której nie doświadczy żaden Polak już, bo już umarła Inge Scholl dawno, a ja ją znałem jako jedyny może z Polaków. Ona mi powiedziała tak, jak zajechałem. W Szwajcarii jej najmłodszy syn, Manuel Eicher, po ojcu, wybitnym profesorze niemieckim, ojcu światowej piktografii... Pojechałem tam. Ja z nim współpracowałem przez dziesięć lat, pomagając mu w poszukiwaniu ludzi, dlatego, że znałem język niemiecki i mogłem pewne badania przeprowadzać. Za to mnie dzisiaj nikt już nie zamknie, ani podatku mi nie doklei. Zostałem zaproszony kilka razy do Szwajcarii, w Dietikon mieszkał. I to jest taka ciekawa sprawa, proszę pana. Spałem w bibliotece. Ma dom, ma Familienvorschung, biuro, doktor prawa, niesamowicie dobry człowiek. Mama mieszkała w Rotis nad Bodensee, nad Jeziorem Bodeńskim, 40 km tylko i już inne państwo. On poznał Szwajcarkę, ożenił się z nią. Tak się kładłem spać i patrzę na książki. Old Eicher to był jego ojciec, którego przejechała sąsiadka, przy domu. Old Eicher „In der Wüste gehen”, „Iść przez pustynię”, Old Eicher „Alles über die Küche”, „Wszystko o kuchni”, Old Eicher „Das Innere des Krieges”, „Wnętrze wojny”, Old Eicher, Old Eicher, Old Eicher... Jedna książka... Całe rzędy... I trzy książeczki Inge Scholl, wśród nich „Die Weisse Rose”. I tak wziąłem o godzinie jedenastej wieczorem, słońce akurat zaszło. Wziąłem tą książeczkę, mówię – *Die Weisse Rose... Biała róża... To będzie jakieś romansidło, ale poczytam*. Nie wiedziałem, że to jego mama, bo Eicher się nazywa, a ona Scholl. O godzinie 5:00 223 strony przeczytałem. [Schodzę] na śniadanie – *Jan, wie hast du geschlafen? Jak ci się spało? – Ich habe gar nicht geschlafen. – Mein Gott, daczego nie spałeś? – Czytałem książkę. Die Weisse Rose. – Ooo, das habe ich noch nicht gemacht*. Tego ja jeszcze nie zrobiłem. Ja mówię – *Straszna rzecz*. A on mówi – *Inge Scholl to jest moja matka*. Ja mówię – *To Hans i Sophie Scholl to byli twoi ciocia i wujek? – Tak. – Niemożliwe*.

W niedzielę zaprosił mamę, pojechał autem, przywiózł. Cała rodzina... To ma po polsku nazwę, że jest ser taki na gorąco i ser się macza i wszyscy... Taki Bruderschaft można by powiedzieć. To ma jakąś nazwę, nie potrafię sobie w tej chwili przypomnieć. Jego brat, dyrektor szkoły... Nauczyciele są najlepiej płatni na świecie w Szwajcarii. Tak że ja słyszałem tam to, nawet nie mogłem uwierzyć, bo za dwa lata tego nie zarobiłem, co on za miesiąc. Ta matka miała taką opaskę na szyi, była operowana już kilka razy na krtań, raka miała, później dopiero się dowiedziałem.

Ja, jak robiłem książki i robiłem Zusammenfassung po niemiecku, to faksem wysyłałem do Manuela. Nie szukałem tutaj kolegów germanistów itd., tylko żeby mi tam korektę zrobił, sprawdził. Dwie godziny i miałem tekst poprawiony, faksem przyszedł. I „jak ten Myrcik pięknie po niemiecku pisze”.

Mówi ona do mnie tak poważnie... To była ta, która te marsze wielkanocne rozpoczęła. To była ta pani, która utworzyła uniwersytet powszechny, żeby Niemców służących w Wehrmachcie, będących w HJ, NSDAP i we wszystkich partiach – coś straszego – uczyć, że można być dobrym człowiekiem. To później zostało włączone do Uniwersytetu Monachijskiego. I ona mi mówi, po niemiecku bym to powiedział, bo to pięknie brzmiało, ale – *Słyszałam od Manuela, że pan przeczytał moją książkę. Jest przetłumaczona na dziewięćdziesiąt sześć języków świata. Polska nie chce przetłumaczyć. Proszę pana, żeby pan to zrobił*. Ja mówię – *Mein Gott! Das kann ich nicht machen! Mój Boże! Nigdy w życiu! – Machen Sie das, bitte. Die Russen und Chinesen już też tłumaczą*. Ruscy i Chińczycy... Przyjechałem do Polski. Poznaniaka, profesora Antoniego Gładysza, socjologa kultury, mojego przyjaciela i promotora moich zaocznych studiów zapytałem o to. Mówi – *Janek, koniecznie! Ja będę recenzentem tej pracy*. On tam w tyle jest napisany. I to zrobiłem, ale ona wydania już nie doczekała, bo zmarła wkrótce. I jak faks był do mnie pisany, to zawsze było:

Pozdrowienie od mojej mamy. Sie fragt, wie weit ist „Die Weisse Rose”. Pyta, jak daleko jest ta „Biała Róża”.

To jest też takie, co mnie bardzo cieszy i dodaje mi pewnej dumy. Przyjechała tu kiedyś tragicznie zmarła, architekt, wybitna ucząca także w średnich szkołach budowlanych. Poznałem ją, przyjechała raz. - *Dowiedziałam się od dyrektora szkoły, że pan już ma kilka próbnych egzemplarzy tej książki, tego polskiego tłumaczenia. Przyjechałam, pan mi musi dzisiaj jedną książkę dać, bo w moim ogrodzie robimy ognisko, na którym będzie Duda-Gracz, na którym będzie profesor Jan Malicki, dyrektor Biblioteki Śląskiej i jeszcze kilku innych.* Ona w piątek przyjechała, z piątku na sobotę przeczytała i przez plot dała Malickiemu, bo on też ma tam dom widocznie, i ten profesor przeczytał. I miałem telefon z Biblioteki Śląskiej. To [była] najradośniejsza chwila w moim takim twórczym, jeśli tak można powiedzieć, życiu – *Mówi sekretariat profesora Malickiego, Biblioteka Śląska, pan profesor będzie rozmawiał.* Chryste Panie, nie widziałem go jeszcze, ale słyszałem [o tym] niesamowitym uczonym człowieku. – Panie Janie, tak bardzo chciałem pana spotkać. Jest taka okazja. Rozmawiałem przed chwilą z profesorem Bartoszewskim. Jesteśmy oboje tego samego zdania, że tej „Białej Róży” robimy promocję w Bibliotece Śląskiej. I miałem tam promocję tej książeczki, która mi sprawiła wielką radość. Sala pełna. Cieszyło mnie, jak dawałem autografy profesorom, ludziom nauki, ludziom szkolnictwa i innym. To już zahacza o to, czym się Myrcik zajmuje.

(3; 00:00)

**(G. K.): Z tego, co Pan mówił, zapamiętałem, wywnioskowałem, że do 1935 roku mieliście jeden dom, a od 1935 tata wybudował nowy dom, tak?**

(J. M.): Tak.

**(G. K.): Chciałem się dowiedzieć, jak ten dom wyglądał, jeden i drugi. Chciałbym usłyszeć jakiś opis tego domu, rozmieszczenie pokoi, atmosferę domu.**

(J. M.): Każda córka mojej śp. nieodżałowanej babci, Anny Drescher, miała najpierw po ślubie, a sześć ich było, mieszkanie u niej w domu na piętrze. Tama była komórka, sypialnia i pokój. I każda tam mieszkała do czasu usamodzielnienia się albo wybudowania domu, albo też jeśli się ożeniła z kimś z przemysłu, np. z Chorzowa czy z Kalet, gdzie fabryka papieru była i były domy – familoki zakładowe... Myśmy też mieszkali na Dąbrówce. Tam się urodziłem u tej babci. A ojciec miał swój zakład w takim starym budynku po swoich rodzicach.

W 1935, albo w 1934 może, to miałem 3 latka, tak dokładnie nie pamiętam, rozpoczął budowę. Wyburzyli tą przednią część tzw. starej budy. Dzisiaj bym ten dom tam chętnie na rynku widział, dam były wszystkie domy takie piękne. Tymi szczytami sięgały rynku, a później tam były ogrody. Wybudował właśnie ten dom z tym Einfahrtem. Skromnieśmy mieszkali. Na dole babcia miała jeden pokój i taką małą sypialnię. Ojciec swój zakład ze sklepem miał na dole. Później były schody, na prawo się wchodziło, to już było takie zorganizowane, do kuchni, na lewo do sypialni i to było wszystko, bo nad wjazdem nie miał ojciec pieniędzy wykończyć. Dopiero po wojnie zostało to zabudowane pokojami. Tam teraz siostra mieszka. Tak że życie, warunki mieszkaniowe, nie były komfortowe. Studnia w ogródku, z resztą nie było innej możliwości. Wyjmowało się na tzw. kosturek, czyli zahaczało się te wiadro i wyjmowało się wodę. Woda była bardzo płyciusienko położona, może tak pół metra, że szło nawet ręką... Do dzisiejszego dnia jest tam źródło.



(G. K.): **A ziemię jakąś rodzice posiadali? Uprawiali?**

(J. M.): Ziemi rodzice nie posiadali. Nie. Ojciec żył tylko z pracy rąk.

(G. K.): **Proszę mi opowiedzieć o tym zakładzie. Skąd posiadał ojciec fach szewski i o tym zakładzie, bo Pan mówił, że miał jakichś pomocników.**

(J. M.): Większość braci ojca podzieliło los mojego dziadka, czyli pracowali albo w lasach u księcia, albo byli murarzami, jak wujek Paweł, jeden pracował na Holzplatzu, czyli na składnicy drzewa itd. A ojciec pojechał do miasta powiatowego, Lublińca, i tam u innowiercy, u ewangelickiego mistrza nauczył się swojego fachu. Gdzieś w latach... kiedy już tutaj Polska nastała, bo w 1918 roku chyba skoczył tą naukę, to się wojna kończyła i później, w 1924 czy którym, założył już swój prywatny zakład. Pożyczył pieniądze, pamiętam, tak zawsze mówił, 1250 zł na maszynę do szycia, później na jakąś taką inną jeszcze maszynę, tak to uprzemysłowił. I naturalnie szył buty księciu, zawsze wg modelu, wg żurnalu, urzędnikom wyższym. Były takie nawet dosyć ciekawe epizody, kiedy książę... przyszedł ten jego Leibeger, czyli ten pierwszy służący, jeśli to tak można oddać... brzmi zupełnie inaczej... że – *Prinz musi mieć inne buty, po tyrolsku szyte trzy razy, bo zrobił majster dwóm nadleśniczym takie same buty. To tak nie może być.* Ojciec żył z tej pracy, miał czeladników, przeważnie z Polski. Jak tu mówię „z Polski” to brzmi dziwnie, ale oni stamtąd przychodzili. Podczas wojny też u ojca pracował, ale przez Arbeitsamt, taki Wacek Enclowitz, pochodzenia żydowskiego, czyli inaczej można by powiedzieć, że się trochę ukrywał, ale myśmy tej świadomości nie mieli, dopiero po wojnie żeśmy się dowiedzieli. Ten Enclowitz to jest taki ciekawy epizod. Był wybrany, w latach 1945-1946, kiedy odbywały się rehabilitacje dwójkarzy, sąd lubliniecki zajmował się tym, czy łaskawie tym ludziom przywrócić obywatelstwo polskie czy też wywieźć ich do ośrodków odosobnienia, bardzo delikatnie to nazywam, gdzie musieli przesiedzieć, a często i umrzeć... Enclowitz bywał świadkiem po stronie polskiej. Byli w stu procentach pewni, i te władze lokalne Koszęcina, że on pomoże ich zamknąć na dłuższy czas. Stało się zupełnie odwrotnie. Prawie wszystkich on bronił i obronił. Zamiast, miał dostać siedem lat, to przyszedł do domu. Bo akt oskarżenia, np. takiego Wieczorka, który miał 19 lat jak go do SS wzięli – do SS-u też się nie głosili na ochotnika, naturalnie w początkowej fazie tak było, ale później rosły mężczyzna, dobrze zbudowany, dostał ten sztempelek grupy krwi tutaj i był rozpoznawalny do końca życia – i ten Wieczorek dostał siedem lat. To pamiętam tak dokładnie, bo to był mój sąsiad, jak przyjeżdżał na urlop w pięknym mundurze. Oni ze wschodniego frontu najpierw jechali do Warszawy, tam była kwarantanna, odwszenie, wymycie, wykąpanie, wystrzyżenie i przyjechał do domu jak lalusia. Piękny żołnierz. I zawsze Francik Wieczorek wstępował do zakładu mojego ojca – *Dzień dobry, Franciek, jak ci idzie? – Jak tam Wacek?* Mnie dawał pepechę, wyjął magazynek – *Pobow się tym.* Po śląsku naturalnie mówił. Szedł dalej. Akt oskarżenia zupełnie inaczej brzmiał, że nigdy po polsku nie mówił, że jak Polaka, to tylko „polnische Schwein” albo coś takiego. Przekręcone wszyściusieńko. Więc Wacek Enclowitz pośmiertnie otrzymał także [tytuł] zasłużonego obywatela Koszęcina po wojnie, za to, że obronił... Wiedzieliśmy, że ukrywa na poddaszu u Czoka, kowala, trzech Polaków. Brał im jedzenie. Nas też obronił, bo myśmy też byli wywiezieni, bo ojciec należał do tej grupy takiej bardziej niemieckiej, tak by to można określić, jeśli w ogóle tak można określać. Dlatego, że mówił... On był u Niemca, uczył się zawodu, pracował w tym Lublińcu, agitował na powstaniach też jeszcze, ale za Niemcami, on nie wiedział co za kartki rozdaje, jak tam sprzedawali na targu towary. To

dawał te karteczki, to było takie nieświadome jeszcze, to tak nie wyglądało... Dzisiaj w filmach Kutza to wszystko tak wygląda, że to tak... to tak nie było dokładnie poukładane.

Właśnie dlatego mówię o tym i mi się przypomniało, że mój wujek, Józef Myrcik, ten brat mojego ojca, powstaniec wielki, był radykalnie po polskiej stronie, a ojciec, jeśli by mnie się ktoś zapytał... bo to jest też śmieszne... Tak jak się mówi Plac Powstańców Warszawy, kilka dni temu mówili, ale nie wiadomo... w komunie już był Plac... ale nie wiadomo, o jakich powstańców chodziło. I tak my mamy tutaj ulicę Powstańców Śląskich. Ja mówię, to jest dobra ulica, powstańców śląskich, czyli cześć dają wszystkim. Tak by to wyglądało, chociaż to jest paradoks. [śmiej] Chodziło na pewno... Nazwa ulicy z tzw. Hauptstrasse została zrobiona ulica Główna, a później dali ulicę Powstańców, ulicę Opiełki. To jest tego, który w Dachau zginął, polskiego... Bardzo ciekawa... Ja napisałem w tej książce „Epitafium” jego życiorys.

Przyszła raz, taką odskocznię robię. Przy kościele św. Trójcy, po wieczornej mszy św., taka pani przeprosiła mnie – *Panie Myrcik* – ciemno już było, to może było w październiku – *czy może mi pan parę minut poświęcić?* Trzymała taką teczkę żółtą. Tam była msza się za moją rodzinę, ona wiedziała, że na pewno tam będę w tym kościółku. – *Moja siostra Ela umarła, a Ela trzymała te akta po ojcu i żodnemu nie dowala.* Ja mówię – *Dobrze, może mi to pani dać.* – *Ja by tam tak jutro albo za pora dni do was przyszła i byście mi pedzieli, co tam jest napisane, bo ojciec tylko z obozów pisał po niemiecku.* Tam znalazłem listy obozowe Opiełki, pisane do swojej żony pięknym niemieckim gotykiem. *Liebe Frau, kochana żono, dbaj o nasze dzieci, jak jo przyjda z tego obozu, po niemiecku pisane, to będą robił dziesięć razy tak jak tu.* Tu nie moga wom nic, tylko prosza o pieniądze, pošlijcie mi. I zawsze statystyka. Matka z Babienicy posłała mi 5 marek, bo tu można chlyb kupić. Siostra, mieszkająca... gdzieś tam... posłała mi 2 marki, móg żek zaś tego kupić. I w ten sposób może tych dziesięć listów, które się zachowało. To jest taka lektura, w której człowiek musi się poddać takiej głębokiej refleksji nad ludzkim losem, szczególnie losem Ślązaka.

I tu muszę panu powiedzieć, w nawiązaniu do ochotników Hallera, do ochotników Andersa, do ochotników I Armii Wojska Polskiego... Jak ci ochotnicy wyglądali, których ja przesłuchiwałem, w sensie, którzy mi się zwierzyli. Opiełka i Ochmann hallerczyk byli żołnierzami pruskimi. We Francji dostali się, po dwóch latach, do niewoli, do jednego obozu jenieckiego, nie do wytrzymania. I tam przyjechały wojska Hallera werbować. Werbunek polegał na tym, że każdy kto po polsku mówi chciał się wyrwać z tego łagru. Tak z nimi, tzn. z nimi nie, bo obaj zostali straceni, jeden w Cytadeli Poznańskiej ścięty w 1939, w grudniu, Ochmann hallerczyk, a Opiełka zaraz był zaaresztowany w październiku 1939 i zginął w Dachau, przechodząc najpierw kilka obozów, od więzienia w Lublińcu, później w Opolu i ta cała drabina... w 1941 już go na tym świecie nie było. Opiełka w drodze z Francji do Polski zrobił kurs oficera rezerwy i w trzecim powstaniu brał udział jako dowódca plutonu. Oficer z pruską szkółką podstawową. Oberstufe. Od klasy 1 do 3 to było Erstestufe, a od 3 do 8 to było Zweitestufe, drugi... Od hallerczyka wpadły mi prokokóły żandarmerii koszęcińskiej, jak był przesłuchiwany, że donosi stary kupiec koszęciński, nazwiska prosił, żeby nie ujawniać, „że pan był bardzo wrogo ustosunkowany do miejscowych Niemców, że pan przechowywał sztandar powstańczy, że...” i jedno oskarżenie za drugim, a on wszystkiemu zaprzeczał. – *Sztandar, owszem, to się przyznaję, że był. Byłem w Armii Andersa, przyznaję się, że byłem. Byłem w strasznej francuskiej niewoli...* Do więzienia, do Poznania. Na Boże Narodzenie otrzymała żona, że stracony. Jego syn trzy miesiące później zaciągnięty do Wehrmachtu, zginął w obozie. Tutaj mieszkali, trzeci dom obok mnie, na tej samej ulicy.

Z Andersem podobna rzecz. Ja nie twierdzę, że się nie zgłosili ochotniczo, ale wszyscy bardzo chętnie. Nikt nic nie podpisywał, żadnego aktu, że się zgłasza. Tylko z tej niewoli...

Bernard Irek mi to opowiadał, jak on się dostał... Był w takim leju poarmatnim, co tam spadła, siedział pałatką nakryty, a obok niego pozabijani, którzy się chronili albo od zimna, albo od słońca takimi pałatkami. Jeszcze mówi tak – *Widziałem chleb* – bo kilka dni trwały zanim ich wzięli – *pociągnąłem tą pałatkę i tam była bułka, po której mrówki chodziły*. Wziął to i zjadł. I słyszy z tyłu, Murzyn bierze go do niewoli. A tam już byli polscy oficerowie, którzy się pytali, skąd jest. Jak się okazało, że jest Ślązakiem, to na drugą stronę. I już był.

W Koszęcinie przyszli też w 1945 albo 1946 taka grupa repatriantów. Były to bolesne dla Koszęcina chwile, bo przygotowywano dla nich posesje. W Koszęcinie i na całym Śląsku było wówczas takie słowo używane: wywiezienie Niemców. Wywozili. To polegało na tym, że rollwaga, to taki ciężki wóz jak ciągnięty przez konie, jak mniej więcej ten pokój szeroki. Ja widziałem jak ich ładowali, tych ludzi, na tym placu, gdzie przyszła armia wyzwolenicza 19 stycznia. I wieziono ich do wyszabrowanych nie magazynów, tylko hal fabrycznych lublinieckiego Lentex-u. Wcześniej się to nazywało Spinnerei, tam robili jakieś włókiennicze rzeczy. Tam ich przetrzymywano przez pewien czas, później ładowano do wagonów bydłowych i wieziono w kierunku zachodnim. Oni przyszli, tak w dziewięćdziesięciu procentach z powrotem, po miesiącu, po dwóch, po trzech, ale już nie mieli swoich domów. Czasem łaskawie nowy właściciel ofiarował im jakiś tam pokoik, a później nawet dochodziło do tego, że oddawano im domy. Było kilka takich przypadków. Ale to nie byli Niemcy, to nie byli hitlerowcy, to byli normalni ludzie, którzy mieli fajne chałpy.

Wspomniałem wczoraj, że w październiku czy w listopadzie, nie pamiętam już dokładnie, chyba w listopadzie, 12-ego, było to święto Wojska Polskiego i ci weterani zawsze byli na scenie. Ja to wszystko organizowałem, byłem dyrektorem tego ośrodka kultury. Przyjechali wyżsi oficerowie polscy, zawsze jakiś radziecki oficer był zaproszony także, bo to była taka wielka przyjaźń... I był taki pan, nazwisko może nie jest istotne. W takiej myśliwskiej sali z kominkiem, którą pięknie urządziłem w zbudowanym przeze mnie Domu Kultury. Takie wspomnienia i pytania – *Jak pan się dostał do Ludowego Wojska Polskiego i jak pan walczył pod Lenino, jak pan szedł dalej... Jak to było?* Okazało się, że on pod Lenino jeszcze nie był, dopiero został zaciągnięty, jak jego tereny Rosjanie już wzięli. Przyszedł po tym zebraniu do mojego biura, siadł sobie na takiej meblościance, meble też trzeba było na przydział wtedy kupować. Miałem taki fajny mebelek w swoim biurze, bo się znałem z tą panią, który miał coś w rodzaju... Te półki, że były jakby takim miejscem takiej sofy do siedzenia. Tam sobie ludzie czasem siadali. I on sobie tak siadł i mówi – *Panie dyrektorze, już nigdy nie przyjdę tutaj. Jestem ostatni raz dzisiaj. Nie przyjdę na dzień Wojska Polskiego. Nigdy*. Ja mówię – *Dlaczego mi pan to mówi? Czemu tak?* – *Ja nie mogę kłamać. – Przepraszam, ale o czym... – Jaki ze mnie był ochotnik? Przyszli, soltys zadzwonił albo rozdzwonił wieść „wszyscy mężczyźni zebrać się na placu przed szkołą”. Ustawili nas w dwuszereg: pierwszy szereg 1 Armia, drugi szereg 2 Armia Wojska Polskiego. Później 7 czy 10 km, nie pamiętam dokładnie, pieszo na dworzec. I tka mój syn był w 2 Armii, ja byłem np. w 1 i jechaliśmy w kierunku Berlina*. Czyli nie zawsze jest tak, że ochotnik jest ochotnikiem. Ja sobie tak myślę i jestem pewny, że jest mało ludzi, którzy chcą swoje życie ofiarować na wojnie. Fanatycy, czasem w pozytywnym znaczeniu tego słowa, a czasem rzeczywiście, jak u Hitlera to było tak, bo byli tak ogłupieni, tak mieli mózgi sprane, że wierzyli, że za tego wodza trzeba życie oddać. Ja „Mein Kampf” nie doczytałem nigdy do końca, chociaż w siódmej klasie to była lektura. „Mein Kampf” Hitlera. Można go kupić w oryginale, z dedykacją na dzień ślubu, bo wszyscy, którzy brali ślub cywilny podczas wojny otrzymywali „Mein Kampf” jako podarunek tego urzędnika stanu cywilnego. Na giełdach można kupić te polskie tłumaczenia, o które były, można powiedzieć, nieporozumienie. Chyba we Wrocławiu został wydany w języku polskim.

Tak sobie myślę, uwierzyli ślepo, bo byli wychowywani od dziecka. Bardzo mądrze Goebbels to robił, mądrze z niemieckiego, hitlerowskiego punktu widzenia. Bo te małe dzieci tworzyły Kindergruppe, czyli grupa dzieci. Później już były dzielone na tzw. Fliege HJ, Panzer HJ, czyli już te poszczególne rodzaje. Kleili z papierków te samolociki, wieszali, tak jak dzisiaj modelarze i wystawy, kto zrobił najlepsze. W ten sposób byli wychowywani. O tym doskonale pisze Inge Scholl w tej książce „Die Weisse Rose”. Jak się cieszyli, że byli w HJ, że Hitler nareszcie powiedział, że w niemieckim państwie wszyscy ludzie są równi, w tym i dzieci mają równe prawa. „Tak chętnie garnęliśmy się do tych organizacji” – pisze. Ale później okazało się, że ta śruba była coraz bardziej... Die Liede sind verboten. Te pieśni, które Hans uczył, polskie, norweskie, ludowe, piękne piosenki verboten. Przewodniczący raz mu odebrał ten zeszyt i wtedy Hans strzelił w pysk, jak się to mówi, pierwszy raz swojego przełożonego i poszedł siedzieć jako młodzieniec jeszcze przed maturą.

U nas też to tak było, bośmy byli do Rzeszy włączeni i byliśmy też w ten sposób przygotowywani. Niesamowicie skuteczna metoda. Się mówiło „pruskie wychowanie”, Polska to tak nazywała, czyli taki reżim w edukacji, różga, lanie.

Moje pokolenie nauczyło się języka obcego w przeciągu jednego roku. Mówiliśmy po niemiecku, bo było zabronione, była metoda tak skuteczna, bo był lany. Ja dostałem też kilka razy za polskie słowa. Najpierw siedem taką witką po ręce, po dłoni i nauczyciel zawsze mówił – *Nach der Schule in den Keller*. Po szkole do piwnicy. Pierwszy raz zetknąłem się z hydroforem. Byłem przyzwyczajony tylko do studni, a tam był hydrofor i taki wąż, i krzesło z wyrwanym oparciem. I na te krzesło „połóż się”, drugi, który był w kolejce za polskie gadanie trzymał głowę, a Chmiel tym ślauchem, tym wężem wymierzał sprawiedliwość, bijąc po pupie. Tak skuteczna była ta metoda, że opanowaliśmy bardzo szybko ten język niemiecki. Ty bym mógł powiedzieć, że nie ma nic złego, co by na dobre nie wyszło, ale to jest w głęboki cudzysłów wpisane.

**(G. K.): Ja bym wrócił jeszcze do tego Koszęcina przedwojennego. Czyli ten Enslowitz przeżył, jak rozumiem?**

(J. M.): Później wstąpił do milicji, króciuteńko, później pracował w łączności, a później w fabryce celulozy i papieru w Kaletach. Ożenił się ze Ślżaczką.

**(G. K.): A ten zakład szewski taty, jak on prosperował?**

(J. M.): Po wojnie było w ten sposób... Ja zresztą też przez pewien czas pracowałem u ojca, bo się do szkoły nie mogłem dostać, ale to trwało tylko do lat pięćdziesiątych. Wtedy urzędy skarbowe wymyśliły tzw. domiary dla prywatnego rzemiosła i prywatnego kupiectwa. Wtedy rodziły się na wsi GS-y i wtedy rodziły się spółdzielnie pracy. Ta spółdzielność o tych pięknych zasadach rocdelskich... w spółdzielczości pracowałem, spółdzielczość mam w jednym palcu, tak bym mógł powiedzieć... Ja się też dostałem do tej spółdzielni wielobranżowej w Lublińcu, skończyłem Technikum Ekonomiczne w Katowicach...

**(G. K.): Czyli jak to funkcjonowało, ten zakład po wojnie?**

(J. M.): Splajtował, tzn. został wchłonięty przez spółdzielnię pracy, chyba w 1949 roku.

**(G. K.): Czyli takim sztucznym nakazem domiarów...**

(J. M.): Automatycznie, tzn. nie starczyło pieniędzy na podatki, nie starczyło. To był tzw. domiar, tzn. jeśli płacił tego rzetelnego podatku przykładowo trzysta tych starych złotych, to domiar przyszedł na trzy tysiące albo na więcej. A on zarobił w miesiącu najwyżej dwa tysiące.

Spółdzielnie już czekały. Ona już była, już przyjechała, ten komitet taki założycielski, że jako udziały daje pan maszyny i będzie pan pracował w tym samym zakładzie, ale pod nazwą „zakład nr...” chyba 27... Było ponad trzysta zakładów na całym powiecie. Ojciec sobie to chwalił, bo się dostał na emeryturę, prywatnie nie miałby wcale prawie emerytury, tak by to można określić.

Ja byłem w tej spółdzielni, miałem tam dział, byłem kierownikiem produkcji i usług, czyli miałem takie ekonomiczne albo techniczne zadanie. Byłem technikiem. Współpracowałem... można powiedzieć paradoksalnie... Taki zespół pieśni i tańca „Halka” w Lublińcu został też jakby uspołdzielczony i powstał Spółdzielczy Dom Kultury, reprezentujący Wojewódzki Związek Spółdzielni Pracy w Katowicach, a później był tam taki przedsiębiorczy człowiek, Józef Kościelny. Byliśmy Centralnym Zespołem Artystycznym Spółdzielczości Pracy w Warszawie. On potrafił to załatwić. Jeździliśmy, ja byłem konferansjerem i instruktorem teatralnym z pierwszą kategorią. Pracowałem tam w tym Domu Kultury również. I tak się te moje losy toczyły. Zaocznie robiłem 3,5-letnie Studium Kultury i Oświaty w Warszawie, później filia powstała w Katowicach. To skończyłem. I ciekawa rzecz, nie było studiów po linii kultury, w dzisiejszym pojęciu animatora, kształcących animatorów kultury z wyższym wykształceniem. W Łodzi był taki wydział, daleko i profesor Gładysz stworzył przy Uniwersytecie Śląskim, gdzie był prorektorem filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, stworzył właśnie ten wydział. Raz byłem w Katowicach. Ja robiłem technikum zaocznie i te studium zaocznie. To trwało razem siedem lat.

Idzie taka pani przez rynek w Katowicach, obok teatru i słyszę – Jasiu! Jasiu! To było w czerwcu.

**(G. K.): A w którym roku?**

(J. M.): W sześćdziesiątych albo początek siedemdziesiątych lat. Ja już miałem koło czterdziestki wtedy, no trochę mniej. Tam mi mówi – *Otwieramy kierunek studiów zaocznych Pedagogika Pracy Kulturalno-Oświatowej*. Tak się ten wydział nazywał, dzisiaj się nazywa Animacji Kultury. – *Bez egzaminu wstępnego absolwenci naszego studium się tam dostawają. Choć ze mną*. Pod pachę mnie, to była sekretarz tego studium. [Zabrała mnie] na ulicę Warszawską, do gmachu uniwersytetu. Ona za mnie wszystko załatwiała, nie pytała się, czy ja chcę. Zapisała mnie tam, ankiety, wszyściusięńko... I dostałem zaproszenie na pierwszy zjazd, trwający trzy tygodnie, do Cieszyna. I tak stałem się studentem pierwszego roku. Bardzo byłem wystraszonego człowiekiem. Przeważnie tam byli ludzie na wysokich stanowiskach, których w tym czasie brakowało. Tam byli inspektorzy oświaty wojewódzcy, tam byli dyrektorzy więzień i wiele, wiele innych. Ja byłem z prowincji. Pierwszy semestr wystraszonego, drugi semestr już mi szło troszkę lepiej. Z języka niemieckiego nazywał się dr Spiess. Mówił – *Moje nazwisko pisze się: z przodu „s”, z tyłu „s”, a po środku „pies”*. Mówi mi tak po trzech zajęciach... To jest radość wielka z mojej edukacji... – *Panie Myrcik, proszę przyjść* – mówiono gołębniki, oni mieli swoje gabinety w takich facjatkach tam do góry – *po wykładach do mnie do góry*. I mówi tak... Bo był tylko lektorat rosyjski i utworzył się wtedy na Śląsku jeden z pierwszych lektoratów niemieckich. Ja się na ten lektorat

niemiecki przenieśli. Najpierw się uczyłem tych bukwów, tego ruskiego, a po dwóch, trzech miesiącach, jak tu utworzono, się przenieśli. Po trzech, czterech lekcjach już byłem tam poproszony – *Bardzo pana proszę, żeby pan złożył egzamin eksternistyczny. Będzie pan miał całe dwa lata wolne, bo lektorat [tyle trwa]. Może pan sobie na tej ławeczce siedzieć, może pan iść na kawę na rynek. Chciałbym, żeby pan mi nie psuł wykładów.* Bo nie chce mówić, ale chyba mówiłem lepiej, jak on, po niemiecku. I tak się tego lektoratu bardzo szybko pozbyłem. Naturalnie zgłosiłem się na kurs pedagogiczny germanistów, który ukończyłem i mogłem już na podstawie tego świadectwa uczyć. Jeszcze w podstawowym szkolnictwie nie było języka niemieckiego, ale mogłem uczyć.

Raz pani redaktor Podlowska Radia Katowice poprosiła mnie do swojego radia, żebym przywiózł wszystkie swoje świadectwa szkolne, ciekawsze książki z moich zbiorów. Nie pamiętam, w którym roku to było. Byłem po raz pierwszy w studio telewizyjnym. Posadziła mnie na tym krześle, jeszcze najpierw dowiedziała się, że mam w tym dniu urodziny, 15 listopada to było. Ja mówię – *Pani redaktor, jak ja mam się tutaj zachować? Ja nie wiem. Pani mi nic jeszcze nie powiedziała, o co mnie pani będzie pytać. Nie mam zielonego pojęcia.* – *Widzi pan tam te czerwone światełko?* – *Widzę.* – *A teraz będzie zielone za chwileczkę. Czyli jeszcze możemy luźno rozmawiać. Ja będę pana pytała, albo pan będzie mówił, to się nam samo ułoży.* Było jakieś dwadzieścia minut audycji, dosyć dużo. – *O jedno pana proszę: jak się zaświeci czerwone światełko, żeby nie starał się pan mnie za kolano łapać.* Tak mi powiedziała dokładnie. Tam padły po raz pierwszy te słowa – *Przeglądałam pana świadectwa, pana dyplomy. Nie ma świadectwa od szkoły podstawowej* – wtedy piątka była najwyższym stopniem – *które nie byłoby na piątkę napisane.* I to jest taka moja duma Ślązaka, że własnym dążeniem, można by powiedzieć, że prawie samouk... Jak tak przeglądam swoje świadectwo szkoły podstawowej. Niemieckie nie mam, bo niemieckie popalili wszyścusięńko. Wielka szkoda, to było w takich zeszytach prowadzone. Świadectwo maturalne, gdzie tylko są dwa dobre, a wszystko piątki. Dyplom studium na bardzo dobrym ukończeniu i dyplom magisterski też z wynikiem ogólnym bardzo dobrym.

To jest wielka radość. Ludziom mówię, mam to głęboko zakodowane, żeby się uczyli, bo Ślązacy nie bardzo chcieli się uczyć. Ślązak miał to w genach, że wystarczy żeby umiał Geldtag policzyć – Geldtag to jest wypłata, Geld to jest pieniądz, a Tag to jest dzień wypłaty – żeby po pracy się tam jakoś zrelaksował, przy piwku najlepiej. I w ten sposób to wyglądało, a „uczyć ty się nie musisz, bo my za ciebie będziemy robić”. Szczębel średni, szczębel wyższy był obsadzony za czasów niemieckich przez Niemców, za czasów polskich przez Polaków.

Jednego, czego mi brakowało, ale czego nie żałuję: do zrobienia większej kariery, chociaż mówią wszyscy mi, że „zrobiłeś ogromną karierę” przynależności do PZPR. Ten werbunek był do końca moich dni pracy, ciągle mnie chcieli zwerbować, ciągle żebym był, brakowało im. miałem być prezesem spółdzielni, już wszystko było przygotowane, ale deklaracji nie podpisałem.

**(G. K.): To ja jeszcze wrócę do czasów przedwojennych, do początku. Jakby Pan mógł określić, jaki był status rodziny na tle mieszkańców Koszęcina. Czy Pan rodzina, jako rodzina szewca, była bardziej szanowana, czy mniej szanowana, czy tak bardziej średnio... Jak by Pan mógł porównać rodzinę Pana z innymi rodzinami w Koszęcinie.**

(J. M.): Koszęcin okresu międzywojennego, Śląsk okresu międzywojennego, to była warstwa społeczna zajmująca się pracą, głównie. To było tak poukładane, my do tego teraz też dochodzimy, że sprzedajemy wszyścusięńko i Polacy nie będą rządzą. Będzie tylko

jakimś tam dyrektorem służącym albo dbającym o ten niemiecki przemysł, o ten duński czy amerykański czy jeszcze jakiś inny.

Szacunek ludzi wzajemnie do siebie – naturalnie wtedy tej świadomości i tej wiedzy człowiek nie posiadał, ale tak dzisiaj to mogę z perspektywy czasu ocenić – był bardzo życzliwy. Ślązak jest człowiekiem zamkniętym, powiedziałbym Niemcy też tak. Na samym początku Niemiec się pana nie zapyta, czy by się pan czegoś napił. Załatwić formalności i koniec. Dopiero, jak cię dobrze pozna, to ci zaufa. I otworzy lodówkę, i otworzy serce. Ze Ślązakami też tak było. Byli hermetyczni, zbierali się najczęściej na urodzinach, na weselach. Imienin w ogóle się tutaj nie obchodziło, dopiero to Polska przyniosła. Oplątka tutaj nie było, dopiero to Polska przyniosła, powojenna, można by tak nawet powiedzieć. I ten status... Napisałem taką broszurkę „Sto trzydzieści lat zorganizowanego rzemiosła w Koszęcinie.” Zrobili takie stowarzyszenie na rzecz inicjatyw koszęcińskich. Zrobiło takie spotkanie bardzo ciekawe. Ufundowało po stu trzydziestu latach sztandar i okazało się, drogą pewnych badań doszedłem, że Koszęcin w 1888 roku miał już swój sztandar i swoją organizację Handwerke i kupców. Książę chciał mieć taką namiastkę miasta i tutaj to przynosiło także tym rzemieślnikom i kupcom pewien status. Oni występowali w garniturach czarnych, do kościoła szli św. Józefa, w muszkach i cylindrach na głowach. Cały stan średni był dwujęzyczny, bo musiał obsługiwać niemieckich i polskich klientów. Polskich tzn. śląskich, bo tych polskich było... Tak, jak już mówiliśmy, władza i stanowiska były obsadzone bądź przez ludzi przychodzących z Polski, ale częściej przychodzących jako uchodźcy z tych terenów śląskich, które zostały przy Niemcach. Ci z Polski nie mieli wykształcenia ciągle jeszcze. Pruska szkoła stała na wysokim poziomie, od 1770 roku. O tym statusie mówimy też, ale ja tak mówię, co się przyczyniło do tego statusu. Każda śląska miejscowość, mała, malusienka i średnia, otrzymała szkołę w tym czasie. Te reparacje, te odszkodowania, głównie francuskie, były tak przeogromne, że Niemcy mogli się jeszcze lepiej zmilitaryzować i wychodziła ustawa za ustawą dotycząca oświaty ludowej. I te piękne gmachy szkolne... W Koszęcinie był gmach, w każdej małej miejscowości, w nowych czasach posprzedawane za bezcen, często po prostu zginęły. Myślę o nowych czasach, po osiemdziesiątych latach, kiedy powstały gminne rady narodowe, które rozpoczęły od sprzedawania szkół, tak by to można określić, często swoim kumplom.

Myśmy byli, w stosunku do tych ludzi, np. z dworu, z lasu, byliśmy czymś. Czymś lepszym. Tam była ta biedota. Był podział statystyczny, że w koszęcińskiej szkole uczy się czterysta sześćdziesiąt dzieci, w tym np. trzysta dwadzieścia ze wsi i stu sześćdziesięciu z dworu. Dwór to byli ci woźnice... ta warstwa taka niższa. Do szkoły wszyscy chodzili po bosoku, syn szewca też po bosoku chodził, bo był taki status, tzn. że nie, że mnie nie starczyło, ale ja się wstydziałem iść w butach. To pamiętam dokładnie, wszyscy po bosoku chodzili. W fuchał grali po bosoku, dużym palcem umiał bramkę strzelić. Mieliśmy technikę opracowaną jak, a w butach byliśmy trochę skrępowani. Do kościoła się tylko szło. I dziecko nauczyciela, dziecko jakiegoś urzędnika, to musiał mieć te Kniestrümpfy, jak to był niemiecki, czyli te pończoszki pod kolana, no i jakieś tam fajne buty, spodnie skórzane, szelki tyrolskie. Oni się tym od nas różnili. Czyli jeśli były pewne różnice, to między dziećmi niemieckimi... a jeszcze inaczej mówiąc, między dziećmi administracji i urzędników książęcych w Koszęcinie. To był wielki zakład, co dzisiaj jest nadleśnictwem, tam pracowało wiele ludzi. U księcia chyba pracowało ponad tysiąc ludzi, w tym jakieś dwieście urzędników. Dwieście urzędników to byli klienci dla kupców, dla rzemieślników, dla wszystkich. Oni tutaj w Koszęcinie mieli raj. I naprawy, i nowy, głównie krawcy szyli. Nie kupowało się w fabrykach albo ze sztangi nie śmiał kupić, jak to się mówiło, czyli u Żyda, bo

to nie było to. Musiał pomierzyć, z tą całą ceremonią. Pamiętam, jak ojciec brał miary, ubierał się elegancko i szedł u Prinza mierzyć mu nogi, żeby mu buty uszyć.

Czyli byliśmy tym statusem, chociaż zbiedniali. Kupcy byli warstwa trochę wyżej stojącą. Ale Niemcy nazwali to Mittelstand, czyli stan średni i tego się trzymano. Każdy, kto był trochę niżej dążył, żeby skoczyć ten jeden skok. Naturalnie o wyższym wykształceniu, o średnim prawie nie było mowy, bo tego nie było w czasach mojego ojca. W moich czasach się to pojawiało, ale to moje dzieciństwo, kiedy się edukacja powinna zaczynać, mówili my wczoraj, że to była wojna. Niemcy też nie kształcili w tym czasie, bo szło dziecko na Landjahr, panu mówiłem po polsku, ale podstawowej, później szło do Arbeitsdienst na pół roku albo na trzy czwarte roku, a później do Wehrmachtu. I przychodzili chłopcy, dwadzieścia jeden lat albo dwadzieścia dwa, z wojny, jeśli przyszedł, zrujnowany totalnie psychicznie, często i fizycznie, poszarpany, połatany i też już nic nie skończył.

Ja jeszcze taką zawodówkę, średnią szkołę zawodową robiłem w Lublińcu. Trzy klasy zrobiłem w jednym roku, a chodzili ze mną, tak się mówiło, takie konie po wojsku, którzy nic nie umieli. Nauczyciele dawali mi promocje po trzech miesiącach do drugiej klasy, po trzech miesiącach do trzeciej, żeby się mnie pozbyć. Uczyłem się bardzo dobrze.

Dało się zauważyć. Siedzieli w lepszych ławkach w kościele, troszkę bliżej. Zawsze Pająk, pod żyrandolem, piekarz, z grzywką do przodu zaczesaną. Zug, piekarz... Wszyscy piekarze mieli... Tzn. miał taką grzywkę, to był już stan arystokracji. Rolnicy wąsy, ci lepsi te stójki, kołnierze. Wyszła książka w Steinhagen „Lublinitz und Land, unsere unvergessene Heimat”. „Lubliniec i teren, nasza niezapomniana ojczyzna.” Dobrodzieńskich i lublinieckich wysiedlonych ludzi, którzy tam wydali na kredzie takie wspomnienia z dzieciństwa.

**(G. K.): Mi to chodzi, jak to Pan pamięta. Nie jaka jest wiedza na ten temat...**

(J. M.): Ale ta wizja jest taka, jak ja ją pamiętam.

**(G. K.): Czyli tak, jak Pan mówi, tak Pan to pamięta.**

(J. M.): Mniej więcej. Oni to jeszcze lepiej pamiętają. Nie wiem, ilu ludzi z Koszęcina, może sześćset ludzi mieszka w RFN-ie. Proboszczowie robią takie niepisane statystyki na kolędzie – A kaj on jest teraz? – W Niemczech na robocie. – A ten kaj jest? I taka statystyka, mu wyszło, że z trzy tysiące czterysta liczącej parafii Trzebień, sześciuset ludzi nie ma w Trzebiniu. Są tam, wrastają w tamtą kulturę. Tu przyjeżdża, pieniądze przywożą, budują dom, ale już rodzina się tam gdzieś zawiązała i jeden ściga znów drugiego, bo temu się tam lepiej powodzi.

Ale chciałbym opowiedzieć o tej tęsknocie. Ja ją obserwuję, bo do mnie dzwonią ci sterani ludzie stamtąd. Przeważnie starsi. Taka żyła, po niemiecku się to czytało „cila”. Oni przez „ie” dwa „l” i nie wychodziła „żyła”, tylko „ziella”, niemiecki „kował”. Telefon nieśmały – *Herr Myrcik, ja Anruf robic do pana, bo czytałam koło kościoła gazeta z Tarnowskie Góry* – tam dostarczają te śląskie gazety, przed kościołami to można [je kupić], przed tymi polskimi kościołami – *chciałabym panu...* Godzina rozmowy. Na drugi dzień... Dziennie tak jest, prawie dziennie, że ktoś dzwoni. Ta tęsknota za małą ojczyzną, za tym Heimatlandem jest tak przeogromna, że każdy albo prawie każdy tam mieszka i jest bliski przejścia przez tą drogę do wieczności ma obstalowany grób w Koszęcinie. I odbywa się pogrzeb. 5000 marek kosztował przejazd, jego ostatni, już w tym wozie z tymi czarnymi palmami do, powiedzmy, tego domku pogrzebowego i się pogrzeb odbywał. Często nazwisko zupełnie inne, bo tam se zmienił [w stosunku] do tego, jakie miał, bo tu trzeba było po wojnie



nazwiska i imiona zmieniać. Ta moja szwagierka, która urodziła się w Bytomiu w rodzinie niemieckiej, urzędniczej, nazywała się Edeltraut Kolbe. Edel to jest szlachetny, traut – jakby zaufana Kolbe i przechrzcili ją na Urszula Koczula. Brata jej, Horst się nazywał, Kolbe, dostał Janik. Na pogrzeb przyjechał i mówi – *Ja się nazywać Janik*. A mężowi mówiła ta moja szwagierka Hinik, nie Henryk, tylko Hinik, „Hinik powiedział...”. Do końca życia... Studia skończyła w Warszawie, maturę zrobiła, ale języka już nie wyrugowała.

I jak ja słyszę polityka, Hoffmann się nazywa, że jadą do Heimatu Ślązacy, Ślązacy wyjeżdżają do Heimatu, czyli do Niemiec... Jaki to Heimat? Heimat to jest ten grajdołek, gdzie się urodziłem, wychowałem, gdzie moje korzenie, gdzie wszystko najpiękniejsze. A nie tam.

Czasem mówię i panu też o tym powiem, niech to jest zapisane, niech to Austriacy czytają i inni. Nie mamy adekwatnego przetłumaczenia słowa Heimat. Mała ojczyzna jest tylko namiastką Heimatu. Nie mówi tego, że Heim to jest w środku człowieka najbliżej, gdzieś na dnie serca. Heimatland – kraina mojego jestestwa. Namawiam tych językoznawców, jeśliśmy „weekend” przyjęli i wiemy, że to jest sobota i niedziela, dlaczego nie pozwoli się Ślązakom mówić „Heimat”, bo jak „Heimat” toś ty jest German. A nie ma piękniejszego słowa-określenia małej ojczyzny. Ja ten Heimat bardzo kocham, o nim dużo pisałem, dla niego wiele inicjatyw stworzyłem, o których by też można powiedzieć. Przez dziesięć lat na zamku w Koszęcinie, z mojej inicjatywy odbywały się „Biesiady na Zamku w Koszęcinie”, mające na głównym celu promowanie wielkich osiągnięć Ziemi Śląskiej i wielkich Ślązaków, którzy byli na indeksie politycznym w państwie komunistycznym. Myślę także o Ligoniu, o Roździeńskim i o wielu, wielu innych. I myśmy ich przy pomocy... Miałem kolegę Jurka Pietruchę, jego biografia ukaże się w tej książce, która wyjdzie. Tam są ludzie Koszęcina, czy ludzie Ziemi Koszęcińskiej. Myśmy ich tam na nowo wyciągali. Miałem też kłopoty z tego powodu. Było to pod egidą Polskiej Akademii Nauk, premiera Messnera, potrafiłem zjednać wielkich ludzi, wielkich pisarzy, Żukrowski... on się gdzie indziej urodził, ale był ze Śląskiem od dzieciństwa związany... i wielu, wielu innych. Zbieraliśmy się na Zamku i tam były te biesiady. Później tak może cztery, pięć lat temu reaktywowałem te sprawy i tzw. „Spotkania z historią i kulturą” się tu odbywały. Odbyło się dwadzieścia jeden, tyle samo ile... to jest taka magiczna biblijna liczba, którą, jakby się tam kliknęło na goglach, to opiszą co było dwadzieścia jeden i co ono znaczyło, bo dyrektorka mi mówi – Dlaczego pan chce dwadzieścia jeden, a nie dwadzieścia dwa? Ja mówię – Bo jestem kierowany pewnymi takimi wskaźnikami, które zostały wymyślane cztery tysiące lat temu.

„Biesiada – czy inaczej się to nazywało – kulturalna” dla dzieci niepełnosprawnych to też jest mój pomysł i wiele, wiele inicjatyw społecznych, które nie pozwalają zapomnieć o naszych losach, o naszej historii, o naszych uwarunkowaniach. A z drugiej strony staram się to udokumentować, zawsze jest film nakręcony. Ten prałat Fritz to robi, który jest wielkim humanistą, poliglotą, muzykologiem i filmowcem, bo ma taki zmysł techniczny, matematykiem. – *Historii* – mówił – *to co ty masz w jednym palcu, to ja tego nie umiałem*. Mówię – *Nie wierzę*. Takie piękne homilie głosi, takie wspaniałe, a twierdzi, że historii nie lubił. Bo go raz skrzywdzono, bo mu dano zły stopień, uwierzył w to, że on historii nie umie.

(4; 00:00)

**(G. K.): Kwestie narodowościowe mnie tu interesują, ta tożsamość śląska. Mówił Pan, że tata był bardziej, można powiedzieć, proniemiecki, a z kolei jego teściowa, Pana babcia od strony mamy, była bardziej propolska. Tak? Dobrze to zrozumiałem?**

(J. M.): Tak, tak by to można określić, używając takich słów.

(G. K.): **Widzę na tej podstawie, że Ślązacy też byli ciągnięci w jedną, bądź w drugą stronę. A z drugiej strony była tutaj mniejszość niemiecka, to kim była ta mniejszość niemiecka. To byli Ślązacy, którzy byli, tak jak Pana tata opowiedzeni za stroną niemiecką, tylko jeszcze bardziej byli niemieccy, czy o co to chodzi?**

(J. M.): Nie, nie tak należy na to patrzeć. Ojciec i rzemieślnicy i kupcy musieli być dwujęzyczni, to nie znaczy, że byli jakimiś radykałami niemieckimi albo ludźmi, którzy kochają Niemców, bo mówiłem też, że ojciec nigdy nie użył w stosunku do siebie terminu „jestem Niemcem” albo „jestem Polakiem”, tylko „jestem Ślązakiem”. To nie było polityczne myślenie i nie był polityczny podział. To był podział ekonomiczny i, powiedziałbym, statusowy. Mój ojciec nie należał też do żadnej organizacji politycznej, do żadnej, nigdy.

(G. K.): **To proszę mi wyjaśnić, żebym ja to zrozumiał, kim byli ci ludzie, którzy opowiedzieli się za Niemcami, którzy stanowili mniejszość niemiecką? Kto to był?**

(J. M.): To byli przede wszystkim Niemcy, urzędnicy księcia. Przede wszystkim. Minderheit w Koszęcinie to byli jego pracownicy. W Koszęcinie na Śląsku każdy, statystycznie rzecz biorąc, mógł należeć do Minderheitki, bo każdy był pochodzenia niemieckiego, bo Polski nie było przecież. A jeśli Polska była, to ta Polska nie miała ze Śląskiem nic wspólnego. Więc praktycznie każdy mógł być. Z tym, że to tak nie wyglądało, bo Polska stworzyła dla wszystkich... Byliśmy poddanymi Prus, byliśmy obywatelami państwa pruskiego, myślę o moich rodzicach, dziadach, a mówiliśmy po śląsku, po polsku w domu, tak by to można powiedzieć. Nie mówiono po niemiecku, ale nie mówiono w Nysie także i we Wrocławiu, w tych czasach. Jeśli ja wezmę rocznik statystyczny pruski, a prowadzili to skrupulatnie, [to na] pytanie – *Hausprache?* albo – *Muttersprache?*, odpowiadano – *Polnisch*. Dziewięćdziesiąt procent ludzi na Śląsku, podzielonym później na Niederschlesien i Oberschlesien, mówiło po polsku. Wszystkie miejscowości miały pochodzenie, genealogię polskie, nazywały się Gwoździany, nie Nagelstein, nazywali się Ciasna, nie Teichwalden, przykładowo. Dopiero w czasach Hitlera zmieniono nazwy, w takich trzech okresach, ostatni był w 1938 roku, że nazwy otrzymywały po prostu niemieckie pochodzenie, jakby nazwanie tą samą nazwą albo zgermanizowanie tej miejscowości. Ludzie przyjmowali inne nazwiska. Jak się ktoś nazywał Gwoźdź, to po niemiecku Nagel go nazwali.

(G. K.): **Ale to przed wojną jeszcze?**

(J. M.): To jeszcze było przed wojną.

(G. K.): **Ale tu, na terenie Polski?**

(J. M.): Na terenie Śląska.

(G. K.): **Śląsk był podzielony, czyli na terenie tego polskiego?**

(J. M.): W Polsce międzywojennej, [jeśli] nazywała się Edeltrauta, to pisali dalej Edeltrauta. Była zmiana nazwisk, chyba w 1926 albo 1927 roku, taka urzędowa, że jeśli się pisało Myrcik przez „tc”, to to spolszczyli na „cz”. Na tym to tylko polegało, ale nie miało to

takiego charakteru politycznego, jak po wojnie. O czym już wspominałem, że w rodzinie pięciu dzieci, każde dziecko miało inne nazwisko i każde dziecko inne imię.

**(G. K.): Podsumowując: mniejszość niemiecka w Koszęcinie przed wojną, to byli ludzie, którzy przybyli z głębi Prus, którzy byli urzędnikami?**

(J. M.): Ale już ich dziadowie przybyli.

**(G. K.): Czyli to nie byli Ślązacy?**

(J. M.): Oni się w Koszęcinie rodzili, ale rodzice pochodzili z Karlsruhe, z Baden-Wirtembergii, tam z tych stron, gdzie księżę. Kucharzy np. on ściągał z pewnej wyspy, ogrodników też, gdzie były te szkoły i Donnersmarckowie, i inni ci wielcy panowie, którzy tu osiedli w początkach XIX wieku, koniec XVIII wieku, albo jeszcze wcześniej, w czasach austriackich. Od ich urzędników dzieci się rodziły, chodziły do pruskiej szkoły, aż przyszło Abstimmung, czyli po powstaniach plebiscyt, to wtedy dopiero tworzyły się te Minderheitki. Wcześniej nie trzeba było. Wcześniej był też Kriegerverein, czyli zrzeszenie żołnierzy, wielka sprawa dla niemieckich [żołnierzy], bo troska o weteranów wojen, tych wcześniejszych, austriacko-pruskich, jeszcze innych, a szczególnie to ja już ich pamiętam, tych siebzig, einundsiebzig, prusko-francuskiej. Oni maszerowali, mieli takie czapki i byli zwoływani na rozkaz cesarza, wszyscy możnowładcy musieli ich zrzeszyć. I tak np. odkryłem w jednym akcie, gdzie koszęciński księżę dawał po 20 talarów czy po 40 talarów weteranom walk o Lipsk w 1813-15 roku i tam otrzymał Franz Ligoń, ojciec Juliusza Ligonia, też te pieniądze, bo jest na tej liście, bo go czytałem. Podczas gdy rodowód, saga rodu Ligoniów mówiła o tym, że Ligoń pierwszy do Koszęcina przyszedł jako kowal wojsk napoleońskich, osiadł w Koszęcinie i ma rodzina Ligoniów francuskie pochodzenie. A było wręcz na odwrotną, odwrotnie, bo Ligoń gonił Francuzów aż pod Lipsk, bo się znalazł w tych niemieckich statystykach.

**(G. K.): Czyli o Niemcach w międzywojniu możemy mówić jako o ludziach, którzy być może się tutaj urodzili, ale nie byli autochtonami od wielu pokoleń, tylko co najwyżej od jednego, dwóch pokoleń. Tak? Dobrze to konstatuję?**

(J. M.): Można tak. I byli to ludzie z głębi Niemiec. Także Ślązacy, pracujący jako podleśniczy, jako kierownik grupy mający wielu robotników, którzy sadzili lasy..., kowal, kołodziej itd. Prinz im powiedział – *U mnie robicie, to będziecie chodzili do niemieckiej szkoły*. I z tych okolicznych miejscowości autobusem księżęcym zwożono dziennie dzieci do niemieckiej Minderheitki, do niemieckiej szkoły mniejszości narodowej. I ci ludzie należeli do Volksbundu.

**(G. K.): Czyli dlatego, że pracowali u księcia, automatycznie...**

(J. M.): Tak by to można powiedzieć, że on ich nie mógł zmusić, ale... Proszę pana, jeśli pan będzie u mnie pracował i ma pan wikt i ja mogę pana jutro albo pojutrze zwolnić, to co to panu szkodzi być we Volksbundzie. Jest pan Prusakiem, jest pan Niemcem, tu się pan urodził, na niemieckim Śląsku. I do Volksbundu... Tam dostaniecie Unterstizung i wasze dzieci będą miały prawo chodzić do niemieckiej szkoły, gdzie, w przeciwieństwie do polskiej szkoły, dzieci dostaną obiad albo jeszcze tam coś i autobus ich zaś zawiezie do domu.

**(G. K.): Czyli troszkę taka szkoła zakładowa.**

(J. M.): Tak by można powiedzieć. I to samo mniejszość niemiecka, która powstała po wojnie, składała się też z takich Ślązaków.

**(G. K.): Ale kiedy po wojnie? Po II wojnie?**

(J. M.): Teraz, w osiemdziesiątych latach. DFK, Deutsche Freundschaftskreis powstało głównie ze względów ekonomicznych, żeby dzieci mogły jechać... Bo dzisiaj już otwarte granice są i każdy z Polski może jechać do Niemiec i robić, zamiatać tą ulicę albo gdzieś tam jakieś niższe prace wykonywać. I ta mniejszość dzisiejsza niemiecka, ona nie ma młodych ludzi. Tam była ta generacja i jeszcze jest, która chodziła do niemieckich szkół, rodzice byli bardziej proniemieccy, ale tu na Śląsku tak było. Kogo chleb, tego państwo i tego władza, jak to się mówiło. To nie jest tak, jak niektórzy to opisują, że to była polityczna piąta kolumna albo coś takiego. Tak nie było i teraz też tak nie jest. Nie trzeba się tego bać, bo gdzie indziej... Belgia jest podzielona, Szwajcaria od sześciuset lat, ma cztery języki i żyją w zgodzie. Zbierają się na łące, robią głosowanie, odrzucają np. to albo przyjmują to i to...

**(G. K.): Czyli Pan nie chodził do tej szkoły mniejszości niemieckiej dlatego, że ojciec był niezależny od księcia?**

(J. M.): Naturalnie, tak by to można też powiedzieć.

**(G. K.): A te dzieci, które tam się uczyły, czy Pan miał z nimi kontakt?**

(J. M.): Normalnie, tak jak nasze dzieci z ulicy. Sąsiad mój, gadali po śląsku w domu, oni po niemiecku prawie nie umieli dobrze mówić. Ja miałem większy zasięg niemieckich słów, nie chodząc jeszcze do niemieckiej szkoły, od tego dziecka, które chodziło do Minderheitki, bo oni zaczynali niemieckim systemem. My zresztą go teraz wprowadzamy, od szóstego roku życia zaczyna się szkoła. Walka trwa w Polsce. Jedni są za tym, drudzy nie, a jest to normalnie niemiecki system, który był, że dziecko, które urodziło się w pierwszym półroczu roku i te z drugiego [wcześniejszego] rocznika, które [urodziły się] w drugiej [półowie roku], chodzą do tej samej klasy. Ze mną np. chodził rocznik 32, który urodził się do czerwca. A to na jedno wychodziło, ale Niemcy taki system przyjęli.

**(G. K.): Czy między sobą, jako uczniami... Pan tutaj chodził do tej powszechnej pierwszej... Trochę to za mało czasu, za młody Pan był. Rozmawialiście, jak tam u was w szkole, jak tam u nas w szkole? Jakaś różnica musiała być.**

(J. M.): Myśmy o szkołach... Myśmy raczej Fussball razem grali, myśmy w palanta... taka gra była... Takie lotanie z rówieśnikami... Może nawet dopiero, jak żeśmy do szkoły zaczęli chodzić, tośmy wiedzieli, że on chodzi do niemieckiej. Dla nas to było trochę... Nie mieliśmy tej świadomości, dlaczego niemiecka i polsko szkoła. Chodził do niemieckiej szkoły, to nie trwało długo, od 1935 roku dopiero ta mniejszość tak...

Nie w 1918 roku Śląsk uzyskał niepodległość. To jeszcze trwało, bo w 1921 było trzecie powstanie. I nie rozstrzygnęło, nic powstania nie rozstrzygnęły, niczego. I dopiero plebiscyt, który rozstrzygnął na korzyść Niemiec ponad 60 do 40 procent, w Koszęcinie

wyżej, w wioskach mniej, w mieście Lublińcu dużo wyżej. We wszystkich śląskich miastach Niemcy zwyciężyli, bo tam ta świadomość robotnicza, pracodawcy, to było wszystko niemieckie. I Polacy mogli ściągać, i Niemcy. Polacy nie mieli kogo ściągać, tzn. śląskich Polaków, którzy w Polsce mieszkali. Paru ich było. Trzysta ludzi przyjechało na plebiscyt z Niemiec, Koszęcinian, którzy się tu urodzili i naturalnie głosowali za Niemcami.

Tak że plebiscyt, głosowanie też nie przyniosło żadnego rezultatu. Koalicjanci przy trochę większym stole położyli mapy, tak sobie myślę, wzięli linijkę i ołówek i podzielili, tu pójdzie granica. Obsadzili alianckimi, francuskimi i szkockimi wojskami, tak jak się to w innych państwach teraz dzieje, chociaż myśmy się nie prali wzajemnie. I np. przez... Brusiek jeszcze do Polski, za Bruśkiem granica, później tak gdzieś dalej, Pawonków zostawimy jeszcze Polsce, po drugiej stronie Gwoździany damy Niemcom, tu przelecimy przez podwórko, hazieli po niemieckiej albo po polskiej stronie. Hazieli to jest ustęp. Stodoła po tej stronie... I tak to wszystko... Tak ta granica, proszę pana, leciała. Jechał do swojej siostry na ślub albo kawaler się zenił, trzeba było mieć paszport. To było coś niesamowitego dla Ślązaków. Do matki jechać, z Koszęcina do Dobrodzienia, to jechał za granicę. Do Bytomia przejeżdżał dziennie... przez Bytom niemiecki pociągiem polskim do Chorzowa miasta, do Chorzowa drugiego i trzeciego, do polskich Katowic i z powrotem z roboty zaś przez niemiecki Bytom do Koszęcina, bo w Radzionkowie już była granica, bo bytom był wbity takim klinem.

**(G. K.): A czy nie było, nie pamięta Pan w swojej świadomości, świadomości dziecka jakiegoś konfliktu między Pana ojcem a jego teściową, czyli Pana babcią? No bo ta była propolska, a ten był powiedzmy...**

(J. M.): Nie miało to wydźwięku żadnego politycznego, a już na pewno absolutnie żadnych skutków. To później dopiero politycy i polityka podzieliła tych ludzi. Myśmy mówili po polsku. Aptekarka, Stefania Burzyńska... Jak mój wujek przyjechał na urlop, mieszkał tam za Trójcą na Piasku, to była ekstra taka już dzielnica Koszęcina. Piasek był oddalony od Koszęcina o dwa kilometry, bo ode mnie tutaj aż do Trójcy nie było ani jednego domu, ja jeszcze to pamiętam, nic tu nie było. Łąki książęce, tzw. weidig my mówili. Weidig, weiden, krowy się pasły. Niemcy mają piękny taki odnośnik tego zdania, nie że jadły trawę, tylko weiden... Auf der Weide weiden die Kühe. Na wajdzie wajdowali, czyli jadły krowy. Nie było tutaj niczego.

Aptekarka idzie, a mój wujek szedł na zolyty, tak się to mówiło. Opowiadał mi to, wypił zek z kolegoma jednego i w tym pruskim mundurze, bo obsadzał granicę francuską tam wtedy, był 1900 rocznik ze stycznia, to miał w 1918 roku 18 lat, przyjechał na urlop i śpiewał se polską piosenkę. Zresztą piękny głos miał. Gdyby był kształcony w szkole muzycznej, byłby wielkim artystą. Ten, który w Auschwitz siedział, ten Irek. I on śpiewał po polsku. Mówi – *Miała piskliwy głos: „Chłopcze, zaczekaj, tak pięknie po polsku śpiewasz.” Naprzód to ja miał chęć, jak ona mi powiedziała „po polsku”, iść i dać jej z tej strony i z tej strony w pysk, bo mnie obraziła.* „Po polsku” to było obraźliwe, to było coś niższego. – *Ja śpiewom po śląsku.* „Witaj domku”, czy jakieś inne piękne pioski, głównie już polskich twórców, poetów. I ona mu powiedziała – *Zrzuć ten mundur. Wy macie wojnę przegraną.* To była Poznanianka. Ona pochodziła z Plucińskich, jej ojciec miał w pruskich czasach... Ja przeprowadzałem wywiad z jej córką Haliną. Ta apteka poszła w zupełnie obce ręce, bo Burzyńska zmarła chyba w 1972, Burzyński został w grudniu 1940 stracony w Dachau, a córka była aptekarką pracującą w Krakowie. Jej ojciec miał fabrykę rymarstwa dla armii pruskiej, robił siodła, uprzęże i to wszyćciusieńko. Czyli pochodziła z bogatej rodziny. Ona miała dar

przekonywania i go przekonała, że ściep ten mundur pruski. I wstąpił do powstania. Tego pan nigdzie nie usłyszysz, ode mnie pan usłyszysz, bo o tym nasi historycy nie wiedzą.

Kiedy przyszła tu Polska, to powstańcom obiecywali złote góry, „wy będziecie urzędnikami”, mojemu teściowi też. Teść był łącznościowcem, telefony ciągnął i miał później gdzieś na poczcie w urzędzie pracować, ale tak nie było, bo go na groba przydzielili, na kopalnię, gdzie przepracował tydzień i mu się tam nie podobało, jak to mówił, okien nie było. Ale wujek chciał wstąpić do polskiej policji. Zasłużony powstaniec, był podoficerem wojska niemieckiego, w powstaniu też został podoficerem, dowodził drużyną i on mi to mówił – *Siedzę przed tą komisją, czytają moje podanie*. Naturalnie po polsku nie potrafili czysto pisać, bo mieli pruską szkołę, ale pisali. I mówi mu ten oficer – *W 1918 roku zdezerterował pan z armii pruskiej*. Nie wiedział, co to jest zdezerterował, spytał się. – *Uciekł pan*. – *Ja, uciek zek, bo mi aptekorka kazala*. – *Nie może pan być policjantem polskim*. – *A dlaczego?* – *Kto raz zdezerteruje, ten może być zaś zdrajcą*. I tylko został listonoszem. Takie słowa padły, że obojętnie, nie interesowało ich z jakiej armii ty zdezerterowałeś, ale nie byłeś wierny. Czyli miał być tym pruskim żołdatem do kresu swoich dni...

**(G. K.): Czy tutaj w Koszęcinie byli ewangelicy, pośród tych...?**

(J. M.): O tym żeśmy nie mówili, o życiu religijnym. Koszęcin należał od pradziejów do sadowskiej parafii św. Józefa, najpierw pw. Wszystkich Świętych. Podczas reformacji, w bardzo wielkim skrócie mówię, przyszli na Śląsk, w tym i do Koszęcina, i do powiatu lublinieckiego, Niemiec pastory i wprowadzali wiarę panów, czyli protestantyzm. Wszystkie nasze kościoły zostały na co najmniej trzydzieści lat, a często i na dłuższy okres, przejęte przez ewangelików.

**(G. K.): Chodzi mi w Pana czasach, ja pytam o Pana czasy. Czy Pan pamięta ewangelików?**

(J. M.): W moich czasach pamiętam, że kościół zamkowy był kościołem ewangelickim, ale stało się na skutek tego, że poprzedni kościół katolicki, który mocą fundacji... Zamkowy kościół... jaki kram, taka religia... zamkowy kościół był *Katolische Pfarrgemeinde in Koschentin*, czyli gminą parafialną. Do 1908 roku, kiedy protestancki książę wraz z Koszęcinianami wybudowali piękny kościół Najświętszego Serca Pana Jezusa. Wtedy książę otrzymał... i wtedy były tam ewangeliczne nabożeństwa. Książę, jako budowniczy kościoła katolickiego, miał nad zakrystią lożę kolatorską, gdzie przychodził czasem. Ministranci, ja mu otwierałem jako najstarszy – *Grüss Gott, bitte hier, die Treppe nach oben*. Głęboki ukłon, tak byliśmy nauczeni.

Było dużo ewangelików w Koszęcinie, skoro mieli cmentarz ewangelicki, wybudowany w 1910 przez Prinza. Głównie jednak byli to urzędnicy księcia, w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach. Może jakiś jeden kupiec albo dwójka, tzn. tych dzieci już... a tak kucharz, ogrodnik, wszyscy urzędnicy. Było tutaj ponad sto dwadzieścia grobów protestanckich na tym ewangelickim cmentarzu. Takiej dokładnej statystyki nie mam. I było tu kilku Żydów, głównie handlujących drzewem i ta rodzina Hoffmannów, o której żeśmy już mówili. Byli to tacy sami ludzie, jak katolicy i żyli w wielkiej zgodzie, to ja wszędzie podkreślam. Zarówno katolicy, jak i protestanci i Żydzi... Tutaj w Koszęcinie jeszcze to słowo „ekumenizm” nie było znane, [a] on [już] w Koszęcinie istniał. Nie było nigdy żadnych zatargów na tle religijnym.

**(G. K.): Granica po 1922 roku była tutaj całkiem niedaleko. Czy Pan w jakiś sposób pamięta tę bliskość granicy, czy pan kiedyś przekraczał tę granicę, czy był pan kiedyś w Niemczech tych przedwojennych?**

(J. M.): Nie. Ja dopiero przekraczałem te tereny, które były granicą podczas wojny. Przed wojną ja miałem siedem lat i najwyżej pociągiem jechałem z Koszęcina do Lublińca, najczęściej na siedzeniu, na rowerze ojca, który jeździł rowerem i do Częstochowy, i do Sosnowca po towary. W każdym razie wiem, że moi dziadkowie i wielu rolników z Koszęcina, przez całą zimę, kiedy rolnictwo spało, wozili drewno na tartak do Niemiec, do niemieckiego Tworoga. Bo do księcia należały także lasy, 15 km położone od Koszęcina. Później Polsce podatki z tych lasów płacił, które w Polsce były, a Niemcom [nie] płacił, ale woził surowiec. I oni takie trzy belki powiedzmy o średnicy 70 albo ileś cm... wóz mieli, do rozciągania te tylne koła. Nie wiem czy się to... rozwora, tak po śląsku mówili, czyli ta część łącząca przednie koła z tylnymi kołami. Najpierw to było drewniane i się często łamało przy zakrętach i wprowadzali rury metalowe. I to pamiętam, że dostawaliśmy cukierki niemieckie i sacharynę, i Kandiszucker. Kandiszucker to jest cukier w takich kryształkach, w takich kawałkach. I to było ciekawe, że obracali jeden [raz], a jak był taki pogodniejszy dzień, to dwukrotnie do Tworoga. I księżę im płacił za to pieniądze. I szmuglowali, to też już pamiętam. W tych rurach łączących, tam można było świnie przewieźć, bo coraz grubsze to robili. I tu zamknęli, z tamtej strony zamknęli i jechali z drzewem, na tartak zawieźli. Tam już handlerze czekali i takie rzeczy, które szło zmieścić w takim, powiedzmy, 15-centymetrowym... Roweru nie zmieścił, rowery trzeba było inaczej szmuglować, świnie też inaczej przenosić. Ale kawę i różne takie jedwabne rzeczy, gorzola do Niemiec, to szmuglowali.

**(G. K.): A właśnie. Co się szmuglowało? Jakie towary? Co się z Niemiec przywoziło, a co się wywoziło tam?**

(J. M.): Spożywcze rzeczy wozilo się z Polski do Niemiec. Z Glinicy do Ciasnej, tam była grupa zorganizowana, może sześciu chłopów, celnicy byli znajomymi i w Ciasnej [znali] niemieckich celników, a tutaj [znajomymi byli] polscy celnicy. I w nocy o godzinie 3:00 przenieśli np. sześć świń do Niemiec i przynieśli sześć rowerów na plecach, przez granicę. Albo też pojechał na starym gracie, na takim rowerze, który ledwo zajechał do Niemiec, a przyjechał nowym z powrotem, bo na granicy miał wpisane: przejechał rowerem i z powrotem też przejechał rowerem.

W Lublińcu odbywało się, w Sądzie Lublinieckim... Najpierw z granicy prusko-rosyjskiej, czyli można by powiedzieć polskiej przed I wojną światową, handlowali Polacy, to już w Koszęcinie, tyż szmuglerze były i handlowali zaś z Polską. Tam się i konie przeprowadzało, i krowy, i wszyściusieńko, przez tą granicę. A później, jak już po 1923 została nowa granica wytyczona, no to handlowali Niemcy i Ślązacy. Uciekali przez tą granicę do Niemiec, żeby nie iść do polskiego wojska, wiele takich było przypadków, za pracą. Z Glinicy np. do Dobrodzienia, 6 albo 7 km przeszedł nocą i już był obywatelem niemieckim. Nigdy nie było tak, że przeszedł ktoś z Niemiec do Polski. Nie słyszałem o takim przypadku.

**(G. K.): Część rodziny, z tego co pamiętam, od strony taty i mamy mieszkała tam, prawda? Czy do wojny były kontakty, że przyjeżdżali tu wujkowie, ciotki?**

(J. M.): Tzn. ja tego tak nie pamiętam, ale wiem, że byli, na weselach głównie, na jakiś uroczystościach. Siłą rzeczy to było. Ale tej świadomości politycznej i że przekraczają granicę to w tym moim dzieciństwie, do 8 lat, tego nie było. A później, od września 1939 nie było granic, bo byliśmy Grossdeutschland i nie było nic.

(G. K.): **Chciałbym zapytać, już w czasie wojny, o ten cały proces, który można nazwać germanizacją. Czy to pamięta, jakoś tak świadomie, te wszystkie procesy, które okupanci...**

(J. M.): ...no rozumiem pana, które były narzucane...

(G. K.): **...narzucane po to, żeby wam udowodnić, czy przekonać was, że wy, Górnolązacy, jesteście jednak niemieccy, a nie polscy.**

(J. M.): Nam tego nie trzeba było przekazywać, bo myśmy o tym wiedzieli. Ja to ciągle mówię i biorę ten punkt za punkt odniesienia, że nie było, to dopiero wojna zrobiła, politycznego odniesienia. Jeśli chcemy używać terminu germanizacja, to musimy także używać terminu polonizacja, w stosunku do Śląska.

(G. K.): **Potem to pytanie zadam też.**

(J. M.): Polak nigdy takiego nie zada pytania: czyście byli polonizowani, jako obywatele państwa pruskiego i państwa austriackiego, do którego należeliście czterysta lat? Myśmy nie musieli być polonizowani, myśmy po polsku umieli. Całe pokolenia mówiły po polsku albo po czesku, albo czesko-polsko-niemieckim językiem gwarowym, dialektem, mową ludu, różnie to jest określane.

To nie było germanizowanie, bo nam powiedziano zaraz... Geschichte, historia, była już dla nas napisana wcześniej. Wojna dusz rozpoczęła się nie w 1939 roku, to już było wszyściusięńko skrupulatnie przygotowane, nawet wiedzieli, kto będzie dyrektorem oświaty albo kierownikiem niemieckiej szkoły, albo kto będzie tym, albo kto będzie... To wszystko było zrobione. Jak tutaj przyszli w 1939, mieli listy wszystkich, których trzeba sprzątnąć w Koszęcinie, w każdej miejscowości.

Ludzie mi opowiadali, tu żyje taka kobieta, Iwanowska, 94 lata, ona pojechała swojego męża na Drutarnię, tj. 4,5-5 km, pojechała go odwiedzić jako polskiego żołnierza, ale on już stamtąd... bo już Niemcy wkroczyli... i tym rowerem tam została, już na niemieckiej Drutarni. Znała tego leśniczego z Koszęcina, który przyszedł jako oficer niemiecki do Koszęcina. Stracił się jakieś trzy miesiące w 1939, a może rok, w 1938 roku do Niemiec. Przyszedł i pierwsze pytanie, po polsku ją pytał – *Mieszka, jest Burzyński w aptece? Ten aptekarz Burzyński, jest w aptece? Ten Ochmann jest?* Na lista spojrział. – *Ten jest?* Ona mówi – *Nie wiem, bo ja ino przyjechałam mojego męża odwiedzić, ale go już nie ma.* On zresztą później został do niemieckiego wojska ściągnięty i zginął, ten Iwanowski.

Myśmy nie odczuwali słowa germanizacja, tak jak żeśmy nie odczuwali słowa polonizacja w latach międzywojennych.

(G. K.): **Nie, to wiadomo. Niemcy nie powiedzą, że my was germanizujemy, ale to, że musieliście się niemieckiego uczyć, to że mordowali tych, którzy byli działaczami jednak tej opcji propolskiej. To były wszystko elementy procesu nazwanego germanizacją. I o to pytam.**



(J. M.): Myślę, że był to plan dyskryminacji, przygotowany już wcześniej. W każdym razie większość spokojnych, nie wychylających się politycznie obywateli, nie odczuwała tych procesów ani z jednej, ani z drugiej strony. Bo jest nieprawdą, że Polska w 1945 nie miała tych samych planów, które Niemcy mieli w 1939. To samiusieńkie było.

**(G. K.): To zapytam o to, czy np. stąd wysiedlali Niemcy jakiś bogatszych gospodarczy...**

(J. M.): Nie było ani jednego chyba takiego przypadku, żeby Niemcy, jak przyszli do Koszęcina, kogokolwiek [wysiedlili], bo tu nie było ani jednego polskiego rolnika, tylko byli rolnicy śląscy. I on dalej był Bauer i koniec, nie było takich Polaków. Ja już panu wczoraj mówiłem, że Góra był parobkiem.

**(G. K.): A co robili z tymi Polakami, którzy byli z Polski centralnej, z dawnego zaboru rosyjskiego?**

(J. M.): Ci, którzy tu byli, to nie chcieli stąd iść. Oni byli... w polskim języku jest to nazwane „robotnik przymusowy”. Oni tutaj dalej pracowali, bo oni tu nie mieli źle.

Ja panu powiem o innej sprawie. Przyszła wnuczka, jak płacili odszkodowania za pracę w Niemczech – *Panie Myrcik, czy by pan napisał do Niemiec, żeby moja babcia dostała odszkodowanie, bo pracowała u Bauera w restauracji przez sześć lat.* I ta babcia przyszła, ona ją przyprowadziła. Ona po śląsku mówiła i po niemiecku umiała. Ja mówię – *Proszę panią, pani robiła... jak on się nazywał? – A nazywał się tak i tak, ale ta miejscowość... ja zapomniała. A co wy chcecie robić? – Wnuczka chce, żebyście dostali... – Nie chca od nich żodnych pieniędzy. Tak dobrze, jak jo se tam miała, nigdy w życiu żek już nie miała. Takie dobre jedzenie, a robić wszędzie trzeba. Nie chca od nich żodnych pieniędzy.* [śmiej] I wnuczka musiała iść z powrotem, bo by była otrzymała kilka tysięcy marek, bo tak inni otrzymywali. Nie chciała.

Ci ludzie, którzy byli polskiego pochodzenia wżeniali się albo wychodziły za mąż te służące, które były i to był ten pierwszy taki mariaż śląsko-polski, taka pierwsza migracja, tak bym powiedział. Rodziły się śląskie dzieci później, tutaj w Koszęcinie. Wrastali w naszą kulturę. Jeśli nie był synem urzędnika, który zabraniał mówić po śląsku, „musisz pięknym literackim językiem mówić”, ale większość dzieci mówiła pięknie po śląsku, jak my jeszcze. I teraz przychodzili, chcieliby wyemigrować do Niemiec, „bo my są Niemcami”, tak niektórzy mówili.

**(G. K.): Ja jeszcze zapytam o tą germanizację, przyczepiłem się do tej germanizacji, bo nie do końca mogę zrozumieć. Jednak w czasie okupacji siłą wtłaczali w was ten język niemiecki, to co Pan mówił, że ten rygor pruski, że karami cielesnymi... No to nie wierzę, że to nie przeszkadzało Panu albo Pana rówieśnikom? Nie wzbudzało w was buntu, niechęci?**

(J. M.): Nie, tego nie było. To było tak dyplomatycznie... W każdym systemie, w każdym państwie, jeśli masz 7 lat, do 14 lat musi chodzić do szkoły. To jest obowiązek. Jeśli przyszły Niemcy i powiedzieli nam, że byliście... Była taka piosenka o Annabergu, do której Niemcy napisali...

Oberschlesien ist mein liebes Heimatland,  
wo vom Annaberg man schaut ins weite Land;  
wo die Menschen true und hell die Herzen sind,  
Dort ist meine Heimat, bis ich ruhig will.

Górny Śląsk jest moją małą ojczyzną,  
Gdzie z Góry św. Anny patrzy się w daleką dal,  
Gdzie są jasne serca i otwarte umysły,  
Tam jest moja mała ojczyzna, aż znajdę wieczny spokój.

Ale Niemcy napisali, to też panu powiem, będzie nagrane, to będzie, trudno:

Zwanzig Jahre liegst du in der Polen zeit  
Bis der Führer endlich hat auch dich befreit  
Nun halt in die Treue Oberschlesienland  
Oberschlesien Menschen sind als Treu bekannt.

Dwadzieścia lat leżysz w Polsce,  
Aż Hitler nareszcie cię wyzwolił,  
Trzymaj mu wierność górnośląski narodzie,  
Górnoślązacy są jako wierni z nami.

Nas tych piosenek uczyli. Tak jak to tak? Acha, tośmy tylko dwadzieścia lat byli zajęci przez Polskę, czy osiemnaście, i wróciliśmy z powrotem do Niemiec. Ślązak był, tak bym to powiedział, zawsze lojalny. Nie [był] hitlerowcem, nie [był] hitlerowcem. Ochotniczo nie szedł. Trzech żołnierzy z Koszęcina szło ochotniczo do wojska. Trzech, trójka.

(G. K.): **To była niemiecka propaganda.**

(J. M.): Naturalnie.

(G. K.): **Była też i polska wcześniej, ale to jakby... Nie wierzę, że wy się poddawaliście, Górnoślązacy... mówię konkretnie o Pana rodzinie, bo nie chcę mówić o całym Śląsku... nie wierzę, że się tak łatwo poddawaliście raz to jednej propagandzie, raz to drugiej propagandzie. Musieliście chyba myśleć po swojemu, mieć własną świadomość i nie wierzę, że nie było dla was różnicy, czy jesteście w Polsce czy jesteście w Rzeszy.**

(J. M.): Dla nas, dzieci, polityczne myślenie nie istniało.

(G. K.): **Ok, ale rodzice, przecież wy czerpaliście od rodziców. Pan przecież przejął religijność...**

(J. M.): Czekali aż się wojna skończy i przyjdzie Polska. Bo przyjdzie Polska, tak mówili, że przyjdzie Polska. AK na Śląsku... Kiedyś miałem taki telefon, żeby napisać artykuł o pewnym AK-owcu, który uratował lotnisko w Pyrzowicach, które było wojskowe w niemieckich czasach itd. Powiedziałem, że nie znam tego epizodu i niech ta rodzina sama napisze. Dotychczas nie napisała. Czyli takiego śląskiego stricte ruchu oporu nie było. Jeśli

on był, to tworzyli go inni i wciągali Ślązaków, to nie można powiedzieć. Tutaj był Konrad Mańka, ulica Konrada Mańki tutaj jest, lubliniecki działacz harcerski. Janeczek Alojzy, sześć lat siedział, harcerz z Koszęcina. Profesor Adolf Dygacz z Droniowic.

Była taka wpadka harcerzy, którzy utworzyli podczas wojny... Harcerze... Ten mój wujek, Jan Drescher, chodził do niemieckiej szkoły i skończył niemiecką szkołę jeszcze. Słę później został powołany już do polskiego wojska, do 74 Pułku i jak szedł koło domu rodzicielskiego, gdzie rodzice i inni stali we wrotyniach i patrzeli, jak polscy żołnierze już uciekali z pola bitwy, wobec ogromnej przewagi wojsk niemieckich. Przyszedł koło babci, to ja pamiętam – *Vater, Mutter, z Panem Bogiem*. A taki bardziej niemieckiego ducha, Czempik, stolarz był, przy tej samej ulicy mieszkał – *Hanyk, idź do dum, bo i Polska jest stracona już. Przegrocie wojna. – Nie mogą iść, bo jo Polsce przysięgał*. Tak powiedział tyn Ślązak. Czyli ta wierność, i był harcerzem, kazała mu iść na zatracenie. Zginął najprawdopodobniej tutaj gdzieś w Janowie albo w Lubelskim Janowie. Babcia ciągle czekała od Hanka wiadomości, czy jest zabity czy żyje. Czyli tak to wyglądało, że Ślązak był wierny. Nosił polski mundur i był wierny, bo polityka propolska, ona zrobiła swoje, myśmy uwierzyli, że jesteśmy Polakami. Ale jak znów się zmieniło, to uwierzyliśmy, tak przypuszczam, że jesteśmy Niemcami. I tak po wojnie...

Dlatego, że śląska polityka, a raczej śląska historia, jest tak bardzo zagmatwana i tak bardzo wpływała na ludzi, że ona jest niezrozumiała ani dla Niemców, ani dla Polaków. Trzeba się mocno wgłębić w studiowanie tego, a to jest niełatwe i trzeba bardzo uważać, żeby Ślązaków obrażać, bo oni są w gruncie rzeczy skromni i można ich zhańbić bardzo szybko. Ślązak głowę spuści i słucha, i można nim manipulować. Wpływ na to miały różne cywilizacje, które żeśmy przeszli.

**(G. K.): Bardzo to wszystko skomplikowane i trudne, rzeczywiście.**

(J. M.): Niesamowicie trudne, ale mamy i mieliśmy tą przewagę nad innymi narodami, że mieliśmy tą proeuropejską świadomość w pewnym sensie zakodowaną. Braliśmy od państw i narodów, które nami rządziły... A Polska, tak nasza historia mówi, nie wygrała ani jednego powstania; poznańskie uchodzi za zwycięskie, ale ja powiem tak: Niemcy tam sami broń oddawali, bo już mieli dosyć wojny. Można by powiedzieć, że Poznaniacy bardzo szybko rozprawili się z prawie trupem pruskim, bo tam raz dwa się to skończyło. I uchodzi poznańskie powstanie za zwycięskie, natomiast śląskie ani jedno, bo dyktatorskie trzecie powstanie niczego nie przyniosło, oprócz bólu i cierpienia w rodzinach, i oprócz pomieszenia rodzin i Ślązaków, bo to już było, ale to robiła agitacja z jednej i drugiej strony.

**(5; 00:00)**

**(G. K.): Zadam teraz pytanie, dotyczące już okupacji niemieckiej. Jak Pan pamięta, albo ze swoich wspomnień, albo ze wspomnień rodziców, jak wyglądała tutaj w Koszęcinie cała ta akcja związana z volkslistą, z przyporządkowywaniem osób do drugiej, trzeciej bądź czwartej volkslisty?**

(J. M.): To było zarządzenie władz Rzeszy, żeby przeprowadzić... nie wiem dokładnie, czy na Pomorzu to było...?

**(G. K.): Było, ale troszkę później.**

(J. M.): A w Poznańskim?

(G. K.): **Było to, ale jeszcze inaczej. Nie, właśnie w Poznańskim nie było tej trzeciej i czwartej. Tutaj było bardzo szybko, w 1940 roku już**

(J. M.): W 1941.

(G. K.): **Czy w 1941, a tam było później, na Pomorzu.**

(J. M.): Ja tego nie pamiętam dokładnie, bo dzieci były wciągane na volkslistę rodziców. Do 18 roku życia każde dziecko, czyli... Ja spotykałem żołnierzy, m.in. ten Ulfig powiedział – Byłem niemieckim żołnierzem. Nigdy nie miałem volkslisty. Bo on wyszedł z Koszęcina uczyć się na piekarza, do Chorzowa, jak miał 15 lat. Rodzice go tutaj... I w Chorzowie został wzięty do wojska w 1940 roku, jeszcze nie było o volkslistach mowy i ja mu musiałem uwierzyć, że on nie miał volkslisty. Brat był w polskim wojsku, rodzice byli raczej propolscy, jeśli tego terminu można używać. I ci ludzie tak naprawdę o tych volkslistach, o ich skutkach, w tym czasie jeszcze nie wiedzieli, bo Niemcy obiecywali Blitzkrieg, wojna błyskawiczna. Niemcy wiedzieli, że na Boże Narodzenie w 1940 roku będą w domu.

Ten film teraz, berliński, to pokazywał, ten film, którzy wyświetlili, o który najpierw toczyła się taka batalia ze strony polskiej, że noty protestacyjne do ambasad... a okazuje się za parę dni, w telewizji ogłaszają, że serial będzie puszczone w tym dniu, w drugim i trzecim itd.... Oni też tam to pokazywali, jak to mniej więcej, ale z berlińskiej strony, z niemieckiej, wyglądało. A tutaj przecież początkowo nikt nie wiedział, że Ślązacy pójda do niemieckiego wojska. Polska za czternaście dni zajęta. Warszawa się poddała, nie wiem, którego września, ale tak chyba dwa tygodnie...

(G. K.): **Ostatnia bitwa była w październiku, 2 października.**

(J. M.): Tak, ale to już były takie... Myśmy się historii w niemieckiej szkole uczyli, że bardzo szybko die deutschen Soldaten haben wieder Warschau genommen. W Koszęcinie była szkoła, już się organizowało, za dwa tygodnie już były... wcześniej to musiało być.

17 września, to jest trochę więcej, jak dwa tygodnie, Mołotow i Ribbentrop już zrobili ten pakt, podpisali. Ci śli z tej strony, a tam już tutaj. Mój teść też się dostał tam do niewoli, bo jak policja ewakuowała pocztę... To jest ekstra epizod. Księżę musiał dać wozy, zarekwirowali wszystkim leśniczom broń. Całe firy bronie wieźli ze sobą, na Wschód uciekali i tam ich Ruscy copnęli, na trzy, cztery dni. I zabrali, i stawiali pod płotem, bo i policjanci mieli mundury i pocztowcy mieli podobne do wojska mundury, z tymi pasami itd. Też był pod płotem postawiony, tylko jedna Ruska wytłumaczyła, że to są polscy pocztowcy. Też by go nie było.

To pytanie o volkslistę... ja nie mogę powiedzieć, jak to było. Tylko na podstawie analizy protokołów mogę powiedzieć, że nie było tak, że szedł na gminę i prosił, żeby mu dać volkslistę. To było obligatoryjne, komisja przydzielała, ani tego obywatela tam nie było, tak przypuszczam. Napisała protokół: Kucharczyk, Schneidemeister, Szczyż, leśniczy...

(G. K.): **Chyba na komisje przychodzili, były komisje.**

(J. M.): Tak, no więc ja mówię o tej komisji, kto był w Koszęcinie.

(G. K.): **Nie, nie, ale że musieli przychodzić.**

(J. M.): I Pilot, Bürgermeister. Trójka ich była. I oni analizowali ten polski czas obywateli Koszęcina. Czy oni... Bo Niemcy mówili, że... i tak pisze się w podaniu np. o przyznanie obywatelstwa „obywatelstwo polskie było nadane przez Masseangliederung”, „przez masowe nadanie obywatelstwa”. W 1923, 1924 roku, jak tu przyszła Polska, to przecież wszyscy byli obywatelami państwa pruskiego, jak jeden. I trzeba ich było zrobić Polakami. Ja nie widziałem nigdy jakiegoś aktu ojca, że „nadano panu obywatelstwo polskie”. Takiego czegoś nie widziałem, to było chyba tylko w gminie.

Te komisje ustalały... i mówiłem panu już wczoraj, że moim zdaniem... to był 1941 i późniejszy okres, kiedy już rozpoczęła się wojna z Rosją. Niemcy nie były jeszcze tak bardzo wykrwawione, myślę o wojskach, ale trzeba było na ruski front nowych żołnierzy. I było to trochę, te volkslisty, dyktowane tym... Gdzie były całkiem małe dzieci, to oni mogli tą czwórkę dać, ale gdzie były dzieci po 16, po 17 lat, to musieli patrzeć... I tak w wielu rodzinach. Jeśli ojciec nawet nie był wciągnięty do żadnej volkslisty, to żona, jeśli pochodziła ze śląskiej ziemi, otrzymywała trójkę. Ni pies, ni wydra, taki obywatel...

(G. K.): **Aufwiederruf.**

(J. M.): Aufwiederruf. Jeszcze dostał, że może się odwołać. Nie wiem, nie spotkałem takich dokumentów, żeby się odwoływali, ale oni sami odwoływali się. Niemcy, z łaski swojej, dali po prostu tym niektórym obywatelom... Jeśli syn się dobrze sprawował na wojnie, a nie mógł się inaczej sprawować, tylko bardzo dobrze, bo jeśli tylko nie strzelił, to szły grupy, w każdej armii tak jest, idzie grupa, w każdym wojsku tak jest, że jeśli krok do tyłu zrobisz albo dwa za dużo, to dostaniesz strzał w głowę. I cię nie ma. I już drugi kolega, jak to widzi, milczy na ten temat i idzie zawsze do przodu, na pewną śmierć.

(G. K.): **Rodzina Pana dostała którą listę?**

(J. M.): Trójkę. Ojciec prawdopodobnie miał dwójkę, bo taki znaleziono dokument, że był rehabilitowany. Tylko po tym sąd wydawał takie coś, że Myrcik Franciszek był w 1946 roku rehabilitowany. Bliższe dane znajdują się w sądzie i sąd nie jest zobowiązany do ich ujawniania.

(G. K.): **Jeżeli by tata miał dwójkę, to byście wy to odczuli po kartkach żywnościowych chociażby.**

(J. M.): Nie, to nie miało żadnego wpływu, czy trójka czy dwójka. Tylko Polak dostawał mniejszą rację, a tak nie było. Trójka to obywatel niemiecki był. Hat die deutsche Volksliste drei? Że otrzymał niemiecką volkslistę trzy. To nie miało... Dzieci otrzymywali swoje kartki, a dorośli otrzymywali... Na kartki żywnościowe, na Lebensmittelkarty nie miało to żadnego znaczenia.

(G. K.): **A mama dostała trójkę?**

(J. M.): Ja nigdy nie widziałem w domu tego. Ojciec miał swoją szufladę, gdzie były dokumenty i dzieci nie miały nigdy wstępu. Naturalnie w 1945 roku wszyscy Ślązacy gremialnie palili niemieckie dokumenty, wszyscy. Bano się skutków.

**(G. K.): Ogólnie warunki życiowe w czasie wojny, to jak to Pan pamięta? Jak już było tak krucho na wojnie, to czy było gorzej wtedy z zaopatrzeniem?**

(J. M.): Naturalnie, że było gorzej, ale dzięki Bogu moja babcia miała wielkie gospodarstwo i otrzymywali od czasu do czasu zezwolenie z gminy na ubój. Zresztą było tak, jak Polska wprowadziła po wojnie te obowiązkowe dostawy. Naturalnie u Niemców było to bardziej przestrzegane. Wszyscy byli zdyscyplinowani i oddawali to, co trzeba było, bo bali się skutków. Było już znane Konzentrationslager, co to jest, z volkslistami też było znane, że jeśli ktoś powie „nie idę do wojska, bo nie jestem Niemcem”, Ślązak jakby tak powiedział, to go nie było wśród żywych. Z Koszęcina też byli tacy, którzy poszli do kamieniołomów i za kilka dni go nie było. Jelonek taki.

Była bieda. Przeważnie z Zuckerrüben, czyli z buraków cukrowych... Na książęcych polach były później wykopki i jechało się i robiło się taki syrop. To pamiętam, że to było w domu nagminnie. Marmelady z różnych owoców się robiło, z gospodarstwa kapusta, takie rzeczy. To było wszystko od babci. Inaczej było na wsiach, inaczej było w mieście. Na wsi było wygodniej, każdy sobie coś uprawiał, jak miał trochę ogródka... Dzisiaj w ogródkach są trawniki. Przeszedłby pan cały Koszęcin, może by pan znalazł w trzech ogródkach, gdzie marchew sięją. A tak słyszy pan regularnie tylko, jak maszynki do cięcia trawy pracują.

Bieda była podczas wojny wielka. Była ta bieda moralna, intelektualna po stracie bliskich, wszyscy ludzie byli..., morale było niesamowicie nadwyrężone, bo nie było śląskiej rodziny, gdzie by jeden albo dwóch nie poległ. W Polsce też się tak mówi, nie ma polskiej rodziny, która by nie straciła kogoś, ale Polacy podczas wojny... to nie było masowe chwycenie za broń. Tak nie było. Byli w konspiracji partyzanckiej itd., a na Śląsku każdy był zaciągany do wojska. Każdy chłopak, który miał 17 lat, a nawet i 16,5 był zaciągany do Wehrmachtu. Dokładnie jak mu dzisiaj obija data urodzin, to jutro przychodzi Einberufung do wojska. Głównie na wschodni front, głównie. Może osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt procent z tych, których ja znalazłem, z tych stu siedemdziesięciu, zginęło na Ostfroncie, na froncie wschodnim.

**(G. K.): Jak by Pan mógł jeszcze raz opowiedzieć o tym obowiązkowym, przymusowym zaciąganiu młodych i Pana zaciąganiu, do tych służb pomocniczych. Czyli Pan był w końcu gdzie?**

(J. M.): To było tak jak lekcja.

**(G. K.): A to było w ramach HJ-otu?**

(J. M.): W ramach DJ, ja byłem za młody do HJ-otów.

**(G. K.): DJ, to jak to się tłumaczyło?**

(J. M.): Deutsche Jugend. To było takie przedszkole do HJ, a jeszcze wcześniej była Kindergruppe, dziecięca grupa. Zaraz po lekcjach była zbiórka, Dienst, to się gadało „zbiórka”, tylko „na służbę”. Dienst? Uczyliśmy się śpiewu. Uczyliśmy się też gelände

Spiele, zabawy w terenie. Mieliliśmy wykłady, czasem spotykali się z żołnierzami. Bardzo często chodziliśmy na pola. Były takie sztechry specjalne, ale to z całej szkoły... To było tak jak dzisiaj, jak się później pisało, że organizacja podstawowej organizacji partyjnej w Koszęcinie, w niedzielę tego i tego, w czynie społecznym wykonała rowy na ulicy Piaskowej. Nie gadali już, że za dwa tygodnie musieli wszystko zasypać, bo woda leciała w przeciwnym kierunku, bo popili i na tym się skończyło. [śmiech]

Tak to nie było w niemieckim... Armia dzieci szła i oset, jak rósł w zbożu, nie było chemicznych środków, to myśmy szli i takim sztechrem, czyli tak jakby dzisiaj powiedzieć, co się ściany, jak się to nazywa ... szpachlą, taka ostra szpachla, w kuźni to robili, dziabło się, razem z korzeniem. I tak żeśmy szli, sto dzieci może, to sto metrów szerokości, to się za godzinę z hektarem dało radę, albo z dwoma hektarami.

Były tzw. oddziały, np. Flieger HJ, czyli samolotowe przygotowywanie. To była modelarnia, modelarstwo to było. Nie było takiej świadomości, że ja służę. Były takie afisze też, że tu Hitler ma rękę na ramieniu tego małego HJ-ocika. Hitler uczesany na lewo, ten HJ-ocik Hitlerschnitt miał. Fryzjerzy mieli obowiązek strzyżenia na Hitlerschnitt, takie głupoty też były, czyli cięcie na Hitlera. Hitler się ciął dlatego, że miał z tym okiem kłopot podczas I wojny światowej. Nie było wśród tych dzieci świadomości politycznej, że my będziemy wiernymi żołnierzami Hitlera. Chociaż w szkole, na Singen, na śpiewie, uczyli tych wojskowych piosenek, oprócz innych. Była piosenka np. o wojnie piękna, ale później wojskowe piosenki. One były piękne, melodyjne te niemieckie piosenki, zresztą polskie też, zagrzewające do boju. I ja, pisząc o wojnie, uważam, że częścią namawiającą ludzi do zabijania, była piosenka, była piosenka zagrzewająca do boju. „Czerwone maki na Monte Cassino zamiast rosy piły polską krew...”. Inne polskie piosenki, „Dziewczyna płacze nad mogiłą żołnierza” itd. Nawet „Krakowiaczek jeden” ma w podtekście..., bo tych koników miał siedem, a został mu się jeden, jak pojechał na wojnę. Romantyzm oddawania życia za ojczyznę był tak mocno zakodowany w tych piosenkach. Na festiwalu..., chyba w Zielonej Górze był festiwal... Tak uczyli. „Ich hat einen Kamerade”, niemiecką, ja ją przetłumaczyłem w tej książce „Epitafium dla poległych”, że to nie była hitlerowska piosenka, bo w 1813 roku powstała. Ich hatt' einen Kameraden, einen bessern findst du nit... Miałem ja ci kolegę w wojsku, że lepszego nie znajdziesz, gdy wojenne bębny biły, nas do wojska zaciągnęły. Szliśmy krok w krok do boju, wroga kula nadleciała, trafi ciebie albo mnie, jego w serce ugodziła i z szeregu wyrzuciła. Padł pod moimi nogami, śmiertelną dłoń mi podaje, ja karabin ładuję, nie mogę ci ręki podać... coś tam... twoja w rękach Boga itd. Ich kann dir die Hand nicht geben, bleib du im ew'gen Leben, Mein guter Kamerad! Żyj we wiecznym życiu, mój dobry kolego!

Tak uczyli, że to nic strasznego umrzeć za ojczyznę, za cesarza, za wodza, będziesz żył w innym świecie. Tak jak Talibów uczą, że będziesz święty na pewno.

**(G. K.): A czy ten DJ miał też mundury swoje czy mundurki?**

(J. M.): Miał.

**(G. K.): I podobne były do tych HJ-otu?**

(J. M.): Podobne do HJ-otu, tak.

**(G. K.): Też takie powyżej kolana?**

(J. M.): Też takie sztruksowe czarne spodenki, takie brązowe koszulki, takie chusty na szyję i Knotel się to nazywało, takie z takich małych pasków skórzanych zrobione, że się tu zaciągało. Mieli Fatmesser [?], czyli mały bagnecik, czyli nóż, harcerze też mieli, każdy harcerz miał. To było bardzo podobne do skautingu, tylko zupełnie inne zasady. No bo skauting był pokojową, patriotyczną, proureligijną, a tutaj tego nie było. Nigdy drużyna HJ-otów nie maszerowała do kościoła. Jedynie na pogrzebach żołnierskich żołnierze trzymali wartę honorową.

Tak sobie przypominam, w nawiązaniu do tego, cośmy wczoraj nagrywali, o tych pogrzebach, że nie było tego zabitego na wojnie żołnierza, to ja dzień wcześniej szedłem... Bo tak telefonów nie było, a może wojskowej łączności między tym szpitalem wojskowym w szkole. Ja chodziłem, wysłany przez księdza Gąskę, prosić, że np. w czwartek będzie msza św. za poległego żołnierza, żeby przyszła warta honorowa. I to pamiętam, to dodawało takiego ogromnego żalu i smutku. Przyszło tych czterech żołnierzy, czasem kulawy, czasem jakoś inaczej uszkodzony. Dużo było na malarię chorych, z Południowej Afryki, co przychodzili. I to muszę zademonstrować, jak oni stali. Jeśli tutaj był ten nakryty całunem czarnym, to stało czterech żołnierzy. Nasi stoją na baczność, ale teraz już też w rozkroku, już to wprowadzają. W takim rozkroku, na baczność, naturalnie bez broni, w hełmach, bez mrugnięcia. Godzinę ta msza, to nabożeństwo trwało, bo naturalnie było kazanie. Ksiądz Murza miał piękne te kazania. Ja już powiedziałem, to był bardzo propolski ksiądz, którego w 1940, w 1939 roku w Piotrowicach aresztowano. Niemieccy katolicy stwierdzili, że on Niemcom nigdy nie szkodził i wykupili go. Tylko mu powiedzieli, że ma się sprzątnąć z parafii w Piotrowicach Śląskich – dzisiaj Katowicach. I dostał parafię w Koszęcinie. Pamiętam, że jak np. na kolędę bryczką jechaliśmy, to on miał kołnierz zawsze postawiony, żeby się z Bürgemeistem, noszącym mundur NSDAP, nie spotkać nigdy. Tak się bał bardzo Niemców. Ale jeśli chodzi o te ceremonie religijne itd., to je odprawiał bardzo pięknie.

Powiedziałbym jeszcze raz, patrząc z tzw. dojrzałego wieku, na moje przeszłe, przeżyte prawie już życie, na moje dzieciństwo, które nie było sielskie, ani anielskie, jednak ogólnie można powiedzieć, w tej biedzie, w tej nędzy, w tej ponad pięcioletniej wojnie, jakoś dobrze te czasy wspominam. Ludzie się trzymali, rodzina... Wspólnie płakali, mało radości było podczas wojny, prawie jej nie było. Wchodziło się do smutnych domów, do krewnych, bo nie było miesiąca, żeby ktoś bliski nie poległ, nie było. Było wzajemne powiadamianie się. Jak moja babcia widziała, że idzie Postmeister, który był zarazem szefem NSDAP, idzie Bürgemeister do jakiegoś domu, to już płakali, bo wiedzieli, że oni niesą die traurige Nachricht, że „wasz syn, taki i taki...”. W tej książeczce mojej, to jest epitafium na podstawie dokumentu, wszyściusieńko pokazane. Szła poczta rodzinna zaraz powiadamiać wszystkie ciotki, wszystkich wujków, że Karlik padł, że Emil padł, że taki i taki poległ, że tyn jest vermisst, stracony, tak płakali, jak o zabitego. Stu siedemdziesięciu, tylu chłopców. Nie mówię już o innych, którzy umierali normalną śmiercią. Czyli prawie co drugi dzień albo prawie codziennie odbywał się pogrzeb w Koszęcinie, albo prawdziwy, że na cmentarzu się kończył, albo taki, który cmentarza nie dotykał. Tak samo i hrabia, późniejszy hrabia, który poległ niedaleko..., nie pamiętam, ale w każdym razie też nad Wołgą, jako oficer rezerwy niemieckiej, też miał... I tutaj przyjechało wtedy bardzo dużo ewangelików do katolickiego kościoła z całej Europy, z wszystkich tych krajów, które Niemcy podbili, a to było pół Europy, od Szwajcarii, Austrii. Szwajcaria może mniej, bo była neutralna. Spotkałem w Szwajcarii Szwajcarów, którzy mi mówili, że szli freiwillig do Wehrmachtu. Na dworcu mnie spotkał jeden, w Zurichu, i mówił, taki kopnięty człowiek trochę, że ma wielką satysfakcję, że Szwajcaria nie jest neutralna, bo on służył w Wehrmachcie, bo się ochotniczo zgłosił.



**(G. K.): Jak długo pan tam był w DJ-cie? Od którego roku mniej więcej?**

(J. M.): Chciałbym powiedzieć jeszcze raz, że nie szło się tam ochotniczo. Absolutnie. Do harcerstwa szło się ochotniczo. Tam było obligatoryjnie, wszyscy chłopcy i wszystkie dziewczyny musiały do tych organizacji należeć i jeśli ktoś mówi inaczej, to cygani. Ja bym panu też mógł powiedzieć, że inni należeli, a ja nie. Powiedziałbym nieprawdę.

**(G. K.): Mam na myśli, od kiedy to Niemcy wprowadzili? Od początku?**

(J. M.): Od początku, bo HJ było stworzone gdzieś w 1934 roku.

**(G. K.): Ale tu na Śląsku też od razu, od 1934?**

(J. M.): Na Śląsku tu nie było, bo tu była Polska do 1939 roku.

**(G. K.): Dlatego pytam: od razu po wejściu tutaj?**

(J. M.): Ależ naturalnie. Tworzyli już HJ, ale tworzyli je ci Niemcy, którzy należeli... Po prostu to się tworzyło w tej Minderheitce, ci którzy byli. A później już zrobili... ja przypuszczam... może od czwartej klasy.

**(G. K.): No właśnie o to pytam. Czyli mniej więcej od 1943, 1944 roku?**

(J. M.): Może tak, może tak, bo wcześniej była Kindergrupa, czyli te małe dzieci to się bawiły, nie miały mundurków jeszcze. Taka grupa dziecięca, ale która już w jakiś tam sposób miała te akcenty. Później było DJ – Deutsche Jugend, HJ – Hitler Jugend, BDM – Bund Deutscher Mädel, czyli Związek Niemieckich Dziewcząt. Nie pamiętam, jaki one miały mundurki, białe bluzki chyba tylko i jakieś ciemne spódnice, faltenrocki.

**(G. K.): I co, i potem Arbeitsdienst był?**

(J. M.): A to było już znów coś innego.

**(G. K.): Organizacja Todt, a to było coś innego już.**

(J. M.): To już były Pflicht, obowiązkowe rzeczy, wiążące się z tym, że opuszczało się dom rodzinny. Po ukończeniu szkoły podstawowej był Landjahr, kiedy miał 16 lat był [kierowany] do Arbeitsdienst, to się nazywało dosłownie Reichsarbeitsdienst, czyli narodowa służba pracy. Oni budowali autostrady, stadiony, na Górze św. Anny amfiteatr, autostrady z Wrocławia do Opola albo te wszystkie betonówki. Już ich nie ma, bo zlikwidowali, ale się czuło, jak się wjeżdża. To wszystko było Arbeitsdienst. I w czasie wojny, nie wiem, jak tam w Niemczech było przed, jeszcze były jakieś inne takie. Dziewczyny też miały obowiązkowe, bo Arbeitsdienst i Landjahr też miały, a później jeszcze miały „pomoc wojnie”, też jakoś ta organizacja się nazywała.

Tylko rdzenny Polak, który nie miał żadnej volkslisty, tak sobie myślę, nie twierdzą, że to tak było, nie należał do tych organizacji.

**(G. K.): Podsumowując okres wojenny, jakby Pan mógł się zdobyć na taką refleksję, jaki wpływ na Pana późniejsze życie powojenne miała wojna?**

(J. M.): Ona miała i ma ten jeden wpływ, który jest, można by powiedzieć, takim sloganowym zdaniem, króciuteńkim, składającym się z trzech słów: nigdy więcej wojny. Ja doszedłem do wniosku, że wojna nie będzie nigdy jednakowej świadomości walczących ze sobą stron. Bo gdyby Hitler albo rząd niemiecki, rząd III Rzeszy i rząd polski doszli do porozumienia i powiedzieli: nie robimy wojny, rozwiążemy ten problem inaczej, to by było w porządku. Ale do tego nigdy nie dojdzie. Ktoś mi powiedział, że wojny były od początku i wojny będą do końca egzystencji ludzkości.

Moja świadomość jest bardzo negatywnie... bo ja w wojnie nie widzę żadnej innej korzyści, oprócz ogromnego żniwa śmierci, z obu stron, i nic to nie przynosi, ta śmierć. Tzn. my możemy mówić o zwycięstwie, którego ci zabici nigdy nie osiągnęli, nigdy nie święcili. Święcą to inni. A najczęściej do wojska i wojowania namawiają ci, którzy nigdy z wojną nie mieli nic wspólnego.

**(G. K.): Mam na myśli jeszcze w tym pytaniu to, że okres wojny przypadł na pańskie dzieciństwo, wiek dorastania, wychowania. Akurat w takim momencie Pana życia przypadła ta wojna. Czy to miało wpływ na pana dalsze decyzje, wybory, na sposób myślenia?**

(J. M.): To nie. Muszę powiedzieć, że dzięki Bogu żyłem później w szczęśliwym czasie, w czasie pokoju. Nigdy na naszej ziemi nie było tak długiego okresu, że nie było wojen i powstań. Od 1945 roku do 2013 roku nikt tutaj nie strzelał i nikt nie mówił... Ludzie jednak potrafią się porozumieć i tak, jak muszą się politycznie porozumieć, żeby stworzyć Unię Europejską z prawdziwego zdarzenia, tak świat, jeśli będzie chciał istnieć, musi się porozumieć, że skończy z wojnami. Bo zawsze będzie policjant, mówię o Stanach Zjednoczonych, który będzie czuwał nad resztą świata (...) i myślę, że ktoś wynajdzie taką broń, żeby tą ręką, która sięga po pistolet albo po bagnet, żeby ją sparaliżować. Może do tego dojdzie, jak tych ludzi będą mieli ponumerowanych i przez jakiś komputer ich odstrzelą. Jak wejdą do naszych umysłów, do naszych szarych komórek, a do tego chyba dużo nie brakuje, to wyłapią tych tyranów i wcześniej unicestwią. Głównie polityków, bo oni są zarzewiem wojen. Ludzkość w swej ogromnej masie nie ma nic do powiedzenia, nic. I ci Talibowie, którzy zabijają... Dzisiaj puściłem rano radio, siedemdziesięciu znów... Podczas ramadanu, święto, szli ze świątyni i znów był wypadek, że chyba siedemdziesięciu dziewięciu zginęło.

Mam ogromny dystans do wojny, bo ja ją przeżyłem. I tak strasznie nie przeżyłem, bo w Koszęcinie nie toczyły się te wielkie fronty. Przeżyłem ją, jak każdy Polak, jak każdy Niemiec i każdy inny człowiek innego narodu, że mamy ciągle w pamięci i opłakujemy tych, którzy stracili swoją młodość, swoje życie na frontach, na wojnach. To jest ten dramat. Bogu dzięki i niech tak dalej będzie, niech świat żyje, nawet i skonfliktowany troszkę, ale zdolny do pogodzenia się i broń Boże, żeby była wojna.

Tak bym zrobił kropkę na tej sobotnio-niedzielnej pogawędce, refleksji nad życiem ludzkim, nad jego losami, nad tym, że się człowiek starzeje, że ma odniesienia do pewnych przedziałów czasowych swojego wieku, że każdy człowiek może inaczej oceniać. Ja żyłem całe życie bez gorzoły, bez cygania, bez papierosów i myślę, że moje życie było szczęśliwe i też Bogu dziękuję, jako osoba wierząca za to, że moje szare komórki pracują jeszcze na pełnych obrotach. Czasem mi żona mówi... wczoraj mi znów komplement powiedziała – *Janek, ty masz rzeczywiście pamięć* – bo ona w tej kuchni słuchała.

(6; 00:00)

**(G. K.): Czy mógłby Pan opowiedzieć o tym, w jaki sposób pan się dostał do Służby Polsce?**

(J. M.): Lata wczesno powojenne były związane z tym, że trzeba było kraj rozbudowywać. Dopiero w starszym wieku moim dopiero zainteresowałem się, czym właściwie była Służba Polsce i dowiedziałem się, w Internecie trochę poszperałem, że była to organizacja powołana przez partię w 1948 roku i zmuszająca chłopców i dziewczyny do gratisowej pracy na różnych odcinkach. Ja np. zostałem skierowany, wraz z wieloma chłopcami z Koszęcina, może było nas tam piętnastu, do Warszawy na Bielany. Tam stały już namioty. Tam była także polonii francuskiej brygada. To też ciekawy epizod historyczny, że oni ochotniczo zgłosili się. Pamiętam, że tam piękne dziewczyny przyjechały. Myśmy mieli po siedemnaście lat, a tam jeszcze była młodsza [grupa]. Najpierw stała, też przymusowo ściągnięta do wojska, lotnicza jednostka. Był tam mój kolega, to się dopiero później dowiedziałem, z tzw. Batalionów Wojskowych [Wojskowe Bataliony Pracy], oni też Warszawę odbudowywali, Smyk Konrad się nazywał. Później stała 2 Warszawska Brygada Służby Polsce, a później ta francuska brygada. Vis a vis był Park Bielański i kościół Marianów, czy kogoś, nie wiem. Pamiętam, że on był dosyć poważnie zniszczony.

Jak to się stało, żeśmy do tego SP się dostali? Byłem prawie z tego pierwszego naboru, bo to 1948... W 1949 pierwsi na Wybrzeże szli, a później myśmy się dostali na te Bielany. Pamiętam, że chodziliśmy, nie wiem, jak się ten plac nazywa na Żoliborzu, gdzie kino stało, pieszko. Tam tramwaj tylko dochodził. Jeden tramwaj to był tak obklejony... a tak same furmanki, takie jednokonne. Samochodów nie było. Myśmy tą cegłę, jak się to mówi po śląsku, klupali, czyli czyścili. Nie pamiętam, ale byłem w wielu takich bardzo ciekawych. To nam mówili, że „tam jedziemy... dzisiaj będziemy tam i tam robili”, można by powiedzieć w takich centrach Warszawy. Pamiętam te gruzu po obu stronach. Ani jednej warszawskiej ulicy nie było, żeby po obu stronach nie stały rozwalone, zawalone budynki.

W Warszawie spędziłem... Tzn. [jechaliśmy] w bydlakach z Lublińca. Najpierw była komisja poborowa, taka jak do wojska. Mam gdzieś to zaświadczenie: „Stwierdza się, że obywatel Jan Myrcik jest zdolny do odbycia służby w Powszechnej Organizacji «Służba Polsce».” Lekarz zbadał i ciach, w bydlęcych wagonach na Dworzec Gdański, na inne stacje nie szło jeszcze dojechać. Na Dworcu Gdańskim nas rozładowali i pieszko na Bielany. Tam zostaliśmy przemundurovani.

Ja mam w życiu szczęście i wierzę w takie niemieckie przysłowie, że ein Sonntagskind ist ein Glückskind, dziecko niedzielne jest dzieckiem szczęścia. Urodziłem się o godzinie 8:45 w niedzielne popołudnie 15 listopada 1931 roku. Najpierw pracowaliśmy w Parku Bielańskim karczując drzewa, te poustrzelane itd., tośmy kopali pnie. Naturalnie entuzjazm pracy był przeogromny. Wyścig pracy wtedy był, te normy. Nas tam było chyba dwa tysiące chłopców. Wszystkie takie ogromne! Myśmy byli przydzielani do różnych prac i w tym parku były takie po szczęście osób brygady pracy. To jeszcze nie nazywały się Brygady Pracy Socjalistycznej. Zostaliśmy umundurovani. Nas to bardzo cieszyło, bo mieliśmy mundurki podobne do andersowskiego wojska, taki bluzy zapinane. Pracowaliśmy, tzn. kombinowaliśmy tak... Ja byłem raczej słaby fizycznie, dzisiaj też nie należę do wagi ciężkiej, ale wtedy byłem bardzo szczuplutkim, słabym chłopcem. Wie pan, kopać taki pień albo coś takiego, to... Była w tej mojej grupie chyba połowa takich naprawdę silnych chłopców. Myśmy się podzielili w ten sposób, już kombinowaliśmy. Trzeba było dziesięć wykopać, to była norma. Dziesięć, to było dużo, to było sto procent normy. Jak wykopał

dwadzieścia, to było dwieście procent normy. Jak się wchodziło przez tą drogę do Parku Bielańskiego, prosto na brygadę żeśmy szli do naszego namiotowego miasteczka, to już cały węzeł radiowy grał. „dla plutonu tego i tego, brygady takiej i takiej gramy to i to za wykonanie osiemset trzydzieści procent normy albo ileś...”. A na czym to polegało? My słabsi, trójka, tośmy chodzili te cieńsze pnie brak z tych, które wcześniej zostały wykopane. Myśmy przynieśli najmniej dwadzieścia. To było trzysta procent normy. Ci wykopali te dziesięć. Czyli to w ten sposób. I już się tak kombinowało. Bardzo szybko dostałem odznakę za zwycięstwo w wyścigu pracy.

Później pytali, kto miał do czynienia z kulturą. Tam wtedy gazetki ściennie żeśmy robili. Świetlica była w namiocie. Ciekawą rzecz pamiętam, to były czasy Tito. Ja mam takie zdjęcie, bo pierwsze miejsce zajęliśmy wśród brygad w całej Polsce, i byliśmy po nagrodę w Warszawie. Nie pamiętam, w czym to było. Do dzisiaj mam gazetkę. W lewym roku jest Tito namalowany na łańcuchu, to ja rysowałem go wtedy. Tito na łańcuchu i było jakieś hasło napisane. [śmiech]

Już może tak po dwóch miesiącach pracowałem w świetlicy. Dekorować, tam gdzie sztab był, kamyków żeśmy naprzynosili i zrobili z czerwonych kamieni i białych takie flagi.

Starszy kolega, który zawodowo już pracował, to był żołnierz były, on radiowęzeł prowadził. I raz puścił Wolną Europę, czy kręcił tam niepotrzebnie, czy Radio BBC się zgłosiło czy coś, i frunął, i go zamknęli. I dzięki temu jego nieszczęściu ja miałem szczęście, że pracowałem w radiowęźle. Awansowałem tam bardzo szybciusieńko. Był junak, starszy junak, podhufcowy, hufcowy i jeszcze może nadhufcowy. Ja miałem wszystkie te belecзки za pół roku i może jakieś osiem medali: za strzelectwo, za pracę społeczną, za ... W pasie się wypalało takie dziurki i się tutaj te medale dawało. Ale mi to w domu zginęło, jak się tutaj przeprowadziłem, nie mam tego, a byłby to taki ciekawy element. Jeszcze mundur w nagrodę dostałem, jak do Koszęcina przyjechałem.

Mój kolega w tym czasie, w maju, późniejszy profesor ekonomii, Jerzy Pietrucha, został aresztowany za harcerstwo. Ja byłem jeszcze w Warszawie. W 1949 zostało harcerstwo, to przedwojenne, ten skauting, zdelegalizowane i zdelegalizowano także organizacje kościelne, m.in. Sodaliję Mariańską. Ja do tych dwóch organizacji należałem. Zawsze mówię i podkreślam to, jeśli mnie ktokolwiek pyta albo nie pyta, że mnie wychowało harcerstwo przedwojenne i przynajmniej kilku punktom dziesięciopunktowego prawa harcerskiego byłem bardzo wierny, m.in. harcerz szanuje przyrodę, harcerz służy Bogu i Polsce, sumiennie spełnia dla nich swoje obowiązki, harcerz nie pali tytoniu i nie pije napojów alkoholowych. To była moja dewiza życiowa, która mi pozwoliła życie przejść właśnie bez tych używek. I Jurka zamknęli w Lublińcu po zdaniu matury pisemnej na piątkę, za działalność wywrotową, mającą na celu przejęcie siłą władzy w Polsce. Ta organizacja się tam jakoś nazywała. I jak ja przyjechałem, to on siedział w Jaworznie, we Wronkach też siedział. Miał niespełna 18 lat i matka jego mówi – *Janek, ja bym chciała jechać odwiedzić Jurka*. Wszystko było z płaczem i ogromnym żalem mówione. Tu się wstawiali wszyscy za nim, żeby mu pozwolić ustną maturę zdać, bo to był jeden z najzdolniejszych ludzi. Nie zezwolono mu. W więzieniu lublinieckim, w UB, był bity, kopany. I pamiętam to do dzisiejszego dnia, ja to też opisałem w tej nowej mojej książce, w mundurze nie wpuszczali na odwiedziny, ale ja w mundurze z medalami i z dystynkcjami pojechałem z tą mamą do Jaworzna. Mało kto chodził w mundurze. Tak przyjechałem. Spisali nasze personalia. Weszliśmy do sali widzeń, były krzesła poustawiane i gruba szyba na sześć albo osiem metrów długa, tak jak w urzędach, gdzie się podnosi troszkę szyby, a z drugiej strony siedzieli chłopcy, wszyscy wystrzyżeni na glacę. Glaca to po śląsku „na łyso”. Miedzy innymi Jurek siedział. Napisałem, wspominając właśnie biografię tego ciekawego człowieka, że piętnaście albo dwadzieścia minut trwało spotkanie i z naszej strony

nie padło ani jedno słowo. Nie mogliśmy mówić, zatkało nas, jego mamę, tylko płakała, jak zobaczyliśmy tych chłopców. Oni wyglądali zupełnie... On był taki... po śląsku się mówi lukaty. Miał tak pokręcone włosy, taki sympatyczny, a tutaj łysego, bez zębów z przodu [ujrzeliśmy]. Dostał siedem lat, przesiedział sześć, do 1956 roku. Później zrobił dwie matury eksternistycznie, i w ekonomiku, i w ogólniaku w Katowicach. To nie było tak łatwo, ale on na złość. Ja on przyszedł, to w Koszęcinie założyliśmy wspólnie z Jurkiem Esperanto Rondo Koszentino, czyli Koło Esperantystów w Koszęcinie. On uczył nas tego języka, który był wtedy bardzo modnym językiem i wydawało się, że nie angielski, ale esperanto będzie językiem światowym. Myśmy nawet dość dobrze mówili. Bez podręcznika, bez niczego. Jurek potem studia bardzo szybko skończył, doktorat, wkrótce habilitacja, profesora nadzwyczajnego i profesora zwyczajnego. Bardzo szybko szła mu ta kariera w dziedzinie ekonomiki. A ja go znałem z dzieciństwa i też to zawsze mówię, że Jurka widziałbym jako wybitnego literata. On pisał. Myśmy w dwójkę chodzili, samochodów w Koszęcinie nie było. Prądy to jest 2,5 km, asfaltowa droga była. Jak Jurek napisał jakąś powieść, tośmy tak szli na dół tą drogą, środkiem jezdni. Nic nie jechało, czy w sobotę, czy w niedzielę, w ogóle po Koszęcinie żadne auta w tym czasie nie jeździły. I wiem z tego, że miał dużo materiałów dotyczących nie ścisłych przedmiotów. Raz mu zadałem pytanie – *Jurek, jak się to stało, że ty jesteś ekonomistą, to jest dla mnie coś niezrozumiałego. – To zawdzięczam długoletniemu przebywaniu za kratkami.* Ci młodzi więźniowie polityczni nie mieli żadnych przyborów do pisania i oni się kształcili [w taki sposób, że] pisali to na tym prawie twardym dysku, to pojęcie wtedy nie było jeszcze znane, mieli fenomenalną [pamięć]. Wszystkie wzory matematyczne, fizyki itd. on miał zapisane, zakodowane [w głowie]. Przyjaźń nasza trwała i ja zawsze miło tego człowieka wspominam. Jedna z nielicznych postaci Koszęcina, która wspięła się tak wysoko. On był w wielu międzynarodowych organizacjach. Zmarł w wieku 60 lat w Bochum. Tam wykładał, dorabiając do swojej profesorskiej pensji. Zmarł na zawał serca.

Ja miałem szczęście, że byłem wtedy w Warszawie, bo byli by mnie też przydybali tutaj, przydybali czyli złapali, bo ich na ławie oskarżonych siedziało może siedemnastu chłopców i dziewcząt, mniej więcej od 16 do 17 lat. I dla mnie miejsce też tam było, ale jak przyjechali, jednego z kolegów, Owczarek (...) się nazywał, jego wzięli, bo on miał jechać po drukarkę, którą drugi kolega, Ryszard Łogiewa, niesamowicie zasłużony dla budownictwa dróg w Afryce itd., w Szczecinie mieszka. Rysiek Łogiewa, on dostał trzy lata wtedy. A Owczarek miał jechać odebrać w Warszawie w umówionym miejscu powielacz i maszynę do pisania, którą ukradł we Włocławku, w szkole papierniczej, bo tam chodził do technikum papierniczego. Ja to wszystko pospinałem dopiero w późniejszym okresie, jak z tymi ludźmi rozmawiałem, to się ten pełny obraz [objawił].

A ja w SP byłem kimś [śmiech], bo pracowałem w zaufanej sali, gdzie był mikrofon i głośnik i jakieś inne sprawy, to Myrcikowi dali święty spokój, a Owczarka zabrali do Koszęcina. Dwójka dostała wtedy [karę więzienia]: siedem lat Jurek i trzy lata Rysiek.

To był mój epizod ze Służbą Polsce. Taki artykuł napisałem „Służba Polsce. Co to było?” Tutaj można mnie zobaczyć, jestem w środku, tu jest mój dowódca. To są obrazki, jak żeśmy wyglądali przy tych namiotach w Warszawie.

**(G. K.): Proszę opowiedzieć, jak Pan pamięta, jak np. tam wyglądał taki zwykły dzień pracy, dzień powszedni?**

(J. M.): Pobudka rano, bieg wkoło obozu. Obóz się kojarzy z obozem harcerskim raczej, bo to tak wyglądało pięknie. W namiotach spał pluton, dwudziestu czterech chłopców.

Był dowódca, wszyscy wojskowi z wojny, bo to było trzy, cztery lata po wojnie, tak że oficerowie, cała ta kadra od szefów kompanii, to już wszystko było wojskowe. Na wzór wojskowy. Naturalnie większość tych chłopców, bo ze Śląska i z Opolskiego ta rekrutacja była... Mało kto umiał tam poprawnie pisać, czytać. To była tak zabawna praca, bo ci oficerowie nie mieli zielonego pojęcia, jak to należy robić. Czytać prawie też nie umieli. Nie obrażam ich, ale oni na froncie kończyli półroczną szkołę oficerską, to później wiem z wojska, jak to było. Oni się tam głosili z tych środowisk albo byli potomkami zesłańców, albo też byli ludźmi, których wywieziono z Kresów w 1941 i 1942 roku, czy jeszcze może nawet wcześniej, bo po 17 września [1939] już Ruscy tam byli i wywozili.

I to tak można powiedzieć: dzień zaczynał się od prasówki. Najpierw mycie. Mycie to były takie długie, ja wiem, może po trzydzieści metrów takie koryta zrobione, leciała rura, taka może cal albo cal i ćwierć, i co pięćdziesiąt centymetrów był zrobiony taki mały kokotek się mówiło u nas, czyli taki kran, gdzie tylko zimna woda była. Toaleta... i to była godzina gdzieś wpół do siódmej, bo o wpół do szóstej była pobudka. Później śniadanie i o siódmej już wychodziło się, już był podział zrobiony.

Organizacja pracy była tam bardzo dobra, bo rozdysponować tysiąc albo dwa tysiące ludzi rano do różnych prac, głównie odbudowa Warszawy, tzn. ta cegła wrzucana na takie wąskie fury... Pamiętam, jak jeden woźnica... I ciągle te furmanki jeździły tam i z powrotem, tu gruzy, tu gruzy... takie na osiem, dziesięć metrów wysokie, a w pośrodku tak może trzy metry taka dróżka, to się te wozy miały.

Obiad... Myśmy dopiero przychodzili z pracy około czwartej i wtedy był obiad. Później były zajęcia świetlicowe dwie godziny, gdzie uczyli nas śpiewu. Naturalnie hymn „Znow się pieśń na ustach rwie, SP, SP/ nierozłączne siostry dwie – młodzież i SP/ szumem wabi morza siny brzeg/ wzywa pieśń Warszawy/ rytmem młota rozdzwonimy wnet/ piastowskie szlaki sławy.” Pamiętam to, jak Ojciec nasz. Dalej: „Z nami fundamenty kładź/ pod gmach Polski nowej, ludowej/ maszeruje rozśpiewana brać/ przyszłości świat tęczyowy.” Pamiętam te dwie zwrotki, teraz, jak mnie pan o SP zapytał, mi się przypomniały. Nawet nie wiem, kto to napisał, chyba tam w Internecie gdzieś będzie ten autor.

Dopiero po latach, jako Ślązak, w ubiegłym roku, w gazecie „Ziemia Lubliniecka”, w jej części miesięcznej – magazyn społeczno-kulturalny, odważyłem się napisać „Służba Polsce. Co to było?” naturalnie posiłkując się Internetem, bo wiele osób wystąpiło, tak jakbyśmy byli w karnej kompanii, o odszkodowanie. Teraz jest taka organizacja założona i chcą, żeby po prostu nie była to taka praca, jak był Arbeitsdienst w Niemczech. Znam stronę niemiecką, bo przecież żyłem podczas wojny w III Rzeszy, zostaliśmy przydzieleni, że tak powiem, i wiem, co to był Arbeitsdienst. On się nazywał Reichsarbeitsdienst. W Niemczech było po ukończeniu szkoły podstawowej, może żeśmy już na ten temat mówili, Landjahr, czyli rok pracy w gospodarstwach rolnych, niezależnie od tego, z jakiego środowiska się wywodził i kim byli rodzice. Mógł być ojciec generałem, mógł być ojciec wielkim dostojnikiem, profesorem itd. Każdy przeszedł przez Landjahr. U nas się mówiło landówa. Ślązacy śpiewali po polsku wulgarne piosenki: „Nie ma to jak na landówie, po kolana we gnojówie...”. Później było jeszcze bardziej wulgarnie... [śmiech] Niemcy nie mieli by autostrad, gdyby Hitler nie wymyślił Arbeitsdienstu.

Patrzę dziennie może pół godzinki na taki satelitarny program nadawany przez Niemców, mówiący najszczerzą prawdę – akurat teraz leci – o czasach Hitlera, od jego urodzenia się, od jego pradziadków... Dopiero się dowiedziałem, że dziadek przyjął nazwisko Hitler, a wcześniej nazywali się zupełnie inaczej. I Hitlera nie oczyszczają z tych jego wielkich grzechów, ale mówią, że była to na wskroś inteligentna, w sensie mądrości, osoba. Tylko, że skierował te swoje działania później zupełnie inaczej. On powołał wszystkich

młodych Niemców na pół roku do pracy w Arbeitsdienście. I wszystkie autostrady, tak samo tą wrocławską autostradę, na której się jechało „bum, bum, bum, bum, bum...”, wszystko z betonu zrobione... Wszyściusieńkie wielkie budowle budował Arbeitsdienst.

To jest może niezbyt pochlebne dla Polski stwierdzenie, że myśmy skopiowali, że PPR, albo już był wtedy PZPR, w 1948 się zjednoczyli, to oni już zaraz na samym początku powołali, wzorując się właśnie na tym niemieckim Arbeitsdienście, za darmo, za jedzenie i spanie i za skromny mundurki, w którym, jak mnie zabrali w marcu, tośmy marzli, bo to były takie prawie drelichowe mundurki, ale, jak już wspominałem, przypominające... Myśmy jeszcze wtedy nie znali, że żołnierze Andersa będą na indeksie, jak tutaj przychodzili, myśmy tego też doświadczyli, jak to wyglądało... Ale te mundurki nam się niesamowicie podobały, bo to były te bluzy z pagonami i spodnie ze spinaczami na dole, buty ładne także, w kształcie trójkąta na kołnierzu biało-czerwone takie jakby flagi.

Ta moja praca, oprócz tego, że później płaciliśmy pół procent na odbudowę Warszawy z uposażenia, przez cały czas.” Śląsk odbudowuje swoją stolicę”. Warszawa na pewno dla całej Polski, ale szczególnie dla Śląska... Tzn. myśmy mocno się przysłużyli do odbudowy Warszawy i to nie jest kwestionowane.

**(G. K.): Proszę mi powiedzieć, czy tam można było się zaciągnąć ochotniczo, czy każdego brali, kto był w wieku...**

(J. M.): Studenci i młodzież ze średnich szkół szła na dwa miesiące podczas ferii. Nawet było w ten sposób, że to powstawało na wsi później, tylko to nie chwyciło, tzn. na wzór harcerstwa. Jak ja przyszedłem z powrotem, w mundurze, to byłem jedyny, jako wzór pokazywany.

Ten epizod muszę powiedzieć, bo to będzie bardzo ciekawa sprawa, proszę pana. Taki przedwojenny podoficer, nazywał się Polok Karlik, Karol, on był zawodowym podoficerem. To też rzadko się zdarzało. Mówił dialektem, ale w lublinieckim 74 Pułku został i później po wojnie nie było takich żołnierzy. Jak przyszedłem z SP, to zakładaliśmy tutaj te SP, przy gminie. Ja języka niemieckiego uczyłem i znam go dobrze, zachwycony jestem gramatyką niemiecką i tzw. rzeczownikami składanymi. I on powiedział tak – *Chopcy, na drugi raz przynieście po pięć złotych na Legitymationskwitungskarty SP*. [śmiech] To był tutaj taki mieszany... To się nie udało, tak że trzeba było mobilizować. Myślę, że ochotnicy też byli, ale nie musiał nikt być ochotnikiem, bo przymusowo każdy był ściągany. Raczej byli tacy, którzy się wymigali. Chyba klerycy nie musieli służyć, bo mam przyjaciela z tego samego mniej więcej rocznika, rok młodszego ode mnie i on w SP nie był, ale do wojska, to jest już inna sprawa, też ich później ściągali.

Tak wyglądały te moje pierwsze lata. Gdyby w 1950 roku tu nie było Polski, to byłbym na pewno w tym samym czasie, co byłem w SP, bo już miałem 17 lat, to byłbym na sto procent w Arbeitsdienście niemieckim. Można by powiedzieć to samo albo bardzo podobnie, oni też mieli piękne mundury, eleganckie, bo ja takie zdjęcia nawet w jednej z moich publikacji „Koszęcin na starej fotografii” pokazałem, jak ci chłopcy z Koszęcina służyli w tym Arbeitsdienście niemieckim.

Tak ten wczesny młodzieńczy entuzjazm... najpierw harcerski, no a potem SP, ta Służba Polsce... Wiem, że robiliśmy to z wielkim entuzjazmem, chociaż żeśmy tej ojczyzny – Polski nie znali, a jeśliśmy ją znali z niemieckiej szkoły, to w negatywny sposób. Ale pamiętam, że ta odbudowa Warszawy, to była taka duma dla nas. I do dzisiejszego dnia we mnie coś z tego zostało.

(G. K.): **Ciekawe to, co Pan mówił, że jako młodzi ludzie nie mieliście wtedy świadomości, że to jest jednak narzędzie w rękach ówczesnej władzy, że jakieś tam przecież elementy indoktrynacji były, prawda? Ta prasówka...**

(J. M.): Absolutnie nie mieliśmy pojęcia. Myśleliśmy, że jest tak, jak nam mówili, że – *Spotkał was wielki* – jak nas witali w Warszawie – *zaszczyt, że przyjechaliście ze Śląska* – to podkreślano. Z innych regionów też byli. – *Przyjechaliście odbudowywać zniszczoną przez Niemców* – tam inaczej ich nazywano – *Warszawę, stolicę*. Nie miałem wyobrażenia, jak stolica wygląda, bo jak do polskiej szkoły chodziłem, to nie było mowy, żeby ktoś do Warszawy pojechał, a nawet do Krakowa, bo to dopiero od trzeciej klasy. W trzeciej klasie to już byłem w niemieckiej szkole, w drugiej klasie już byłem w niemieckiej szkole, aż do prawie czternastego roku życia. Berlin był moją stolicą, tak nas uczyli – *Die Hauptstadt Deutschland ist Berlin*. Waszą stolicą jest Berlin. A później dowiedziałem się, że naszą stolicą jest Warszawa, no i mogłem tą Warszawę odbudowywać. To jest dzisiaj dla środowiska młodzieżowego... W ogóle patriotyzm dewaluuje się, a wtedy był to autentyczny patriotyzm, chociaż świadomość polityczna była inna. To jest takie dosyć zagadkowe i ciekawe.

(G. K.): **Cofnijmy się jeszcze do harcerstwa, bo tego wątku nie ruszaliśmy.**

(J. M.): To jest ciekawa sprawa w ogóle... Skauting powstał, można by powiedzieć, na przełomie wieków. Baden-Powell w Anglii powołał tę organizację znacznie wcześniej, to był generał angielski i on utworzył przyrzeczenie harcerskie i prawo harcerskie. Niesamowicie trafiony program edukacyjno-wychowawczy młodego pokolenia. To pierwsze zawołanie: „harcercz kocha Boga i Polskę, i sumiennie spełnia dla nich swoje obowiązki”, to trafiało do wszystkich rodziców.

I w Koszęcinie powstała chyba w dwudziestym którymś... Myśmy chyba dopiero w 1922 roku powrócili do Polski, po plebiscycie. Najpierw powstania śląskie... I już raz, dwa lata później w Koszęcinie powstała pierwsza harcerska organizacja, najpierw męska, a później także, ale po paru latach, żeńska. Były nawet dwie drużyny. Jedna była kolejowa, ta miała lepiej, bo kolejnictwo wtedy stało... teraz dopiero zdruzgotali, ale w ogóle PKP i kolejarz... Polska przedwojenna kochała mundur. Pocztcowcy w mundurach, tak jak wojsko wszyściusieńko... I to, co miało w swojej firmie państwowy..., to było bogate, ludzie zarabiali. I ta drużyna harcerska kolejowa, ona już wcześniej na obozy jeździła itd., bo namioty mieli...

Entuzjazm dla dzieci... Ja zawsze pamiętam do tzw. obory... Obora to było ogrodzone pastwisko u mojej babci. Ślązakom, ale i Poznaniakom, reszta Polski zazdrościła porządku albo organizacji w gospodarstwach rolnych. Piszą nasi, że były wratynia, były ogrody i posesje ogrodzone, gdzie indziej nie wiedzieli, że to można w ten sposób rozwiązać. Wara stąd, bo tu jest moja... i musisz najpierw albo zapukać, albo w jakiś inny sposób się skomunikować, że ci otworzono.

Tam były ogniska wieczorem. Myśmy już podczas wojny wiedzieli pojęcie Lagerfeuer, czyli obozowe ognisko. Ale to było inaczej i podczas wojny nie było za wiele czasu, a głównie z tego względu, że światła ognia nie wolno było pokazywać. A ogniska się odbywają wieczorem i dlatego tego nie było podczas wojny. Latarki, wszyściusieńko, miały tylko prostokąt na dwa centymetry i na pół centymetra, że można było tak troszkę oświecić. W samochodach lampy były zaklejone czarnym papierem i tylko taki mały prostokąt, żeby było wiadomo, że... A tutaj ognisko... Wszyscy moi wujkowie, którzy wtedy mieli po 17-18 lat... Jeszcze wojna nie wybuchła, myślę o przedwojennych czasach... I wtedy powstało



pojęcie zuchów. Zuch to był kandydat na harcerza. Mógł być jeszcze przedszkolakiem, to już do zuchów..., ale już w mundurkach. I ja się już przed wojną dostałem do zuchów i składałem przyrzeczenie jako zuch.

Później wybuchła wojna. Drużynowych, przybocznych i tych wszystkich innych, o ironio losu, pozaciągali do Wehrmachtu, tych wszystkich harcerzy. Ale jak przyszli w 1945 z frontu, oni znów zorganizowali bardzo szybcusiętko z tymi, którzy w więzieniach byli, też za harcerstwo siedzieli, w niemieckich, hitlerowskich, razem się znów trafili po pięciu latach, po sześciu, ci chłopcy i znów organizacja harcerstwa powstała w 1945 roku. Ja już byłem wtedy harcerzem, no bo już chodziłem do siódmej klasy szkoły podstawowej. Te sześć niemieckich się przestało liczyć. Tak bardzo organizacja harcerska pociągała ludzi. Ale ona była w jakiś sposób sanacyjna. O tym żeśmy się dowiedzieli w 1949 roku, kiedy powiedzieli, że nie wolno robić zebrań. Harcerstwo, ono się jakoś... Myśmy byli ZHP, Związek Harcerstwa Polskiego, a później jakoś inaczej się nazywało. Słowo „harcerstwo” było, ale już zupełnie inaczej rządzone. Religijne elementy z przyrzeczenia i prawa harcerskiego... „Harcerz służy Polsce Ludowej” albo „Polsce socjalistycznej”. O, w ten sposób. No i naturalnie ta organizacja padła, ale w większości w Polsce, w początkowej fazie, zbiórki trwały dalej. Pamiętam, chyba zawsze we wtorki mieliśmy zbiórki i tak żeśmy chodzili. Ja później poszedłem do tego SP, a Jurka Pietruczę, tak jak już mówiłem, za to zamknęli.

Szkoda, że dzisiaj nie potrafimy odrodzić pewnych organizacji, które były niesamowicie pożyteczne dla wychowania. Dzisiaj wcale takich organizacji nie ma, takiego życia prawie nie ma. Harcerstwo ze szkół... Ono tam istnieje w jakiś takich... ale już nie ma tego charakteru, tego znaczenia i tych aspektów wychowawczych, z miłością do ojczyzny, na czele z patriotyzmem. To wszystko umarło śmiercią naturalną. I idziemy dalej już nie tylko drogą czy ścieżką, tylko taką autostradą ku likwidacji patriotyzmu. Wchodzi pewien nowy internacjonalizm, którego mnie uczyli w komunistycznych szkołach, czy że mamy kochać tych, którzy są od Polski na Wschód, ale kuba była gdzieś daleko i też. Teraz Unia Europejska, nie wiem, może i świat kiedyś będzie taki, jak w hymnie zjednoczonej Europy jest: gdy wszyscy ludzie będą braćmi... Nie wiem, dlaczego Niemcy nie śpiewają tego hymnu, tylko grają [śmiech], chociaż są to słowa ich wielkiego wieszczka, tak by to należało określić.

**(G. K.): Na obozach Pan bywał też?**

(J. M.): Harcerskich? Naturalnie. Byłem w pobliżu, po wojnie bywałem. Były na Chadrze, pamiętam, to jest 8 km, ale to już było coś bardzo wielkiego, chociaż by się było 8 km od domu, ale to życie obozowe, obieranie ziemniaków, gotowanie, stanie przed namiotem na warcie... To były takie patriotyczne sprawy. I radosne, dla dzieci i młodzieży.

**(G. K.): Harcerstwo było jakoś przypisane szkole? Drużyna harcerska istniała przy szkole?**

(J. M.): Przeważnie nauczyciele byli... nie komendantami... drużynowy to był już...

**(G. K.): ... druhami...**

(J. M.): Nie pamiętam dokładnie. Wiem, że przyboczny to był drugi po tym „bogu” i taki powiedzmy komendant tego całego harcerstwa w Koszęcinie. Należało przed wojną

może dziewięćdziesiąt procent uczniów do harcerstwa. I po wojnie ten entuzjazm był taki sam, ale trwało to bardzo króciuteńko.

**(G. K.): A jeszcze wspominał Pan o innej organizacji, o charakterze religijnym, o Sodalicii Mariańskiej. Pan też należał? Bo w czasie wojny Pan był ministrantem, prawda? I kościelnym nawet.**

(J. M.): Naturalnie. Najpierw było Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży, KSM, przed wojną. Było tutaj w Koszęcinie też silne. A była Kongregacja Mariańska, zresztą pana kierunek studiów też na pewno zahaczał o te sprawy, na wykładach czy na ćwiczeniach. Powiedziałbym tak, jako pedagog, jako nauczyciel, że organizacja młodzieżowa miała wtedy rację bytu, jeśli rodzice ją akceptowali. To co było przy kościele, co było przez kościół organizowane, co miało w swoim statucie coś, co wskazywało na religijny charakter, to było powszechnie akceptowane. I tak samo Sodalicja Mariańska. Do Sodalicii Mariańskiej męskiej... Ona powstała dopiero w 1948 roku. W Koszęcinie był wtedy proboszczem późniejszy biskup gorzowski, dzisiejszy sługa boży, ksiądz biskup Wilhelm Pluta. U niego byłem przyjęty do Sodalicii Mariańskiej. Mam gdzieś takie zdjęcie, gdzie mamy wszyscy dyplomy, obrazy... Obrazek, taka rzeźba Matki Boskiej i na dole jest napisane, że Jan Myrcik został w dniu tym i tym przyjęty do Sodalicii Mariańskiej w Koszęcinie.

Później był ksiądz Reginek, to był jedyny ksiądz... Ja tych proboszczy... ze względu na to, że parę dekad żyję na tym świecie, zaczęła się dziewiąta, drugi rok tej dziewiątej... wszystkich przetrwałem. Ale ksiądz Reginek był jedynym, który grał na skrzypcach pięknie. I pamiętam te słowa: „Błękitne rozwińmy sztandary/ czas strząsnąć zwątpienia już pieśń/ niech w sercach zagorze znicz wiary/ i gromka niech ozwie się pieśń./ Spod znaku Maryi rycerski my huf/ błogosław nam, Boże, na bój...” I coś tam dalej było. Widzę go, myśmy siedzieli w tych ławach w naszym dużym kościele, a on brał te skrzypce z futerału i jeszcze tą szmatką przyłożył i grał to wszyściusięńko. Tak że to też były piękne czasy, które skończyły się w 1949 roku.

W tym samym mniej więcej czasie, Jurek i Łogiewa za harcerstwo poszli, a mój kuzyn, późniejszy ksiądz, nazywał się Henryk Irek, a zakonne imię, bo był salwatorianinem [salwatorianinem], Leszek, został w Chorzowie zaaresztowany i też siedział dwa lata, ale już za Sodalicję Mariańską. Tam ich siedziało chyba ośmiu chłopców i wszyscy zostali księżmi. Czyli było to takie przedszkole do kapłaństwa. Bardzo ciekawa sprawa. Ksiądz Brzoza... ja ich później też poznawałem... najpierw był w niższym seminarium w Oświęcimiu, a później wyświęcony był tutaj, gdzie jest sanktuarium św. Jadwigi Śląskiej w Trzebnicy.

**(G. K.): Tych ośmiu było z Koszęcina? Z Sodalicii?**

(J. M.): Nie, nie. Oni się wywodzili z Chorzowskiego.

**(G. K.): Czyli kuzyn nie mieszkał w Koszęcinie?**

(J. M.): Kuzyn mieszkał w Koszęcinie. On był piekarzem z zawodu. Ja o Irku, wujku, mówiłem, tym powstańcu. To był syn tego, 29 rocznik. On się uczył u Pająka tutaj. Nie wiem czy on nie był poznańskim uchodźcą, który tutaj przyszedł i się ożenił u Hyliszów. Naturalnie zmarł już dawno. Zaciągnął się do policji śląskiej. On się tam u niego... później piekarnię założył... u niego uczył, ale ponieważ chciał iść dalej, pojechał do Chorzowa, zrobił jakiś kurs księgowych, został księgowym, później jeszcze coś tam skończył. Raz przyjechał do

Koszęcina, po tym jak go z tego więzienia wypuścili, i mówi – *Janek, chciałzek z tobą pogodać. Ale to musimy iść.* I żeśmy gdzieś szli w jakiś taki cichy zakątek mówił mi – *Nie godoj tego żodnemu, ale jo ide za księdza.* Te słowa pamiętam. Zmarł już, jest kilka lat, chyba osiem lat, jak jest tutaj u nas pochowany. Współpracował przez wiele, wiele lat ze sługą bożym, Franciszkiem Blachnickim. O Azji itd.

**(G. K.): Ruch Światło-Życie.**

(J. M.): Ruch Światło-Życie, dokładnie. On był drugi po nim. Pracował sześć lat w rozgłośni polskiej watykańskiej, a później założył w Nieboczowych w Rybnickim Dom Chleba, który nosi obecnie jego imię.

To był mój prawdziwy kuzyn, bo czasem się mówi o szerszym pokrewieństwie, ale to był syn córki... tzn. jego mama i moja mama to były siostry.

Taki epizod, może nie jest związany z tym, ale ja wierze w pewne przeznaczenie. Trzy dni przed śmiercią... zawsze mu było szkoda telefonu, jak dzwonił, to krótko dzwonił... a wtedy rozmawiał ze mną może trzydzieści pięć minut, że przyjedzie do mnie z jego wszystkimi kazaniami wysyłanymi na kartkach, z jego katalogami... On był w Warszawie też wikarym przez dłuższy okres czasu, tam założył zespół śpiewaczy, który jeździł po całym świecie polonijnym. I on mówił – *Janek, tak czuję, że zbliża się taki czas... Ja przyjadę i ty mi pomożesz to wszystko opracować.* I na drugi dzień umarł. Taki los. I nie przywiózł tego.

**(7; 00:00)**

**(G. K.): Z tego co słyszę, w samej Sodalicii nie mógł Pan za długo działać bo ledwo powstała, to wzięli Pana do służby.**

(J. M.): Sodalicja miała tę przewagę nad harcerstwem, że tutaj państwo nie miało żadnej możliwości ingerencji i zbiórki były organizowane przez długie lata jeszcze. (– *Aniela, ty byłaś w Sodalicii, czy nie? – Nie moi bracia.*). Jej bracia byli, bo ona była za młoda. Brat jeden był nawet prezesem. Żeńska Sodalicja była... Męska to było wstydliwe trochę, bo to były takie, tak się uważało, stare ciotki. I to tak w większości było, że już miały trzydzieści, czterdzieści lat, za mąż nie wyszły i w tej kongregacji były. Ja w swoim muzeum mam piękny obraz z 1906 roku, po polsku pisany, od sąsiadki tutaj, on wisiał w takiej waškuchni. Bo tu ludzie mieli taka waškuchnia, czyli pralnia. To tam był taki koniec świata, można by powiedzieć. Jak pranie było w domu, zaparowane wszyćsiusienko, tam świny bili i tak dalej. I tam wisiał ten obrazek. Ja mówię temu (on już dawno zmarł) – *Antek, co ty tu masz za święty obrazek w tej waškuchni?* On był kulawy bo grał w piłkę podczas wojny i nogę złamał w kolanie i miał sztywną nogę już. To był dwudziesty siódmy rocznik chłopak i był chyba do 47 roku w niemieckich szpitalach. Ale tylko do domu chciał przyjechać, bo tam by go wyleczyli, ale on chciał tylko do dom. No i przyjechał. A wracając do tego obrazu, tak go biorę – dyplom Kongregacji Mariańskiej. I taka – ona się Mazur nie nazywała, tylko za męża wyszła – została w dniu 6 lipca 1906 roku przyjęta do Sodalicii Maryańskiej (tak się wtedy pisało). – *Jak chcesz to sobie to weź.* Ja tak wzięłem. W Woźnikach, to jest 20 kilometrów od Koszęcina, tam została przyjęta. Od Częstochowy mniej więcej 30 km. 1906 rok. Głęboko w pruskim państwie żeśmy tkwili. Oświata i wszyćsiusienko, a po polsku przyjmowali i dyplomy polskie otrzymywali za przyjęcie do Sodalicii Mariańskiej. Przypuszczam, że w częstochowskiej drukarni gdzieś to drukowali, albo Karol Miarka, albo ktoś tu na Śląsku, albo Niegolewski. Poznaniacy...

**(G. K.): Pan musiał być bardzo aktywnym młodzieńcem?**

(J. M.): Ja byłem bardzo zdyscyplinowany. I byłem nieśmiały, ale niesamowicie obowiązkowy. O, widzę, że żona już ma ten obraz. 1906 rok?

**(G. K.): Nie szósty tylko siódmy i nie lipca tylko października...**

(J. M.): Czyli Kibel. To było w Woźnikach.

**(G. K.): Zofia Sośnica.**

(J. M.): Znane nazwisko w tych stronach. I tutaj, jak się odwróci... Bo ja czasem takie rzeczy, które są cenne, oglądam z drugiej strony. Widzę, że jest to oprawione tak, jak to kiedyś oprawiano. On tam wisiał w tym, ale się ta wilgoć nigdzie nie przedostała. Myślę, że nie ma drugiego takiego obrazu, takiego dyplomu: Kongregacja Maryańska. I jeszcze jest akt poświęcenia się Najświętszej Marii Pannie: „Najświętsza Mario Panno, Matko Boża oto ja wybieram sobie Ciebie dzisiaj za moją panią obrończynię i orędowniczkę, i mocno postanawiam nigdy Cię nie opuszczać, ani nigdy nie powiedzieć, ani nie uczynić, ani nie dopuścić się Ciebie obrazić, cześć Twoją naruszyć...” To są takie sprawy, które można jeszcze dzisiaj. Te nasze są w gorszym stanie, ale były jeszcze piękniejsze. W 1906 roku taki dyplom dawać, to było wielkie wyróżnienie. Ja mam takie zdjęcia – one chodziły na biało ubrane od głowy do stóp. I to miały po 50, 60 lat.

**(G. K.): Pan był bardzo aktywnym człowiekiem. Zdyscyplinowanym i obowiązkowym. Widać, że chłonał Pan tę rzeczywistość, wszystko co się działo.**

(J. M.): Niewątpliwie, to jest w mojej biografii zapisane. I mimo tego, że nie znałem dobrze języka polskiego, pisałem już wiersze, jakieś inne utwory. I z Jurkiem Pietruchą, ja mu czytałem moje, a on mi swoje. Bo ten patriotyzm był tak mocny, że... Później żeśmy takie bardziej romantyczne wiersze. Kiedyś było takie moje spotkanie tutaj, takie moje wiersze liryczne czytane, które pisałem. Ta pani, która tu przed chwilą była... Pięćdziesiąt sześć lat temu, to jest długo. Pamiętam te wiersze do dzisiejszego dnia. Napisałem do niej może sześć, albo siedem... Były czytane w Polskim Radio w Katowicach. Był taki wiersz, chodziło o tę alejkę kasztanową, która dochodziła na cegielnię. Tam były brzozy i takie doły po cegielnianych... Tam były randki, tam śpiewały słowiki. Aaaa, „Słowiczy wieczór” się to nazywało: „Idziemy razem, ty i ja/ aleją ludzi zakochanych/ idziemy do cegielni bram/ gdzie czeka słowik rozśpiewany/ tylko cichutko droga stąpaj/ trzymaj się mocno mojej dłoni/ śpiących gałęzi nie potrącaj/ a nogą trawy nie śmieję skłonić/ bo w noc majową kiedy posłuchać chcesz niewinnych pieni/ jak makiem zasiał w takiej ciszy/ musimy dojść aż do strumieni/ Tam cichuteńko usiądziemy/ pod wierzbę wiecznie zapłakaną/ i głowy serca przytulimy/ aby nas słowik nie oglądał/ Ach jak tu miło i jak cicho, żaby przerwały świergot nocny/ ptaszętom innym się już śniło/ a słowik milczy wciąż żałośnie/ Nagle wiatr lekki wiosny kwiatem/ poruszył lasem zakochanym/ księżyc zza chmurnej wyszedł kraty/ a twarze nasze promieniały/ Tego już słowik nie wytrzymał/ za czuły był na zjawy takie/ i całą gamę tak zaśpiewał/ że sen przerwały chóry żabie/ Słucham słowiczej miłej pieśni/ ty również słuchasz moja miła/ serce mi mocniej bije w piersi/ a twoja głowa się skłoniła / i na ramieniu mym oparta/ z oczyma w górę wzniesionymi/ słuchasz jak bogów dusza martwa/ otumaniona

wśród zieleni / Lecz już się słowik uspokoił/ skończył swój koncert po cichutku/ i pewnie wszedł już w swój pokoik/ i z żoną śpi w słowiczym łóżku/ A my wciąż jeszcze przytuleni/ czekamy sam już nie wiem na co/ przecież już słowik nie zakwili/ a księżyc bardzo dobrze zna to/ Podnieś więc głowę i patrz w górę/ pierścieniem ramion otul szyję/ niech księżyc chowa się za chmury/ wtedy ja ciebie pocałuję/ Oczy zamknięte będziesz miała/ usta gorące i słodziutkie/ serca się biciem będziesz śmiała/ a w głowie myśli może krótkie/ Lecz starczy już słowiczych pieśni/ do domu pora wracać nam już/ serce zostanie dalej w piersi/ a w sercu wieczoru dzisiejszy cud... O, coś mniej więcej takiego. Pamiętam, to było wcześniej pisane, już dobrych sześćdziesiąt lat temu. Ja się sam dziwię, że to było w miarę poprawnie literacko w języku polskim napisane, no i takie, można powiedzieć, realistycznie przedstawione. A miało się wtedy 22 lata. Nie, może dwadzieścia. Jak po wojsku byłem miałem 23-24, a żona kończyła technikum, miała 20 lat, a jak miała dwadzieścia i pół to już była moją żoną.

**(G. K.): Czyli po Służbie Polsce próbowaliście w Koszęcinie coś rozkręcić, ale bezskutecznie. I co? I potem przyszło wezwanie do odbycia...**

(J. M.): Tak, później przyszło wezwanie do odbycia wojska. To też będzie ciekawa rzecz...

**(G. K.): Jak szybko po Służbie Polsce był Pan wezwany do wojska?**

(J. M.): Dwa i pół roku. Właściwie, po Służbie Polsce to już była taka pierwsza rejestracja wojskowa. Tak się to nazywało. Po badaniach zakwalifikowali do służby wojskowej i w 51 roku byłem po raz pierwszy, tak to można powiedzieć, zmobilizowany, ale nie dojechałem do jednostki, bo mnie zwolnili. Zawsze powoływali parę ludzi więcej. Ze względu na choroby albo na coś takiego. Miałem jechać do lotnictwa, na wschód, gdzie jest ta szkoła lotnicza, zapomniałem nazwy.

**(G. K.): W Dęblinie?**

(J. M.): Nie. Mój syn tam później służył w tym wojsku. I stamtąd przyjechałem z powrotem. I miałem rok spokój. Drugi raz powołanie do Tarnowskich Gór, bośmy należeli do tego wojskowego rejonu w Tarnowskich Górach. Powiat lubliniecki i tarnogórski. No i wtedy nas tam pozbierano, przyjechali tacy, rozjemcy oni się nazywali, czyli oficerowie i podoficerowie. Do wagonów nas załadowali i jeszcze nikt nam nie zdradził, gdzie jedziemy do tego wojska, przez Częstochowę, Kielce... wysiadać! Była noc. Wyjechaliśmy z tych Tarnowskich Gór może o godz. 20-tej w listopadzie, czy w październiku. Do Kielc. Od Bytomia, Katowic, aż tutaj na Lublińcu skończywszy. Z całego Śląska chłopcy. Cały pociąg jechał, może z tysiąc ludzi, może siedemset. Nie wiem dokładnie. W Kielcach na dworcu: wysiadać, brać swoje rzeczy! Mieli tam różnie, paczuski przeważnie albo jakieś walizki. To było kilka lat po wojnie, więc o plecaku, albo o czymś... Zresztą plecak na Śląsku jest wstydliwą rzeczą. Harcerstwo to potem odbudowało, ale tak, to się kojarzyło z taką zaborczą Polską. Można powiedzieć, że na plecach, na drażgu, czy na jakiejś tyczce nosił te swoje... U nas były kofry, walizki. Nie pamiętam dokładnie. Miałem chyba kartonik zapakowany. Pieszko, na Bukówkę. Siedem kilometrów. Przyszliśmy, to była może piąta, czy czwarta w nocy. Do takiej dużej sali gimnastycznej, całej wyściełanej słomą. W takich dużych kublach dymiło się. Była tam herbata, taka czarna, albo kawa czarna. Dostał się każdy napić, ale już byliśmy gonieni, jak to się w wojsku mówi. Już nas inaczej traktowano. Położyć się spać

trochę. Spanie w ubraniach trwało może dwie godziny. Już wojsko, które tam służyło miało pobudkę. Myśmy słyszeli, jak tam na tej trąbce grał tę pobudkę. Na drugi dzień się zaczęło. Do łaźni, sanitariusze przebadali każdego, to znaczy przebadali czy tam nie ma wszy albo czego. Tak to wyglądało jak w takim frontowym wojsku. Mundury – tylko rzucili spodnie, kalesony, koszule, czasem bez rękawa, czasem pół. Buty do takiego worka się wzięło i do takiego samego worka się dawało. A później między sobą chłopcy, jak się już wykapali (były prysznice, chyba stu naraz się kąpało, pod jednym takim natryskiem sześciu albo siedmiu, zimna prawie woda, no, ale musieli czystych ludzi przyjąć) zaczęło się bawienie w wojsko. Już na drugi dzień dryl, oficerowie wszyscy frontowi, mówiący głębokim akcentem wschodnim, takim nie lwowskim, ruskim przepłatanym. Dowiedzieliśmy się co to wojsko jest w pierwszych dniach. Może za tydzień takiej poniewierki poczęto formować takie kompanie. Ja się dostałem do szkoły podoficerskiej. Piękny taki budynek, to były kiedyś ruskie koszary, bo Rosjanie to budowali, nie było mniejszej sali jak na trzydzieści ludzi. Był pluton i spało tam w tym trzech kaprali, był dowódca plutonu, zastępca, dowódca drużyny. Tak na tej szkole to wyglądało. Na długim korytarzu mieściła się cała szkoła. Na tej szkole podoficerskiej było nas może 150 ludzi. Pamiętam, że byłem w drugim plutonie, numeru jednostki w tej chwili dokładnie nie pamiętam. No i zaczęło się. Kaprale spisali wszyścusięńko, krewnych za granicą – powiedziałem, że nie mam. Tak może zapomniałem o tym wujku, bo on jeszcze nie dał znaku życia o sobie. Myśmy drogą przemytu wiedzieli tylko, że ten wujek jest we Francji. Ale oni nie dawali znać do sześćdziesiątego roku, no, pięćdziesiątego szóstego powiedzmy, do tej gomułkowskiej odwilży. Wtedy się wujek pierwszy raz z tej Francji odezwał.

Na tej szkole pamiętam Boże Narodzenie, pierwsze moje Boże Narodzenie w wojsku. Wigilia, normalny dzień, kielbasa na stołówce i jeszcze dodatkowo na obiad mięso, na wieczór kolacja. Celowo! Była świetlica. Służył ze mną zdolny taki gimnastyk, trzecią klasę gimnastyczną wtedy miał. Bryguła się nazywał, był z Piekar. Nauczyciel, co się wtedy prawie nie zdarzało. Po trzech latach został nauczycielem, jakimś takim bez matury jeszcze. I grał na skrzypcach. Była możliwość, kto umiał grać mógł skrzypce wypożyczyć albo inny instrument. On wypożyczył te skrzypce. Kadra oficerska się straciła. Nie było nikogo prawie... On poszedł te skrzypce wypożyczyć, tak zapamiętałem, w celu uczenia się z kolegami patriotycznych pieśni wojskowych. Kolędy zaczął grać, zrobił się straszny szum. Obok szkoły stał jeszcze jeden budynek i stał sztab jednostki. Oficer dyżurny dostał meldunek, że tam śpiewają kolędy. I przyszli i tego wieczoru byliśmy gonieni do rana za to. I pamiętam żeśmy musieli te skrzypce, które były przyczyną tego zła, w dwudziestu czterech przenieść przez drzwi na kocu i każdy musiał koc trzymać. Na kocu były wyniesione aż tam, do tej głównej świetlicy. To było blisko kasyna oficerskiego, tam to trzeba było zanieść, później byliśmy gonieni, a Bryguła przez całą szkołę miał wielki minus za to.

Mnie na tej szkole szkło dobrze. Wiedzieli, że w Służbie Polsce pracowałem w świetlicy. Było takie hasło, że miał generał Strażewski przyjechać (to był dowódca Śląskiego Okręgu Wojskowego, ruski) i trzeba było przed stołówką namalować elementy toru pocisku. Był Tadek Kulpa z Krakowa, wykształcony już chłopak, po technikum, był specjalistą od projektowania płyt czy coś takiego. Był świętej pamięci kolega z Koszęcina, Stasiek Pluta po technikum papierniczym, byłem ja i jeszcze jeden. Czwórka została ze szkoły wytypowana, że my będziemy to malować. To było osiem metrów na trzy. Ogromna tablica. W tej dużej sali żeśmy to miesiąc robili. Tak nam zazdrościli. Zimno tam było, to prawda. I malowaliśmy te literki i te rysunki. Oni to umieli i ja też miałem talent. Myśmy tę tablicę uroczyście postawili, przyjechał ten Strażewski. Dowódcą jednostki był wówczas major, potem podpułkownik, Furgala, też ruski.

Dostaliśmy przepustkę pierwszą. Przepustkę dostaliśmy na jeden dzień. Istniało pojęcie przepustki, której nikt prawie nie dostawał, bo tam nie było co robić. Tam były takie miejscowości – Złociejów i in., a do Kielc transport był jedynie pieszy. Autobusów jeszcze nie było, kobiety bańki mleka o godzinie trzeciej niosły do Kielc, do miasta. Jak się warte miało tośmy wiedzieli, że już jest godzina trzecia. W trakcie szkoły otrzymałem starszego strzelca, byłem zdolnym żołnierzem, czy elewem bo tam się mówiło elew). Myśmy się nie meldowali szeregowy tylko: „elew Mircik Jan”. Jak Strażewski przyjechał, to przyszedł na szkołę z wizytą. Ja miałem składać meldunek. Pamiętam, że się tam pomieszałem. Ćwiczyłem, dali mi czas może dwa dni, żebym się nauczył tego meldunku: „obywatelu generale, elew Mircik Jan melduje szkołę taka i taką, stan taki a taki, obecnych tyle i tyle”. On mówi: „dajcie spokój, dobrze, dobrze”. I tak szkoła wypadła dość dobrze. Później, w październiku, kończyła się szkoła.

Ja zostałem przydzielony do jednostki skadrowanej. Polegało to na tym, że jeden batalion to było wojsko, a dwa bataliony to była tylko kadra oficerska i podoficerska. Był to czas kiedy groziła... Myśmy zawsze byli przygotowani do wojny: „ręce precz od Korei” itp. Zajęcia polityczne odbywały się każdego dnia, wszędzie byłem, mogę się przyznać, bardzo dobry. Strzelanie raz zawałem, ale później drugi raz to poprawiłem. I taki wzorowy żołnierz do tego skadrowanego batalionu... Dostało się nas tam może dwudziestu kaprali. Może dwudziestu pięciu. Dowódca nazywał się Wrzask. Był w randze kapitana, później majora. Uprzedzali nas już wcześniej, że wszędzie się dostać, do każdego pododdziału, byle nie do Wrzaska.

W wojsku nauczyłem się wojskowego języka. Czyli wulgaryzmów. Najpierw to nie mogłem zrozumieć, że można takie świńskie wyrazy, że one mogą być używane. A tam od oficerów żeśmy to słyszeli. Oni byli tymi frontowcami. Od podoficerów nie było innych wyrazów tylko te świńskie. Ja mówię: „Boże święty. Ani do spowiedzi, ani do kościoła. Jak ten świat wygląda?”. Ale po pewnym czasie doszedłem do wniosku, że jeśli nie będę używał tych słów to będę, po dzisiejszemu mówiąc, żołnierzem wyklętym. Po prostu trzeba było: „Jak przyjdiesz między wrony...” To przysłowie tam się sprawdzało w stu procentach. Każdy dostał karteczkę i ołówek, jak żeśmy zaszli do tego budynku. Trzeba było pisać co chcesz. Nie pamiętam co napisałem, pięknym, blokowym pismem. Nie wiem czy adres, czy życiorys. Jakaś strofę hymnu napisałem czy coś takiego. Podoficer pozbierał, wręczył dowódcy batalionu. – *Kapral Myrcik, który to jest?* Wystąpiłem. – *Ty jesteś pisarzem!* Mały pokoik i trochę większy on miał. – *Tutaj jest twoje miejsce pracy.* Tu stała jedna metalowa skrzynia spełniająca rolę szafy. W wojsku było w ten sposób, dzisiaj jest chyba inaczej, że wszystko było spakowane do ewakuacji w każdej chwili. W nocy były alarmy bojowe, to nas przygotowywali, mieliśmy kilka pojazdów na gąsienicach, tzw suki, a tak wszystko konie jeszcze były. Mój dowódca miał taką klacz, „Łagodna” się nazywała. Ale był specjalny żołnierz, który się tym koniem zajmował.

Jeden epizod jeszcze chcę opowiedzieć. Powiedział mi dowódca – *Myrcik, przygotuj się na jutro, bo przyjmujemy Krzyżaków.* Myślę sobie, Krzyżacy? Kto to jest? Ja się uczyłem w niemieckiej szkole o Krojcwitach. Pamiętam taki niemiecki wiersz. Był o krzyżaku, że wyszedł z zamku ojcowskiego i przygotowywał się do wojny. Krzyżacy... A tu była najbardziej zimna wojna z Niemcami. Jacy Krzyżacy przyjadą? Myślałem, że może jakieś wojsko. Przyszli tak jak my! Chłopcy mówiący takim dialektem śląsko-niemieckim, którego ja nawet nie rozumiałem. Ja ich musiałem wszystkich spisywać. Mieliśmy obowiązek wrócić pięć razy albo dziesięć razy, jeśli źle przeszedł albo stanął za blisko. Trzeba było stanąć trzy metry od tego przełożonego. I każdy mówi nazwisko i imię. „Jo się nazywom” itd. Pospisywałem wszystkich, może było ich koło trzystu, trzeba było zakwaterować ich. Trzy

miesiące byli, karabinu nie widzieli. Przysięgi nie składali. Po dwóch i pół miesiącach – do kopalń i do Nowej Huty. Bataliony robocze. To była ta skadowana jednostka.

Ja już byłem takim zaufanym człowiekiem rodziny dowódcy. Miałem pozycję taką, jak przed wojną zaufany ordynans, choć w ludowym wojsku to było nie do pomyślenia. Miał taką Jolę, córeczkę, może pięć lat miała i jak chcieli jechać ja zostawałem. Jego naturalnie bryczka zawoziła, albo wojskowy wóz do teatru, żona była nauczycielką. Wtedy miałem kontakt z radiem. Mówił – *Tu masz klucze, siedź cicho, baw dziecko, my za trzy, albo za cztery godziny przyjedziemy*. To parę razy tak było, ta żona bardzo mnie polubiła, kilka razy tam byłem i „taki dobry chłopak”. No i drugi raz nowe wojsko przyszło i dowódca mówi – *Myrcik, znów przyjmujemy Krzyżaków, przygotuj się*. Tam się mówiło tylko „obywatelu”, ale ja do niego mówiłem „panie”. Mówię – *Panie majorze, ja też jestem takim Krzyżakiem – myśląc – Ślązakiem*. Oni byli zawsze na lekkim cyku. Jeśli nie wszyscy, to prawie wszyscy codziennie byli po drinku. To byli frontowi ludzie i ja wiem od frontowców, że dostawali codziennie, jak szli naprzód, setę. I oficerowie wszyscy popijali. I on się tak złapał za pistolet i mówi – *Jak cię rąbnę w ten głupi łeb to ci dam Krzyżaków zaraz*. Ja mówię – *Ja jestem też Ślązakiem*. A kto to jest Ślązak? To są Germany! Więc oni byli pewni, że Niemców otrzymują do polskiego wojska. I tam dopiero, to się chyba innemu żołnierzowi nie zdarzyło, przyszedł pewnego wieczoru i poprosił – *Powiedz mi coś po śląsku*. I on mi się przyznał, że ma cztery klasy skończonej ruskiej szkoły. Później wybuchła wojna, był widocznie zdolnym człowiekiem i w trakcie tego marszu na Berlin skończył szkołę oficerską, dostał chorążego, później podporucznika i później, zanim ja przyszedłem do wojska, to on był kilka razy na tzw. KDO (Kursy Doskonalenia Oficerów). I w ten sposób dowiedziałem się, jakich ja mam przełożonych. Ja z polskiego, z polskiej gramatyki, z polskiej historii też nie miałem jakichś horyzontów, ale... Politrucy byli wyszkoleni pod względem politycznym; jechał na trzy albo cztery miesiące na ten kurs... Jednego takiego politycznego miałem, dwa zdania o nim potem powiem.

Tak że major Wrzask był dla mnie potem największym przyjacielem w wojsku. I dlatego, że byłem takim dobrym żołnierzem, idąc do cywila, tylko żołnierzy awansowali do stopnia oficerskiego podchorążego rezerwy. Ale miałem jeszcze jednego oficera takiego, nie pamiętam już dzisiaj jego nazwiska. Był to, tak zwany, dochodzeniowy. To już nie jest dzisiaj tajemnica wojskowa i mogę mówić. Ten oficer był takim prokuratorem dla oficerów. I kilka razy przychodził do mnie robiąc wywiady odnośnie mojego dowódcy. Chciał się dowiedzieć, bo oni na cyku chodzili, jak mówiłem. I ja mu pisałem te protokoły dochodzeniowe. To znaczy, pomagałem. Bo on był też naprany codziennie.

I raz mi się trafił z kolegą wyjazd służbowy do Wrocławia po materiały świetlicowe dla kasyna oficerskiego. To był kolega też z Koszęcina. Myśmy sobie obrali taką trasę, żeby jechać przez Koszęcin. Odpust był w kościele Świętej Trójcy, pamiętam, myśmy wysiedli, mieliśmy taki pociąg, który nas miał do Kielc zawieźć, z Częstochowy miało być połączenie. To połączenie jakoś wypadło i myśmy się spóźnili jeden dzień do jednostki. Obaj. I ten Stasiek... On dostał potem tego chorążego, ja go nie dostałem, powiem zaraz dlaczego. Zajechaliśmy do tej jednostki... Ja czasem żonie mówię, że nie potrafię firan zawiesić, ale w sztabie wszystkie firany przycinałem, zawieszałem, wszystkie te rzeczy artystyczne robiłem, mam taki dyplom za wielkie osiągnięcia kulturalne dla jednostki wojskowej takiej i takiej. Jedna to była moja jednostka, a druga – sztabu dywizji. Bo myśmy tam przedstawienia grali, wiersze recytowali. Przyjechaliśmy spóźnieni, a ten oficer polityczny za to spóźnienie postawił nas na baczność i niesamowicie dostaliśmy tam reprimendę. I mówił – *Mieliście być awansowani do I stopnia oficerskiego, za dwa miesiące idziecie do cywila. I co teraz z wami zrobić...* I ja się poskarżyłem temu oficerowi dochodzeniowemu, a on mówi – *Bardzo dobrze,*



*broń się jak możesz przed tym stopniem, bo będziesz dwa razy w roku powoływany na zajęcia po trzy miesiące.* Ja się pytam, co mam robić, a on się pyta, czy mam kogoś za granicą. Ja mówię, że jest taki wujek we Francji. – *A co on robi?* – *Jest księdzem!* – *No to ty to powiedz!* I już byłem skreślony. A ten kolega rzeczywiście przez osiem czy dziewięć lat każdego roku był na trzy miesiące brany. On tam później w stopniu kapitana rezerwy umarł, ale to już jest inna sprawa.

Będąc równe dwa lata w wojsku, co do dnia, poznałem inny świat. Zresztą, w mojej młodości się mówiło, że chłopak bez wojska to nie jest człowiek dojrzały. Kobieta, jak nie był po wojsku, to nie chciała go za męża. Ja mogę powiedzieć, że wojsko to był dla mnie totalnie stracony czas. Pierwszy rok byłem goniony jak przysłowiowy pies. Telegraf, tam jest takie wzgórze za Bukówką i to okopywanie się, te przekleństwa, ta harówka, te rozbieranie się w nocy. Jak żołnierzowi karabin wyleciał, jak było 23 albo 27 stopni mrozu, to „rękawiczki zdjąć, do połowy się rozebrać”... Nam mówili, że pruska dyscyplina to jest... Ale gorszego traktowania człowieka niż tam, to chyba nigdzie nie było. To był pierwszy rok. A drugi rok, (dlatego że byłem w tej kadrze i tym pisarzem) straciłem na nudach. Nic nie robiąc tylko jedząc. Rano strojówki, napisałem zaprowiantowanie wojska, wydelegowałem na warty. To miał wszystko ten dowódca robić, a on nie robił. Kazał się podpisywać za siebie, jak np. przyjdzie ze sztabu jakiś goniec i będzie chciał podpisu dowódcy. Ja się podpisywałem i mógłbym za to pójść siedzieć do karnej kompanii. Raz był nocny apel, takie przygotowanie i ja napisałem że tyle i tyle oficerów, a jak przyszło co do czego, to mojego dowódcy jeszcze nie było. Zanim przyszedł, już podpisany był. Myślę, że dwa lata wojska, pół roku SP podarowałem Ojczyźnie. Najpiękniejsze lata mojej wczesnej młodości... Inni chłopcy, którzy się wymigali z wojska w jakiś sposób dzięki aktywności rodziców, byli już na studiach wtedy, a mnie ukradziono tyle czasu. I dlatego, gdziekolwiek mam możliwość mówić, albo pisać o wojsku i wojnie to uważam, zwłaszcza wojnę, za największe draństwo jakie ludzkość wymyśliła. Teraz jest szczęściem dla tych młodych pokoleń, że nie muszą iść do wojska. Jakoś do mojej świadomości jeszcze to nie dochodzi, bo moje dzieci też służyły w wojsku. Mam dwóch chłopców, najstarszy jest majorem rezerwy, ten który studiował w tym czasie. Nosił lampasy i był brany, i mówił mi teraz – *Tato, ja jestem w wojskach raketowych, ja jeszcze nie widziałem rakiety, chociaż byłem tyle razy na ćwiczeniach.* On brodę nosił, to mu ją kazali zgolić. Jeden się podczas tych ćwiczeń nie podporządkował. Mój syn najmłodszy służył w jednostce w Zamościu. Tam była szkoła oficerska lotnictwa i on tam służył w obsłudze lotnictwa. Ale to tak, na marginesie.

W tym moim życiu pamiętam żołnierzy nazywanych później wrześnieowcami, czyli polskich żołnierzy, moich wujków, moich krewnych. Pamiętam wszystkich chłopców, wszystkich mężczyzn, kilkuset z Koszęcina, którzy służyli w różnych formacjach Wehrmachtu, pamiętam to powojenne wojsko i moje doświadczenia wojskowe dla Polski Ludowej, budującej socjalizm. I dlatego chciałbym, choć ja tego nie dożyję, aby na świecie zapanował pokój. Teraz chłopcy mają wielkie szczęście, że nie marnują czasu na te dwa lata wojska, które były bardzo głupie. Nad wojskiem zrobiłbym kropkę.

(8: 00:00)

**(G. K.): Wróciłbym jeszcze do czasów tuż powojennych. W latach 1946-46 ukończył Pan dwie klasy szkoły podstawowej...**

(J. M.): ...polskiej.

**(G. K.): I został Pan przyjęty do szkoły zawodowej?**

(J. M.): Tak, zostałem przyjęty do szkoły zawodowej. Ja miałem nawet swój epizod, że kiedy ojciec był chory, zastępowałem go w zakładzie szewskim. A każdy młody człowiek był zobowiązany chodzić do szkoły. Bo to była powojenna zdobycz socjalistycznej Polski. Oświata, kultura, dostęp do nich itd. Ja się dostałem wtedy do szkoły zawodowej, nazywała się Publiczna Średnia Szkoła Zawodowa w Lublińcu. Był dział ogólny i były specjalizacje: ślusarstwo, naprawa pojazdów... Ja chodziłem do tzw. oddziału A – ogólnokształcącego gdzie chodzili kandydaci na urzędników do starostwa itd. Pamiętam z tego oddziału późniejszych lekarzy. Z tym, że było bardzo wielu ludzi, którzy przyszli już z wojska. Byłem najmłodszym uczniem tej szkoły, jeszcze z Lublińca był późniejszy burmistrz, Wypych, pracował później w starostwie. Jak ukończyłem pierwszą klasę, to mnie zaraz awansowano do trzeciej. Skoczyłem do ostatniej klasy, bo ci ludzie, którzy ze mną chodzili nie mieli zielonego pojęcia o szkole. W ogóle o oświacie, o uczeniu się, bo to byli chłopcy, którzy już mieli ten epizod hitlerowskiej edukacji, która polegała na tym, o czym już mówiliśmy: że jak skończył szkołę podstawową to był już tylko podporządkowany dyscyplinie.

Jak skończyłem tę zawodową szkołę, później pracowałem w spółdzielczości pracy. W Lublińcu powstała Powiatowa Wielobranżowa Spółdzielnia Pracy Usług Rzemieślniczych. Ta spółdzielnia miała też pod opieką klub, a potem Dom Kultury „Halka” w Lublińcu. To był Dom Spółdzielczy i Zespół Pieśni i Tańca „Halka”. Ja tam zostałem później instruktorem i chodziłem jednocześnie do Techniku Ekonomicznego w Katowicach, już zaocznie, które skończyłem po trzech latach, uzyskując tytuł technika ekonomisty. Jak później miałem jakieś styczności z księgowymi, czy z księgowością, to byli dosyć zdumieni, że ja się na tych sprawach tak dosyć znam.

Pracując już w „Halce” lublinieckiej dostałem się do tzw. Studium Kultury i Oświaty, które miało swoją siedzibę w Warszawie. Natomiast takie wydziały zaoczne istniały chyba w Krakowie i Katowicach. W Katowicach był wówczas docent Antoni Gładysz, późniejszy profesor i twórca Wydziału Pedagogiki Kultury Na Uniwersytecie Śląskim. Te wydziały powstawały także gdzie indziej. Ja muszę o mojej edukacji powiedzieć w ten sposób... Jeśli można o zazdrości mówić, to byłem troszkę zazdrosny w stosunku do tych ludzi, wydawało mi się, że jest to niesprawiedliwie, że ludzie których znałem, którzy nie byli Ślązakami, kończyli wcześniej ode mnie średnie szkoły, kończyli studia i byli kimś, a ja byłem w tym środkowym przedziale. Moim mocnym postanowieniem było wyrwać się z tego zaczarowanego kręgu i pokazać, że Ślązak... Myślałem przede wszystkim o moim statusie społecznym. Także o zdobywaniu wiedzy, ale... Ja widzę na moim przykładzie, że wiedzę można bez nauczycieli zdobyć. Niejednokrotnie się zastanawiam, że ci wielcy Polacy, czy wielcy inni ludzie różnych krajów, którzy są zapisani złotymi zgłoskami, niejednokrotnie nie kończyli studiów, ani średnich szkół. I nobliści. Mamy chociażby Reymonta, który robił w jednym zdaniu sześć błędów, a jednak pisał takie noblowskie dzieła. Powiedziałem sobie, że muszę, niejako na złość tym ludziom, pokazać, że ja też mogę. Dotychczas, do średniej szkoły miałem wszystkie świadectwa ukończone z wynikiem końcowym bardzo dobrym. Lepiej nie szło. W studium napisałem taką pracę dyplomową o ruchu spółdzielczym. To było trzyletnie studium, które dawało tzw. wykształcenie wyższe niepełne zawodowe. Miała to być droga do ukończenia studiów, które miały trwać, tak jak po dzisiejszym licencjacie, tylko dwa lata, ale się nie udało tego otworzyć. W Łodzi miał powstać taki wydział i miałem go kończyć. Ja już byłem wtedy po trzydziestce. Ale to jest takie szczęście. (Ja już chyba trzy razy o tym powiedziałem)... Idę przez rynek w Katowicach. Obok teatru skręcam na ulicę Warszawską, tam było Towarzystwo Wiedzy Powszechnej na drugim piętrze. Trochę dalej była

Kryształowa. I dalej jeszcze był z mojego technikum nauczyciel Bogacki, rusycysta, który mnie uczył rosyjskiego. I słyszę tuż przy teatrze – *Jasiu, Jasiu!* To była sekretarka z tego studium. Pani doktor, nie pamiętam już dzisiaj dokładnie nazwiska, i mówi tak – *Jak jesteś na Warszawskiej (wzięła mnie pod pachę), to idziemy, bo już mamy blisko Uniwersytet. Weźmiesz takie deklaracje i bez egzaminu jesteś przyjęty na Wydział Animacji Kultury, kierunku pedagogiczno-artystyczny, czy jakoś tak.* Wprowadziła mnie tam do środka, wzięła odpowiednie deklaracje, tam na miejscu musiałem to wypisać. To był koniec czerwca, a 1 lipca miałem jechać na pierwszą sesję do Cieszyna. W Cieszynie powstał ten wydział.

**(G. K.): A to się nie nazywało „pedagogika pracy”?**

(J. M.): Tak, pedagogika pracy kulturalno-oświatowej, później Wydział Animacji Kultury, a teraz Wydział Pedagogiczno-Artystyczny. Tak się ta szkoła nazywa. Mój syn też to kończył później i synowa też to kończyła. Ale poszli później w zupełnie innym kierunku: uczenia, czy kierowania placówkami dla ludzi niepełnosprawnych.

Przyjechałem pierwszy raz do Cieszyna i słyszę: „pan taki a taki, pan pracuje jako wojewódzki inspektor oświaty w Katowicach, pan taki i taki pracuje jako dyrektor więziennictwa, major taki i taki, pracuje tam i tam. Itd. Ja jedyny byłem z takich nizin społecznych, który pracował w spółdzielni. Dużo było po tzw. WSP. Czyli Wyższa Szkoła Pedagogiczna, która nie dawała tytułu magistra. Był taki czas, że ten magister już był wymagany... Myślę sobie „Boże Świąty, tu nie masz co szukać! Bo zjedzą cię te hieny tutaj.” To wszystko tak przygotowane. To trwało jeden semestr. Ja mogę tak powiedzieć, jak powiedziałem o kościele, że z własnej woli nie opuściłem mszy świętej, tak w swoim życiu, w swojej edukacji, która trwała – technikum 3 lata, studium 3,5 roku i cztery lata studia magisterskie – prawie 11 lat, nie opuściłem zajęć. Tyle nie było mnie w domu. Ani jednej soboty, ani jednej niedzieli... Ludzie to nawet myśleli, że Myrcik jest partyjnym człowiekiem, bo nie chodzi do kościoła. Ale ja szedłem w Cieszynie. Musiałem iść bardzo delikatnie, żeby się ci inni nie dowiedzieli, bo bym mógł frunąć ze szkoły. Tak to wyglądało. Pod koniec I roku należałem już do trójki najlepszych studentów (mogę o tym mówić, bo już jestem w tym wieku, że jakieś chwalenie się, czy dodawanie sobie znaczenia nie ma już znaczenia). Dostałem też pierwszy raz zaświadczenie celem przedstawienia pracodawcy, że należy mi się nagroda wysokości miesięcznej pensji. Drugi rok, trzeci, czwarty mógłbym powiedzieć: „z paskiem”. Z wyróżnieniem napisałem pracę magisterską. I mówię wszystkim, którzy do mnie chodzą, Ślązakom i nie tylko Ślązakom, ludziom, którzy kończą średnie szkoły... Każdy kto do mnie przychodzi wychodzi stąd namaszczoney, że musi kończyć w Polsce to, co jest możliwe do skończenia. Czyli myślę o studiach. Szczególnie Ślązacy. Ja to mam taki termin: „głowa do góry”. Bo Ślązacy, czy dosłownie, czy w przenośni, czy w niemiecko-pruskich, czy w polskich czasach zawsze mieli głowę spuszczoną. Bo zawsze mieli mądrzejszych od siebie, chociażby oni nie byli mądrzejsi. To się tak tylko wydawało. Ja nazwisk nie muszę mówić, ale ja tych wszystkich znam, którzy się dziwili, że Myrcik skończył studia. Bo takich ludzi prawie nie było. Bo to szło swoimi torami. Jak ktoś był kolejarzem to wszystkie dzieci na kolei, jak ktoś był na grubie, to szli na kopalnię itd. Wszyscy byli zaszufładowani. A od rządu byli inni. Były takie kawały. Na Śląsku Górnym, jak mu się syn urodził to go wziął na rękę i pokazywał mu szyb – *Patrz Francik, tam będziesz kiedyś fedrował.* A z Sosnowca, jak mu się syn urodził, też pokazywał na ten wyciąg i mówi – *Patrz na tę kopalnię, bo tam będziesz kiedyś dyrektorem.* Więc ja miałem i mam tę satysfakcję, że dogoniłem, a może niejednokrotnie przegoniłem w zdobywaniu wiedzy tych, którzy, wydawało mi się, że są na samej szpicy. Ja mógłbym powiedzieć, to jest może herezja, że mnie nauczyciele nie byli

potrzebni, bo ja tę wiedzę zdobywałem sam. Tak jak nie opuściłem mszy, tak ani jednej lektury (pod słowem honoru). Należę do wąskiego chyba grona uczniów, którzy przeczytali wszystkie lektury od szkoły średniej do studiów włącznie. Nie przeczytałem „Kapitału” Marksa do końca. To był jeden grzech. Ale powiedział mi pewien pan, który uczył filozofii marksistowskiej i miał wykłady, a ja go miałem za wielkiego marksistę na uczelni (składałem u niego egzamin, oczywiście na piątkę)... Jechałem kiedyś autobusem, bo on w Katowicach i w Cieszynie wykładał. Siedzę przy nim stremowany, bo on pewnie wielki partyjny człowiek, a on mi mówi – *Jadę do Katowic, panu to mogę powiedzieć, bo w seminarium wykładam. Bo to, czego muszę tutaj uczyć, robię tylko dla pieniędzy. A skoro sam mi się pan przyznał, że „Kapitału Marksa” pan nie przeczytał, to bardzo dobrze, że pan nie przeczytał.*

Czyli, mógłbym powiedzieć, że spełniło się moje życie. Bo te wszystkie cechy za które chwalą Ślązaków, myślę o pracowitości, religijności, myślę o porządku, o szacunku do ludzi, o gotowości do pomocy i tych wszystkich sprawach... Mnie brakowało tego, że nie miałem tych ukochanych studiów skończonych. W tym kierunku to było prawie niemożliwe. Tu było pewne małe kłamstewko, że pracowałem w kulturze, chociaż, nie pracowałem jeszcze wtedy zawodowo w kulturze. Bo na studium nie dostał się ktoś, kto nie pracował w kulturze. Ten, który miał rozmowy kwalifikacyjne ze mną, to mi powiedział – *Zna pan Kościelnego?* Kościelny to było nazwisko, a on był kierownikiem tej „Halki” lublinieckiej. – *Pan, pan mnie zna, przynieś mi pan zaświadczenie, że ja pracuję.* I on mnie zatrudnił. Ja miałem już wtedy trzecią kategorię instruktora teatralnego, bo to były takie, ja nie wiem, czy to jeszcze jest, na esce się kończyło. I w zależności od tego otrzymywało się pensję. Była pierwsza kategoria, druga kategoria, trzecia i kategoria „S”. „S” to byli wybitni specjaliści w danych dziedzinach. Ja dostałem dodatkową pracę w Radzie Narodowej, gdzie byłem inspektorem powiatowym ds. kultury. Kluby i świetlice wiejskie, to mi wszystko w jakiś sposób podlegało. Już moje wykształcenie nie pasowało do tego stanowiska, bo byłem kierownikiem produkcji i usług w tej spółdzielni wielobranżowej i jeszcze kierownikiem nauki zawodu. Czyli tych wszystkich, którzy uczyli się zawodu (tam było ponad 300 zakładów usługowych)... Ja nimi kierowałem. I była taka sprawa, że w Koszęcinie od mojego domu oddalony o sto metrów stał Dom Kultury, którego kierowniczką była żona miejscowego, niesamowicie zasłużonego, dr. Zygmunta Izdebskiego (w mojej publikacji on się znajduje). Mnie ówczesny wójt, już świętej pamięci, Edward Kalamala, wystąpił z wnioskiem o służbowe przeniesienie do kultury. Bo miałem dyplom, byłem magistrem, pedagogiem kultury, a Izdebska miała odejść. I tak się tu dostałem w 1974 roku na dyrektora tego Domu Kultury. Ja go przekształciłem w tzw. Gminny Ośrodek Kultury, jeden z pierwszych w Polsce. Co się odbiło echem mocnym w Warszawie w ministerstwie i w Centralnym Ośrodku Metodyki Upowszechniania Kultury. Także w ówczesnym województwie częstochowskim, które w tym czasie powstało. No i wyrosłem na takiego eksperta, zostałem powołany przez ministra do Rady Kultury przy Ministrze Kultury i Sztuki i w Centralnym Ośrodku Metodyki i Upowszechniania Kultury zostałem także współredaktorem miesięcznika „Kultura na wsi”. Byłem jedynym poniżej województwa członkiem tej Rady. Profesor Mleczek był przewodniczącym, profesor Głęb (czy jakoś inaczej; w Sejmie teraz pracuje) był. Pomogło mi to zwiedzić kilka krajów europejskich jako przedstawicielowi Ministerstwa Kultury i Sztuki. Między innymi kulturę radziecką poznałem, od Moskwy począwszy, aż do najmniejszego siela. Poznałem Stalingrad, poznałem Tułę, poznałem Leningrad ówczesny itd. Czyli, mógłbym powiedzieć, że życie każdego człowieka i jego marzenia mogą się spełnić dzięki wierze w to, że ja to mogę i dzięki umiejętnościom i tolerancji rodziny. Aniela nie słyszy, ale mogę powiedzieć, że gdyby nie wsparcie żony...

Rozpocząłem doktorat, bo to było wielkim życzeniem mojego promotora i mojej recenzentki, bo uznali, że moja praca mogłaby być z powodzeniem doktorskim przewodem. Ale wtedy już żona powiedziała – *Jedenaście lat cię nie miałam w domu...* Rzeczywiście, kosztowało mnie to wiele wyrzeczeń. I jeszcze druga rzecz. Wtedy, żeby zrobić doktorat trzeba było mieć wykłady na uczelni. Nie było w pobliżu uczelni, najbliższa była w Katowicach, gdzie te kierunki były. Tam Metodykę Pracy Kulturalno-Oświatowej miałem wykładać, no i w Cieszynie... To było troszkę za daleko. Myślę, że nic nie straciłem, bo jedna pani, która u prof. Malickiego robiła doktorat, jak przyszła do mojego muzeum (przyjechała z młodzieżą) to mi powiedziała – *No, ja jestem u prof. Malickiego (to jest dyrektor Biblioteki Śląskiej) na seminarium doktorskim, ale panu powiem, panie Janku, pan doktoratu nie potrzebuje, bo ja bym panu dała co najmniej trzy doktoraty.*

Nie ma niczego niemożliwego, jeżeli człowiek bardzo chce i jeśli mu Pan Bóg sprzyja. Uważał ten najwyższy byt, w który ja głęboko wierzę, że Myrcik powinien te studia skończyć. No i praca zawsze była dla mnie szczęściem, bo w dzieciństwie, w młodości zawsze marzyłem o kulturze, wiedziałem jak ja bym to zrobił, jak ja bym to widział. Już nie mówię o mojej pewnej (co niektórzy uważają) twórczości. Jestem autorem ponad 35 publikacji zwartych, kilkuset artykułów w różnej prasie i wielu innych spraw pionierskich, jak np. „Biesiady na zamku” w Koszęcinie, gdzie zaangażowała się Polska Akademia Nauk, polskie uczelnie, polscy pisarze, w promowanie wielkich Ślązaków. Czyli zrobiłem wiele spraw ponadkoszęcińskich i panadlublinieckich spraw. Mógłbym spokojnie spocząć, ale mam taki charakter, że chyba nie spocznę, aż dostanę ostatnie powołanie.

**(G. K.): No właśnie, w tym temacie chciałem zostać. I tak trochę podsumować. Bo siódma, ósma klasa - szkoła podstawowa tutaj w Koszęcinie. Potem w Lublińcu ile to było?**

(J. M.): Trzy lata, które zrobiłem w dwóch latach. I potem trzyletnie technikum w Katowicach...

**(G. K.): A kiedy wojsko było? Czyli technikum było po wojsku?**

(J. M.): Tak, technikum było po wojsku

**(G. K.): Bo technikum robił Pan zaocznie? Studium było w Katowicach...?**

(J. M.): Też zaocznie. Bo ja mam dyplom - Warszawa, filia była w Katowicach i studia magisterskie, czteroletnie, też zaocznie.

**(G. K.): I cały czas, w czasie tej edukacji średniej i wyższej, Pan pracował ?**

(J. M.): Jednocześnie pracowałem.

**(G. K.): Pracował Pan w Lublińcu...**

(J. M.): W spółdzielczości pracy, później w kulturze, najpierw jako instruktor przy Radzie Powiatu w Lublińcu, później w „Halce” jako instruktor i później przez niespełna dwadzieścia lat pracowałem w koszęcińskim Ośrodku Kultury.

(G. K.): **Ja bym chciał, aby Pan mi w miarę możliwości opowiedział o tej Pana działalności, tej pracy w spółdzielczości i pracy na niwie kulturalnej, na terenie Lublińca i tych wiosek o których Pan mówił, że Pan jeździł, że Pan był inspektorem powiatowym ds. kultury.**

(J. M.): Ja muszę rozpocząć od pewnego innego faktu w moim życiu. Nie należałem do żadnej partii. Może od tego rozpocznę.

(G. K.): **Pan już mówił o tym.**

(J. M.): Tak mówiłem. I pewien dziennikarz warszawski z Zielonego Sztandaru przyjechał na wieś i powiedział mi pewien komplement, który był dewizą na późniejsze moje życie. Powiedział mi tak – *Jeśli pan nie należy do żadnej partii, to pan musi dziesięć razy pilniej pracować, jak partyjny. Żeby osiągnąć to, co pan osiągnął.* Przyjechał wtedy z Warszawy do członka Rady przy Ministrze Kultury i Sztuki. Czyli, można powiedzieć, że to była wielka sprawa. Mogę powiedzieć, że ja w kulturze zawsze byłem obecny. W czasach Sodalicii i harcerstwa był tutaj mocno rozwinięty ruch teatralny w Koszęcinie: „Żywcem zamurowana”. „Żywot świętej Genowefy”, jasełka i jakieś takie inne graliśmy w Sodalicii, a takie poważniejsze sztuki za nauczyciela Bednarskiego, który był po linii PSL. Czyli, można powiedzieć, przed 47 rokiem przeciw komunistom. Dlatego pewnie matematyka mi ciążyła, bo zawsze na matematyce mi mówili chłopcy, ci silniejsi ode mnie – *Powiedz, żebyśmy ćwiczyli sztukę teatralną, żeby my nie mieli tej matmy.* I dlatego żeśmy kuleli... Jak ja się tylko zgłosiłem, to nauczyciel mówi – *Ja zostawiłem tę sztukę teatralną na Brušku w szkole.* Bo tam była też szkoła. To ja mówię – *To ja wezma konko i pojada po to.* Rower, jechałem, przywiozłem i... Po prostu ten nauczyciel z matematyki też był słaby... Ćwiczyliśmy już w harcerstwie. Brałem udział we wszystkich pierwszych dziesięciu konkursach poetyckich. Na szczeblu wojewódzkim życzliwi ludzie mi powiedzieli – *Dalej już nie zajdziesz jeśli instruktorem nie będzie aktor.* Bo już te komisje nie puszczały dalej. Więc, mogę powiedzieć, że z kulturą zawsze byłem na ty. To znaczy, nie ja chciałem być instruktorem powiatowym np. w Powiatowej Radzie, ale oni mnie tam potrzebowali. Oni mnie tam chcieli. „Halka” też mnie chciała. I Koszęcin też mnie chciał. Ja tu nie przyszedłem przez dwa albo przez trzy lata wcześniej do Koszęcina z wielkiego szacunku dla mojej poprzedniczki. Bo ona nie miała żadnego wykształcenia, a ja już byłem magistrem pedagogiki. Przykładowo tak mówię. Czyli, taka grzeczność nie pozwalała mi. To znaczy... Praca w kulturze była... Niczym więcej nie chciałem się zajmować. Nic więcej nie było mi potrzebne. To było spełnienie mojego pułapu intelektualnego. To było coś wielkiego, co mi pozwoliło robić to, co ja chciałem. Ja już mówiłem: i w SP i w wojsku, wszędzie się gdzieś tam wybiłem, czy pracowałem w tej dziedzinie, którą można zamknąć w szerokiej definicji pojęcia „kultura”. Mogę powiedzieć, że pracując w spółdzielczości pracowałem również... „Halka” to był szczyt. To był zespół Centralnego Zarządu Spółdzielczości Pracy, czyli na wszystkie wyjazdy zagraniczne, które centrala miała, zespół „Halka” jeździł. Czy do Niemiec (do NRD naturalnie) na koncerty, czy do Bułgarii. I to były moje pierwsze loty samolotem, żeby przygotować te sprawy. Cóż mogę więcej powiedzieć?

(G. K.): **Chodzi mi właśnie o to, co Pan mówił. Chodzi mi o taką codzienną pracę instruktora kultury.**

(J. M.): Pracowałem jeszcze ponad dwadzieścia lat jako nauczyciel. Ja już mówiłem o tym szczęściu, nie wiem czy to jest uczucie, różnie to jest kwalifikowane, ale mnie to naprawdę spotkało. Dom Kultury tak bliźniętko! Za moich czasów Dom Kultury pracował od godz. 14-tej do 22-giej. Szczególnie sobota i niedziela były dniami wyjątkowej pracy. Ja już nie chcę mówić, dlaczego stałem się najlepszym ośrodkiem w Polsce. Dzięki pracy! O godz. 11:00, kiedy była suma, były poranki filmowe dla dzieci. To było obligatoryjne, że o tej godzinie musi być, żeby dzieci do kościoła nie szły. Myśmy to przenieśli na popołudnie. I władze mi to puściły. Bo w innych dziedzinach, w tych stricte związanych z kulturą, byłem niezawodny. Ten naczelnik, który był partyjnym człowiekiem (oboje z żoną odeszli w ostatnim roku, jeszcze niestarzy ludzie) to on mówił tak – *Myrcik, wyście nie są z nomenklatury*. On też był Ślązakiem, rolnikiem, zawsze mi to mówiono. Ci ludzie chodzili i chodzą po Koszęcinie i po Lublińcu, którzy mnie urabiali. Którzy mieli mnie zwerbować, żebym tę deklarację podpisał. Ja chciałbym powiedzieć, że to jest moją wielką satysfakcją, że mi nikt nie mógł i nie może, i dzisiaj i kiedy mnie już nie będzie, powiedzieć, że dzięki temu, iż byłem w partii... Bo nie byłem. Tylko wysiłkiem woli, myśli, rąk doszedłem do tego, do czego doszedłem i mógłbym powiedzieć, że moje życie zostało, albo jest – spełnione. Nie mówię jeszcze w czasie przeszłym, bo jeszcze można mnie dotknąć i żyję. Myślę, że jestem pracoholikiem totalnym, to jest moja wada, ale to jest moja wielka zaleta. Kilku mądrych ludzi, bardzo wysoko postawionych, zawsze mówiło i to jest prawda (prof. Kotarbiński też o tym mówił), że nigdy nie należy młota i pióra odkładać na bok. Człowiek musi być do końca życia zapracowany, świadomy i jeśli Pan Bóg pobłogosławi, że wszystko jest jeszcze w tym globusie należycie poukładane, że człowiek nie popełnia jakichś błędów, które by były zauważalne przez innych, to trzeba pracować i jest jedno z drugim ściśle połączone. Pracując intelektualnie i fizycznie człowiek trwa. Jako 82-letni człowiek mogę to po prostu z całą świadomością powiedzieć. Praca nie hańbi, praca uszlachetnia człowieka, praca pozwala człowiekowi żyć. Można powiedzieć, że jeśli człowiek tylko chce i jest w miarę porządny, to wszystko osiągnie. Jeżeli mówię „porządny” to myślę o tym, że nie marnuje czasu. Ja jestem pozbawiony nałogów. Jedynym moim nałogiem jest praca. Człowiek jest szczęśliwy wtedy, kiedy mu się spełniają marzenia. Dzisiejsza młodzież nie ma takich możliwości. Ja muszę powiedzieć, że żyłem w tych czasach, które dzisiaj nazywamy komunistycznymi, czy socjalistycznymi, chociaż nigdy socjalizmu, czy komunizmu w Polsce nie było. Jeśli człowiek chce, to wszystko może w życiu zrobić. Nigdy podczas pracy w szkole, w kulturze, nigdy na studiach nie opuściłem Kościoła. Nigdy nie robiłem żadnych zakrętów obok tego okna, gdzie patrzyli i liczyli kto chodzi do kościoła, a kto nie chodzi. I w poniedziałek było podkreślane. Ja się później o tym dowiedziałem, że na egzekutywie byli wszyscy ci ludzie omawiani dokładnie albo też z aparatem do kościoła chodzili wysłannicy i nagrywali wszysciusiętko. Takie czasy były, ale wszystko się przeżyło. I żyjąc w tej części Europy, tak bardzo doświadczonej przez los, myśląc o stronie politycznej, społecznej... Bieda, prześladowania z każdej strony... Że człowiek może powiedzieć, że żył szczęśliwie. Jakbym był księdzem, to bym powiedział „amen”. Ale nie jestem, ale tak się stało.

(9; 00:00)

**(G. K.): Jeszcze chciałem wrócić do tego pierwszego okresu tuż po wojnie. Jaka była świadomość wśród was, w rodzinie, w waszym środowisku, istnienia powojennych obozów dla Górnślązaków?**

(J. M.): Tak, to jest termin, który był przez długie lata tabu. Nie mówiono o tym, ale myśmy pewne wzorce przejmowali z tego kraju leżącego troszkę na zachód od Koszęcina. Jeszcze i dzisiaj tego tak nie nazywamy, może nie było to tak radykalne, [mówię] o tzw. polskich obozach koncentracyjnych. Mam książki, które docierają do mnie, nie są to książki wydawane przez IPN-owskie środowiska, ale są ludzie, którzy piszą o tym, albo po niemiecku, albo po polsku i te książki między Ślązakami krążą. Na pewno w innych środowiskach też są obecne.

Są pewne okresy... Ja taki zarys monografii Koszęcina w kilku moich publikacji starałem się przedstawić, przy czym nigdy tego okresu wczesno powojennego nie opisywałem. Z dwóch względów. Z jednej strony, że żyją ludzie tych, którzy byli po stronie winowajców, tych, którzy to robili, którzy byli przyczyną zła, a z drugiej strony, że nie czuję się na siłach, bo uważam, że jest jeszcze za wcześnie o tym w szczegółach pisać.

Ludzie starsi, myślę o twoich rodzicach, o jakiś innych krewnych z szerszego kręgu pokrewieństwa, że mimo tego, że Niemcy trzymali w tajemnicy prawdę o Konzentrationslagrach, czyli o obozach koncentracyjnych, to było wiadomo, że wyjdiesz przez komin. Niemcy oficjalnie mówili, że „wyjdiesz przez komin, jeśli jeszcze takie coś się zdarzy” albo coś takiego.

To jest też sprawa kontrowersyjna, czy to Polsce tak bardzo szkodzi, że się mówi o obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. A mówi się Auschwitz, to znów niektórym innym ludziom ta geografia też nie mówi pełnej prawdy, bo Auschwitz to brzmi po niemiecku i zdawałoby się, że jest to gdzieś dalej od Polski, a to było na naszym terenie. I wiadano dokładnie o Żydach, koszęcińskich Żydach, że na pewno w Auschwitz zginęli.

Ja mam w swoich zbiorach akty śmierci. „Umarł w Dachau tego i tego, na taką i taką chorobę...”. I koniec. Nie, że w obozie. Umarł tam i tam... i przyszło do rodziny, albo prochy przyniósł listonosz. Też takie coś było, że w krematorium spalono jego zwłoki.

Ale przyszedł czas powojenny. Ja tak sobie myślę, że zło wywołuje zawsze zło. Szczególnie jest to wyraziste na Ziemi Śląskiej, gdzie były racje i niemieckie, i racje polskie, albo gdzie byli agenci i po tej, i po tej stronie. To już bardziej dosadnie jest powiedziane. W polskich czasach Niemcy notowali, a w niemieckich Polacy notowali. I przychodziło rozliczenie. Ja znam np. takie fakty, że jak Niemcy wkroczyli w 1939 roku, możemy już na ten temat mówili, pani Iwanowska, która 17-ego teraz będzie miała 94 lata, mieszka tutaj po sąsiedzku. Mówiliśmy, że pierwszy oficer, który wkroczył do Koszęcina, do Drutarni oddalonej o kilka kilometrów, pytał ją, spoglądając na listę i wymieniał: Burzyński i inne osoby, czy są w Koszęcinie. Te osoby się znalazły w Konzentrationslager. Ochman itd.

Po wojnie też tak było. Po wojnie pan zapytał, jak to było z tymi ludźmi, którzy w tych tzw. powojennych obozach byli. Naturalnie były przypadki, że zupełnie przypadkowi... bo trzeba powiedzieć, że wśród Ślązaków, w każdej narodowości, w każdej nacji znajdą się dranie, to nie ma dwóch zdań i można ich się doszukać i w hitlerowskim Nationalsozialistische Arbeiterpartei i można ich znaleźć po polskiej stronie tak samo i po innych stronach.

Jak to wyglądało? Wszyscy ci, którzy czuli się Niemcami, nie przestępcami wojennymi, ale także tacy. Pouciekali, jak się to mówi potocznie przed wkroczeniem Armii Czerwonej do Koszęcina. Były specjalne Sonderzugi, pociągi, które zabierały... chodziły po domach... Ja to pamiętam, bo to doświadczenie... do naszego domu też weszły trzy panie albo dwie panie Deutsche Rotes Kreuz, że „z Koszęcina odchodzi ostatni transport, pana żona i pana dzieci mogą być załadowane...”, a mężczyźni muszą zostać. Jeśli nie był w wojsku, to miał inne paramilitarne obowiązki tutaj do spełnienia. I ci ludzie pouciekali. Ci Niemcy, którzy byli stricte Niemcami, którzy przyszedli do Koszęcina głównie jako urzędnicy księcia, a



podczas wojny kilku także obsadzając stanowiska Bürgermeistra, Postmeistra itd., albo na stacji kolejowej. Oni się wszyscy z Koszęcina wyprowadzili. Ci, którzy czyli, że nikomu nie zaszkośli, zostali tutaj. I w latach 1945-1946 na Śląsku było nagminną sprawą, że wyszukiwano rodziny, całe rodziny, nie tylko, że ojciec albo że matka była jakaś tam, w Koszęcinie. Znam kilka transportów na tzw. rollwagi, czyli na takie duże wozy konne. Najpierw ich łapano, przyprowadzano do jednych z garaży albo wozowni w Zamku albo na róg, gdzie później było UB, do Zamku, jak się wjeżdża albo wchodzi na ulicę Zamkową, i do takiej restauracji, która była tam w pobliżu młyna, w budynku należącym do młyna. To było zimą. I przywozili tych ludzi, ładowano ich i wywożono do wyszabrowanego już Lentexu. Przez ruskie oddziały rozkręcano wszystkie maszyny, to była przędzalnia kiedyś i tam ci ludzie czekali na transporty, które podjeżdżały, bo były bocznice, które prowadziły do tych fabryk. To było tak wszędzie zorganizowane. Jechał taki transport, przypuśćmy od Katowic i zabierał po drodze wszystkich tych ludzi, którzy byli załadowani do tych bydlaków, i wieźli w kierunku zachodnim.

Ja też na ten temat jeszcze nie mówię, bo otrzymałem kilka anonimów, pisząc o tych sprawach, nie wymieniając nazwisk: „Panie Myrcik, bardzo dobrze, że pan o tym pisze, ale niech pan pisze, kto to robił.” Tak po Śląsku czasem napisane. „Niech pan wymieni nazwiska.” Ja nie mogę, bo np. moi sąsiedzi to są dzieci tego pana. Więc jest pewna taka sfera działań, które... robię taką odskocznnię daleką: otwieranie archiwów po pięćdziesięciu, sześćdziesięciu latach... to jest pewna prawda, że dwa pokolenia muszą umrzeć, te, które to pamiętają i wtedy można mówić. Niemcom, jeśli chcieli obywatelstwo, o tym, że był w Armii Andersa [nie mówił], dopiero teraz, a wcześniej jeśli chciał się dostać do Niemiec, bo dużo Ślązaków chciało się wydostać, to nie mówił, że z Wehrmachtu wzięli go do niewoli, a w niewoli... Ja słyszałem od niejednego, że wcale nie ochotniczo szło się do Andersa, tylko szło się z biedy i z tego, że tam by nie przeżył, bo tak też mówili.

I tutaj tych ludzi też wywożono. Niektórych mężczyzn wywożono do Mysłowic. Mysłowice są takim hasłem niedobrze zapisanym w powojennym polskim tolerowaniu Ślązaków. Ilu niewinnych ludzi oddało życie? Oni tam spoczywali na cmentarzach. Jeszcze jest podobno jeden grób akurat koszęcińskiego obywatela. Nazywał się Kawa. Robotnik u księcia. Gertruda Kawa, Truda, chodziła ze mną do jednej klasy. Ja ją może pięćdziesiąt razy albo więcej nagabywałem, żeby mi dała zdjęcie grobu swojego ojca, który tam jest zachowany w Oświęcimiu, na cmentarzu przykościelnym. Ci księża go tam zachowują nie z jakiś politycznych względów, ale tam był ten sektor, gdzie ci ludzie spoczywali.

Czyli była jakaś niesprawiedliwość dziejowa, która u Ślązaków budziła pewne... nazwę to bardzo ogólnie i kulturalnie... niezadowolenie z przyjścia Polski w 1945 roku.

Tego rozdziału też nie idzie napisać... Ja chciałbym chętnie widzieć migracje w gminie Koszęcin. Migracje za Fryderyka, gdzie z Bawarii przywożono tutaj ludzi, nadawano im wioski, budowano kościoły protestanckie. (...) Głównie osiedlali się nad rzekami, wprowadzając postępowe zasady prowadzenia fachu rolniczego. (...) to są wszystko takie nazwiska, którzy byli protestantami, a później się spolszczyli i przeszli na katolicyzm.

Ale o migracji po plebiscycie mało wiem. Ślązaków, mieszkających po plebiscycie po stronie niemieckiej, przyszło ich bardzo dużo do Koszęcina, i o migracji, która przyszła w 1945-1946 roku ze Wschodu. (...) Do tych domów, jeszcze ciepłych po wywiezionych ludziach, przychodzili już nowi ludzie, repatrianci ze Wschodu, którym z kolei tam zabierano domy. To nie mówię z jakąś złośliwością, ale z takiego przekonania, że powinien ktoś z tych ludzi, bo przecież ich potomkowie pokończyli uczelnie, mają mniej więcej te kierunki, mogliby o sobie napisać, jak żeśmy się do Koszęcina dostali. Ja starałem się dotrzeć do kilku takich osób. Bezskutecznie. A jest to taki niezapisany rozdział nie tylko w Koszęcinie, ale w

wielu miejscowościach na Śląsku. Nie wiem, ilu ich tu przyszło, pięćdziesiąt rodzin, czy więcej. I cały ambaras polega na tym, że większość z tych wywiezionych ludzi, których Polska się starała pozbyć, było bardzo szybko z powrotem. Oni nie jechali dalej. Niektórzy do Drezna zajechali, tam stracili życie podczas bombardowań, bo to jeszcze było w tym czasie. A tych, których wywozili, też są groby ich w różnych częściach w kierunku Wrocławia i dalej na Zachód. Co poumierali. Ja ich w jednej z moich publikacji chyba... Epitafium dla poległych... Bo i ten okres też zaliczyłem, że ci ludzie nie musieli odejść, a odeszli.

Każdy kataklizm, każda wojna, powstanie jest załącznikiem, jest zasiewem do przyszłej wojny, do przyszłych prześladowań. Miałem kilka spotkań z Niemcami, którzy już byli w zjednoczonej Europie, jak tylko przyjechali, to tylko mi mówili – *Niech Polska wszystko robi, żeby się nie dostać do zjednoczonej Europy*. Że to dużo gorzej będzie. Ale patrząc z drugiej strony, jest to może jedno z błogosławieństw niepisanych Ewangelii, które przyjdzie na tą krainę albo na Europę, że ludzie może będą mniej patriotyczni albo nacjonalistyczni, a będą bardziej zbratani i może w tej naszej części świata następnych kataklizmów, następnych wojen nie będzie. I ja, oprócz II wojny światowej, nie przeżyłem już nic, a pana pokolenie i moich dzieci pokolenie, i moich wnuków nie wiedzą, co to jest wojna. Daj Boże, żeby to tak się skończyło. Chyba na tym może skończymy [śmiech].

#### (G. K.): **Jeszcze króciutko o tym ZMP w Zamku Koszęcińskim.**

(J. M.): Znam, bo chciałem znać, wszystkich panów na Koszęcinie. Myśmy tak luźno już dzisiaj wspomnieli nazwisko Kuby, że się można po pięćdziesięciu, sześćdziesięciu latach jeszcze doszukać potomka, bo on znajdzie kogoś, w tym konkretnym przypadku Ferdynand Kuba znalazł mnie. I w 1945 roku zostawili wszystko, dorobek pokoleń. Ja tutaj nie patrzę politycznie na te sprawy, ale jeśli koszęciński książę Hohenlohe zostawił w spadku Polsce dziesiątki, dziesiątki tysięcy hektarów lasów i pól, dużo mienia, dużo budynków, w tym i Zamek Koszęciński, który po wojnie, bo do tego to pytanie zmierzało, stał się własnością ludu, tak nam mówili. I pierwszym złem, oprócz tego, że krzywdzono niektórych ludzi wywożąc ich, było także utworzenie w Koszęcińskim Pałacu tzw. Szkoły Aktywu Młodzieżowego OMTUR. To się stało chyba pod koniec 1945 roku, kiedy do Koszęcina zaczęli zjeżdżać w liczbie około stu pięćdziesięciu aktywiści OMTUR-u, a później ZMP, bo to trwało kilka lat. To było wielkie zło dla Koszęcina, bo tutaj kształcono te kadry, które miały ten nowy ustrój, dzisiaj mówiąc w głębokim cudzysłowie sprawiedliwości społecznej, zaprowadzać. Myślę o socjalizmie. Teraz powiem o refrenie pieśni, który nie mogę na żadnych googlach ani nigdzie znaleźć. Był taki zwyczaj, że podczas sumy... Oni też byli troszkę tacy promilitarni, tzn. z bronią nie mieli nic wspólnego, oprócz tej politycznej broni, że maszerowali naszą główną ulicą, noszącą nazwę dzisiaj Powstańców, kiedyś ulica Wiejska albo Dorfstrasse. Kościół był latem otwarty. Maszerowali tam i z powrotem trzy razy i śpiewali taką dość ciekawą pieśń, której refren był: „Nie papież nam wybrzeże dał/ nie Śląsk biskupów był/ ziemię tę polski żołnierz krwią zlał/ na niej praojciec żył.” Nie wiem, kto napisał te słowa. Ja ten refren wpisywałem kilka razy, ale mi się inne głupstwa pokazują. Nawet ktoś tam napisał, że autorem ktoś był, ale całego... Ja ten tekst znałem na pamięć, bo jako ministrant czy już taki nieformalny kościelny musiałem tą główną bramę naszego kościoła, tzn. drzwi do naszego kościoła zamykać, które były otwarte, żeby tych bluźnierstw nie słuchać.

Ówczesny ksiądz Reginek, a wcześniej jeszcze ksiądz Pluta, późniejszy biskup, o którym żeśmy już mówili, mieli z nimi dużo albo bardzo dużo kłopotów. Byli tam prowokatorzy, którzy chodzili do kościoła, wyprzedzając te czynności aparatu partyjnego, czy

UB – Urzędu Bezpieczeństwa, którzy nagrywali. Był taki przypadek, że jedna z aktywistek przyjęła komunię św. Ja to wiem, bo z IPN-u otrzymałem, może trzy lata temu, pismo, aby mniej więcej ten okres króciuteńko opisać, albo potwierdzić tylko prawdę, że to tak wyglądało. I przyniosła koleżance i ta komunia poniewierała się po Zamku, może przez dwa dni. Przyniosła – *Masz, ty świętoszku, weź tego Pana Jezuska twojego i będziesz zdrowa*. Były później całe ceremonie liturgiczne, związane z prześlaniem.

Wiele innych takich faktów było. Ja od jednego, który ożenił się z moją kuzynką, nie żyje już ten człowiek. Wiem, że był na tej szkole, reprezentując kaletańską fabrykę celulozy i papieru. On na raka chorował, miał z wymową bardzo wielki problem po tej operacji, ale zajechałem tam do niego, tak może rok albo dwa przed śmiercią i mówię – *Słuchaj, Zyguś, powiedz mi, jak to tam było w tej szkole? – Bardzo fajnie. Dobre jedzenie i uczyli nas śpiewu świetlicowego* – to były właśnie te pieśni – *jak to mamy pracować, żeby ten socjalizm budować. Ja ci moga pokazać, bo mam świadectwo, ale dać ci go, nie dom*. Miał takie zaświadczenie, że centralna szkoła taka i taka w Koszęcinie, zaświadcza, że towarzysz taki i taki, zamieszkały tam i tam, uczęszczał w czasie... od (to trwało osiem miesięcy) tego i tego czasu byli delegowani przez zakład, do tego i tego, i ukończył szkołę z wynikiem ogólnym dobrym. Oprócz tych nauczycieli stricte partyjnych, co byłem bardzo zdziwiony, był jeden nauczyciel lublinieckiego późniejszego ogólniaka też podpisany, bo musiał też tam coś wykładać.

To było wielkie draństwo, które w pamięci moich rówieśników, a na pewno ludzi starszych, było bardzo głęboko i boleśnie zarejestrowane. Ta szkoła trwała tutaj pięć, sześć lat w Koszęcinie. Miałem takie szczęście, na prośbę pewnej doktor, która tutaj już nie mieszka, nazwisko mogę powiedzieć – pani Ruta Rak, do której przyjechał znajomy już w stopniu generała brygady i tak mówi – *Janek, oprowadziłbyś mnie po Pałacu, mam gości, w tym jednego oficera, który tutaj w „Śląsku” był*. Okazało się, że on nie był w „Śląsku”, tylko był w tej szkole i mi mówił, że tutaj mieli takie fajne zajęcia, a ja chciałem akurat im przedstawić bardzo negatywnie tą szkołę, a on tu w samych superlatywach mówił, że „tam się nauczyłem boksu, który mi się w życiu przydał, bo mieliśmy zajęcia boksu i jakieś tam inne...”.

To był taki epizod trwający kilka lat. Każdy z nich chciał się popisać, że jest antyklerykalny, że jest antyreligijny, chociaż byli tacy, którzy bardzo króciuteńko tutaj byli, wylecieli za to, że ich ktoś tam widział w kościele.

Był taki niechlubny okres w historii naszego Zamku.

Idąc dalej tropem właścicieli Zamku, którzy dobrami naszego dobrego księcia zarządzają, muszę powiedzieć, że po krótkim pobycie tutaj oddziału dziecięcego szpitala psychiatrycznego w Lublińcu, w 1951 roku, dokładnie 1 lipca, rozpoczął tutaj swoją działalność, trwającą do dzisiejszego dnia, najpierw przez pięćdziesiąt lat Państwowy Ludowy Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk”. Później, po śmierci Stanisława Hadyny w 1991 roku, Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” im. Stanisława Hadyny. Tak się składa, że moją pracę magisterską poświęciłem temu zespołowi, właściwie może nie stricte zespołowi, ale chodziło mi o losy artystów Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”, po niekiedy bardzo krótkim pobycie tutaj. Mogę też powiedzieć, że jestem autorem monografii zespołu „Śląsk” z okazji 50-lecia. Nie żaden artysta, nie żaden dyrektor napisał taką monografię, bo zaniedbali jedną sprawę, że nie prowadzili kronikarskich zapisów albo czegoś podobnego. I ja wiedziałem dużo więcej o nich, jak oni o sobie, tak egoistycznie mogę powiedzieć.

Znałem wszystkich dyrektorów, począwszy od Hadyny, a skończywszy na Cierniaku teraz. Pastucha... Z Hadyną miałem bardzo ciekawe rozmowy. Tutaj też mogę powiedzieć, ja przedstawiłem w tej mojej publikacji „Pół wieku «Śląska»” zarys monograficzny Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”, sylwetki moim zdaniem najbardziej znanych albo zasługujących na

uznanie. Myślę o Hadynie, o choreograf, pani Kamińskiej i o kilku chórmistrzach, którzy tutaj byli. Niewątpliwie zespół „Śląsk” przez te 60-lecie dał Koszęcinowi wiele, a może „Koszęcinowi” to jest bardzo wielkie zawężenie. Niektórzy mówią albo piszą „koszęciński zespół”. Nie jest to „koszęciński [zespół]”, bo to jest zespół z innej półki, jest to profesjonalny zespół. Jego początki były arcyciekawe, bowiem poprzez, jedni twierdzą ponad dwudziestotysięczną rzeszę, dokładnie zbadanych mamy ponad dwanaście tysięcy kandydatów, wybrano stu pięćdziesięciu artystów, głównie do chóru i do baletu. To jest ten etap pionierski zespołu. Niewątpliwie wielkie zasługi ma tutaj Stanisław Hadyna. Wspomniałem, że napisałem jego biografię, na którą w Internecie też się powołują i bardzo się cieszą, jeśli tam na takich stronach, które idą na cały świat jest bibliografia albo w przypisach moje nazwisko figuruje.

O wielkich ludziach można kilka bibliografii napisać, kilka życiorysów. To Hadyna dał zespołowi właściwy kształt artystyczny, wspólnie z panią profesor Elwirą Kamińską. Jest to zespół bardzo zasłużony dla Ziemi Śląskiej, dla ziemi polskiej, chociaż jako pedagog kultury mogę powiedzieć, że jest i wiele nieprawdy w tym wszystkim, co pisano i co się mówi do dnia dzisiejszego o tym, że zespół bazował albo swój materiał miał stary, prapolskie pieśni i tańce, ale utworów śpiewanych nie za bardzo wiele albo prawie nie było w tej początkowej fazie. Zespół miał takiego nadwornego poetę, Pyzik się nazywał, nie Ślązak. Większość tej klasyki współczesnej zespołu: „Poszła Karolinka”, „Od Siewierza jechał wóz” i wszystkie te inne pieśni, to on napisał dla Hadyny, był to kumpel Hadyny. I stworzyli taki mit przeszłości. Badając śląski folklor widzę jednego człowieka albo badacza, to był profesor Adolf Dygacz, który chodził od domu do domu i zbierał te... On miał być w „Śląsku”, ale chyba był nie tylko znawcą folkloru śląskiego, ale był także Ślązakiem i to mu może przeszkodziło w tym, żeby być gdzieś tam na stanowisku dyrektora. Ja mogę o tym mówić, bo z nim na ten temat nieraz za jego życia mówiłem.

Zespołowi „Śląsk”, dyrektorom, przypominam o tym – Wy nie jesteście jedynymi, którzy na Zamku w Koszęcinie tworzyli kulturę. Bo już w czasach, można by powiedzieć, polskich panów na Koszęcinie, Rautenów, Sobków, mieliśmy teatr zamkowy, mieliśmy operę zamkową, mieliśmy balet w Zamku i ta kultura była znacznie wcześniej tworzona. Tak że zespół „Śląsk” może być zaliczony jako pewnego rodzaju kontynuator, niewątpliwie wielki kontynuator tego co się na koszęcińskim Zamku działo.

Ostatnie lata, to jest też moje zdanie, nie są zbyt szczęśliwe dla „Śląska”, bo jeśli ktoś chce za dużo, to otrzymuje za mało. Pewnym zawężeniem zespołu było kultywowanie wielkich tradycji śląskich, folklorystycznych, a teraz zespół „Śląsk” się rozrósł. Inne jakieś takie formy, inne... mocne granie... nie on, ale wprowadzane są tutaj takie zespoły na święto Śląska czy jeszcze jakieś takie pikniki leśne itd. to mu psuje... Myślę, że zespół zboczył za bardzo z tej swojej właściwej drogi i będzie mu trudno utrzymać się na tym rynku. Ale ja mu życzę jak najlepiej.

- s. 3 Ta książka, którą tam pan ma, to jest „Koszęcin na starej fotografii” i tutaj wszystkie wątki, dotyczące życia ludzi są w jakiś sposób zamieszczone. OK

- s. 5 z elementarza, który mam w swoim muzeum

- s. 7 Ja napisałem taki artykuł „Służba Polsce – co to jest?”

- s. 8 Ale niedawno napisałem taki artykuł w „Ziemi Lublinieckiej”: „Wojna w Koszęcinie – początek, trwanie i koniec.” OK

- s. 10 Ja napisałem kilka, niedługo, cztery lata temu, epitafium dla poległych w Koszęcinie. Zbierałem materiały do tej małej publikacji, przez najmniej dwadzieścia lat

- s. 13 „Polityki” także, jak się dowiedział o tym. Był u mnie i napisał artykuł w „Polityce”.
- s. 23 Napisałem taką broszurkę „ Sto trzydzieści lat zorganizowanego rzemiosła w Koszęcinie.” OK
- s. 24 kontakty w Niemczech ma?
- s. 25 Miałem kolegę Jurka Pietruchę, jego biografia ukaże się w tej książce, która wyjdzie. (- s. 44 Napisałem, wspominając właśnie biografię tego ciekawego człowieka, Jerzy Pietrucha)
- s. 25 zawsze jest film nakręcony. Ten prałat Fritz to robi
- s. 44 Ja mam takie zdjęcie, bo pierwsze miejsce zajęliśmy wśród brygad w całej Polsce, i byliśmy po nagrodę w Warszawie. Nie pamiętam, w czym to było. Do dzisiaj mam gazetkę. W lewym rogu jest Tito namalowany na łańcuchu, to ja rysowałem go wtedy. Tito na łańcuchu i było jakieś hasło napisane. [śmiech]
- s. 50 Do Sodalicji Mariańskiej męskiej... Ona powstała dopiero w 1948 roku. W Koszęcinie był wtedy proboszczem późniejszy biskup gorzowski, dzisiejszy sługa boży, ksiądz biskup Wilhelm Pluta. U niego byłem przyjęty do Sodalicji Mariańskiej
- S. 64: o tzw. polskich obozach koncentracyjnych. Mam książki, które docierają do mnie, nie są to książki wydawane przez IPN-owskie środowiska, ale są ludzie, którzy piszą o tym, albo po niemiecku, albo po polsku
- s. 67 autorem monografii zespołu „Śląsk” z okazji 50-lecia: Pół wieku «Śląska»” zarys monograficzny Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”, OK

- s. 51 Grzegorz: Współpracował przez wiele, wiele lat ze sługą bożym, Franciszkiem Blachnickim. O Azji itd.

(G. K.): **Ruch Światło-Życie.**

(J. M.): Ruch Światło-Życie, dokładnie. On był drugi po nim.